



**Agatha Christie**

# **Zerwane zaręczyny**

**Sad Cypress**

**Tłumaczył: Tadeusz Jan Dehnel**

**Wydanie oryginalne: 1940**

**TMN**

**Wydanie polskie: 1992**





*Śmierci, śmierci przybądź po mnie,  
Ciało me w cyprysach złóż,  
Bo dziewczyna, bo dziewczyna  
W serce moje wbija nóż.  
Niech całun biały cisy przystroją,  
Uczyńcie tak!  
Bo jakież lepiej gorzką śmierć moją  
Opłacze znak.*

Szekspir – *Wieczór Trzech Króli*, Akt II. scena 4  
(przekład Stanisława Dygala)



## Prolog

– Oskarżona Elinor Katharine Carlisle stoi pod zarzutem morderstwa dokonanego na osobie Mary Gerrard dnia 27 lipca bieżącego roku. Czy oskarżona przyznaje się do winy?

Elinor Carlisle stała wyprostowana z podniesioną głową. Była to piękna, wdzięcznie uformowana głowa o czarnych włosach i szafirowych oczach pod cienkimi łukami ciemnych brwi.

Zapanowała cisza – wymowna cisza.

Sir Edwin Bulmer, rzecznik obrony, odczuł dreszcz zniechęcenia. Pomyślał: „Mój Boże! Przyzna się. Straciła pewność siebie”.

Elinor Carlisle rozchyliła wargi.

– Nie jestem winna – powiedziała.

Rzecznik obrony usiadł wygodniej, chustką otarł pot z czoła. Dobrze rozumiał, że niewiele brakowało...

Sir Samuel Attenbury wstał, aby scharakteryzować sprawę jako rzecznik oskarżenia publicznego.

– Wysoki Sądzie! Panowie przysięgli! Dnia 27 lipca o pół do czwartej po południu w posiadłości Hunterbury pod Maidensford zmarła Mary Gerrard...

Głos brzmiał dźwięcznie, miło dla ucha. Usposabiał sennie Elinor, do której świadomości trafiały tylko oderwane zdania jasnej, treściwej przemowy.

– ...przypadek szczególnie prosty i nie następujący wątpliwości... Obowiązkiem oskarżenia jest wykazanie motywu i okoliczności... Niepodobna dostrzec, aby ktokolwiek inny z wyjątkiem oskarżonej miał powód, by zabić nieszczęsną Mary Gerrard... Była to młoda dziewczyna o ujmującym charakterze, ogólnie lubiana, nie miała ani jednego wroga...

Mary... Mary Gerrard. Jak odległe wydaje się to wszystko, jak nierealne.

– ...Baczną uwagę należy zwrócić w pierwszym rzędzie na następujące okoliczności: Po pierwsze: W jakiej sytuacji oskarżona działała? Po drugie: Jaki miała motyw?



– ...Obowiązek nakazuje mi powołać świadków, którzy będą w stanie pomóc Wysokiemu Sądowi przy formułowaniu wniosków odpowiadających stanowi faktycznemu i prawdzie...

– ...W zasadniczej kwestii otrucia Mary Gerrard postaram się wykazać, że nikt prócz oskarżonej nie miał możliwości, by zbrodni dokonać...

Elinor odnosiła wrażenie, że spowija ją gęsta mgła, że przez kłęby mgły dochodzą do niej tylko pojedyncze wyrazy:

– ...Kanapki... Pasta rybna... Pusty dom...

Słowa drażyły grubą powłokę myśli Elinor, przerywały gdzieś tam ich zwartą, tłumiącą wszystko warstwę.

Sąd... Twarze ludzkie... Nieprzeliczone rzędy twarzy! Zwłaszcza jedna o długich, czarnych wąsach i bystrych oczach... Herkules Poirot... Głowę pochyła na bok, wzrok ma skupiony, zwrócony ku Elinor.

Elinor myślała: „Ten człowiek stara się odkryć, dlaczego to zrobiłam. Próbuje trafić do wnętrza mojego mózgu, przeniknąć myśli, uczucia...”

Uczucia...? Przelotne zamroczenie... wstrząs. Twarz Roddy’ego, najdroższa twarz! Z długim nosem i wyrazistymi ustami.

Roddy! Zawsze Roddy – zawsze, odkąd pamięć sięga, od tamtych dni w Hunterbury wśród malinowych zarośli, w królikami, w dolince nad strumieniem... Roddy... Roddy!

A oto inne twarze: świeża, piegowata, pochylona trochę do przodu twarz z rozchyłonymi ustami: pielęgniarka O’Brien... Godna, surowa mina pielęgniarki Hopkins... I Peter Lord o twarzy poczciwej, wrażliwej, kojącej... Dziś Peter Lord ma inny wyraz... Jaki? Przygnębienia, zawodu...? Jest wyraźnie strapiony... A ona sama, bohaterka, czuje się obojętna, daleka wszystkiemu.

Spokojna, chłodna zajmuje miejsce na ławie oskarżonych, pod zarzutem morderstwa. Stoi przed sądem!

Coś drgnęło, rozproszyło opary spowijające umysł... Sąd... Publiczność... Ludzie pochyleni do przodu, znieruchomiali... Mają otwarte usta... Wytrzeszczonymi oczami pochłaniają ją, Elinor Carlisle... Z okropnym, upiornym zadowoleniem delektują słuch tym, co opowiada o niej wysoki mężczyzna w todze...

– ...Fakty związane z tym przypadkiem są wyjątkowo łatwe do ustalenia i nie podlegają dyskusji. Postaram się wyłuszczyć je w najprostszy sposób. Na początek...

„Początek... Jaki był początek?... Wszystko zaczęło się w dniu, kiedy przyszedł ohydny list anonimowy...”





## Rozdział pierwszy

List anonimowy! Elinor Carlisle przypatrywała się rozłożonej na dłoni ćwiartce taniego różowego papieru, zagryzmołonej niekaligraficznie, z błędami. Nigdy nie otrzymała czegoś podobnego.

Doznała bardzo niemiłych uczuć.

*Dla Przestrogi!*

*Przez nazwiska piszę, że jest ktoś, co buja twoją Ciotkę, a jak nie bendziesz uwarzać, to pewnie wszystko ci przepadnie. Młoda panienska potrafi być całkiem sprytna, a Starsza Pani da się często nabrać, jak ją kto dobrze buja i się umizga, a piszę to, bo lepiej żebyś pszyjechała i na własne oczy zobaczyła, co się święci, bo możesz być wykiwana ty Sama i twój Kawaler z tego, co się wam Obu należy. Bo ona jest cwana, a Starsza Pani może w każdej chwili wykitować.*

*Życzliwa Dusza*

Elinor marszczyła jeszcze z niesmakiem cienkie łuki brwi i spoglądała na anonim, kiedy drzwi się otworzyły.

– Pan Welman – oznajmiła służąca i do pokoju wszedł Roddy.

Roddy! Jak zawsze na jego widok Elinor odczuła lekki zawrót głowy, przyjemny dreszczyk i jak zawsze pomyślała, że musi być bardzo trzeźwa, nie ulegać wzruszeniom. Dokładnie zdawała sobie sprawę, że Roddy kocha ją wprawdzie, ale zupełnie inaczej niż ona jest w nim zakochana. Przy każdym spotkaniu z Roddym coś nawiedza ją, ścisną serce prawie do bólu. To czysty nonsens, żeby mężczyzna – przeciętny, absolutnie przeciętny młody człowiek – mógł budzić podobne uczucia! Żeby świat wirował na jego widok, a sam dźwięk głosu wywoływał niepojętą chęć do płaczu. Miłość winna być przecież przyjemnym uczuciem, nie wywoływać cierpienia.

Jedno jest pewne. Trzeba nie ujawniać tego wszystkiego, dbać o naturalne



zachowanie. Mężczyźni na ogół nie lubią przesadnego uwielbienia, a Roddy – z pewnością.

– O, Roddy! Jak się miewasz? – rzuciła swobodnie Elinor.

– Co słyhać, kochanie? – odpowiedział. – Widzę, że masz tragiczną minę. Co to?

Rachunek?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– A myślałem, że tak – podjął. – Mamy pełnię lata, czas rusalek i istnej powodzi rachunków.

– Nie. To list anonimowy. Obrzydliwość!

Wyrazista, pogodna twarz Roddy’ego zmieniła się, zastygła; brwi uniosły się pytająco.

– Niepodobna! – zawołał tonem odrazy.

– Obrzydliwość! – powtórzyła Elinor i zrobiła krok w kierunku biurka. – Najlepiej podrzeć to zaraz.

Miała szczerzy zamiar tak postąpić, bo osoba Roddy’ego i anonim dziwnie nie pasowały do siebie. Mogłaby list wyrzucić i nie wracać więcej do tej sprawy. Roddy nie przeszkodziłby jej na pewno, bo duma górowała w nim nad ciekawością. Ale Elinor, pod wpływem nagłego impulsu, rozmyśliła się.

– Przeczytaj najpierw – powiedziała. – Później list spalimy. Chodzi o ciocię Laureę.

– O ciocię Laureę? – Roddy znów uniosł brwi.

Sięgnął po ćwiartkę papieru, przebiegł ją wzrokiem i oddał z wyrazem niesmaku na twarzy.

– Tak – powiedział. – To trzeba spalić. Dziwni są ludzie!

– Ktoś ze służby, jak sądzisz?

– Prawdopodobnie... – zawahał się. – Ciekaw jestem kto... co to za osoba? O kim tu mowa?

– Moim zdaniem to Mary Gerrard – odparła po namyśle Elinor.

– Mary Gerrard... – zastanowił się Roddy. – Któż to taki?

– Córka tych z domku odźwiernego. Chyba pamiętasz ją jako dziecko. Ciocia Laura miała zawsze słabość do tej dziewczynki, interesowała się jej losem. Płaciła za szkołę Mary i rozmaite lekcje: gry na fortepianie, francuskiego.

– Aha! Pamiętam. Taki chudy podłotek, same ręce i nogi, a także masa jasnych włosów.

– Właśnie! Chyba jej nie widziałeś od tamtych letnich wakacji, kiedy mama i tatuś byli za granicą. Znacznie rzadziej niż ja odwiedzasz Hunterbury, a ostatnio Mary uzupełniała edukację w Niemczech. Ale w dziecińczych latach bawiliśmy się we troje.

– Jak ona teraz wygląda?

– Bardzo ładnie wyrosła. Ma poprawne maniery i... i w ogóle. To skutki dobrej





szkoły. Nigdy nie wziąłbyś jej za córkę starego Gerrarda.

– Prawdziwa dama, co?

– Tak. Pewno dlatego nieszczęśliwie czuje się w portierni. Pani Gerrard umarła parę lat temu, a stosunki między Mary a jej ojcem kiepsko się układają. Stary kpi często z jej wykształcenia i „fasonów”.

Roddy wzruszył ramionami.

– Ludziom rzadko przychodzi do głowy, że można kogoś skrzywdzić troskliwą opieką. Często to raczej okrucieństwo niż dobroć.

– O ile wiem, Mary jest częstym gościem cici Laury. W każdym razie czytuje jej głośno od czasu tego ataku.

– Pielęgniarka nie może tego robić?

– Pielęgniarka? – uśmiechnęła się Elinor. – Siostra O’Brien ma akcent taki twardy, że można by go krajać nożem. Ciocia Laura woli Mary. Nic dziwnego.

Roddy kilkakrotnie przemierzył pokój nerwowym krokiem tam i z powrotem.

– Wiesz co, Elinor? – odezwał się wreszcie. – Moim zdaniem trzeba tam pojechać.

– Z takiego powodu? – wzdrygnęła się z obrzydzeniem.

– Nie... Skąd znowu! Chociaż... Do licha! Postawmy sprawę uczciwie. Więc: tak! Anonim to nikkzemność, ale może kryć się za nim trochę prawdy. Na przykład to, że ciocia Laura jest poważnie chora.

– Rozumiem, Roddy.

Spojrzał na nią z życzliwym uśmiechem, jak gdyby pojmował i rozgrzeszał ułomności natury ludzkiej.

– A na pieniądzech zależy – podjął – tobie, Elinor, i mnie.

– Masz słusność – przyznała żwawo.

– Nie świadczy to o moim wyrachowaniu – ciągnął poważnie Roddy – ale ostatecznie sama ciocia Laura sto razy powtarzała, że nie ma innych związków rodzinnych, prócz ciebie i mnie. Ty jesteś jej najbliższą krewną, córką brata, a ja bratankiem męża. Często dawała do zrozumienia, że po jej śmierci cały majątek przypadnie jednemu z nas lub najprawdopodobniej obydwójgu. Chodzi, Elinor, o bardzo pokaźny majątek.

– Niewątpliwie – przyznała tonem głębokiego zastanowienia.

– To nie żarty utrzymać taką rezydencję jak Hunterbury – umilkł na moment. – Stryj Henry był, jak to się mówi, niezależny finansowo, kiedy żenił się z ciocią Laurą. Ale to ona odziedziczyła wielką fortunę. Była równie bogata, jak twój ojciec. Niestety, twój ojciec ryzykował zanadto i stracił prawie wszystko.

– Biedny tatuś – westchnęła Elinor. – Nigdy nie miał głowy do interesów. Przed śmiercią okropnie trapił się niepowodzeniami.

– Ciocia Laura radziła sobie lepiej. Po ślubie z moim stryjem kupili Hunterbury...



No i mówiła mi nieraz, że lokowała zawsze kapitały bardzo szczęśliwie. W rezultacie jej scheda nie zmniejszyła się wcale.

– Wuj Henry jej zostawił wszystko, prawda?

– Oczywiście – Roddy skinął głową. – To smutne, że umarł tak wcześnie. A ona nie wyszła za mąż powtórnie, dochowała mu wiary. Mnie traktowała zupełnie jak krewnego, pomagała mi w kłopotach, co, chwala Bogu, zdarzało się nie za często.

– Dla mnie też była zawsze hojna – dodała Elinor.

– Kochana staruszka! – podjął z uznaniem Roddy. – Ale widzisz, Elinor, musimy przyznać że, zapewne bez złej woli, obydwójce żyjemy trochę nad stan, nie oglądając się na środki, jakimi rzeczywiście dysponujemy.

– Chyba masz słusność – przyznała posepnie. – Tylko że wszystko tak drogo kosztuje... Ubranie i kosmetyki, no i takie drobnostki jak kino czy kawiarnia... Ba! Nawet płyty gramofonowe.

– Kochanie – roześmiał się młody człowiek. – Jesteś jak ptaszek wiecie, nie orzesz ani siejesz.

– Czy sądzisz, że powinnam to robić? – oburzyła się Elinor.

– Nie. Podobasz mi się taka, jaka jesteś: delikatna, wyniosła, ironiczna.

Martwiłbym się, gdybyś była zbyt serio. Chciałem tylko powiedzieć, że bez pomocy cioci Laury musiałabyś zapewne poszukać jakiejś nudnej pracy – umilkł na chwilę, by podjąć. – To samo odnosi się do mnie. Oczywiście mam zajęcie. Posada u Lewisa i Hume'a nie jest zbyt wyczerpująca. Odpowiada mi bez zastrzeżeń. Wiem, że nie próżnuję i świadomość tego pomaga mi zachować szacunek do samego siebie. Ale, zwróć proszę uwagę, mogę nie martwić się o przyszłość dzięki nadziejom związanym z ciocią Laurą.

– W tym świetle sprawiamy wrażenie pijawek – wtrąciła Elinor.

– Skąd znowu! Dawano nam do zrozumienia, że w swoim czasie będziemy mieli pieniądze, w tym rzecz. Ten stan musiał wpłynąć na nasze zachowanie.

– Ciocia Laura – odezwała się Elinor po krótkim namyśle – nigdy nie powiedziała wyraźnie, jak rozporządziła majątkiem.

– To bez znaczenia! – pochwycił. – Najprawdopodobniej podzieliła majątek między nas dwoje. A jeżeli nawet stało się inaczej, jeżeli całość albo lwią część zapisała tobie, jako krewnej, cóż stąd, kochanie? Mój udział nie przepadnie, bo ożenię się z tobą. Weźmy drugą możliwość. Poczciwa starowina doszła do wniosku, że mnie się więcej należy, ponieważ jestem męskim potomkiem Welmanów. Ty również nic nie stracisz, bo wyjdiesz za mnie. Jak to szczęśliwie, że kochamy się wzajemnie – dodał z tkliwym uśmiechem. – Kochasz mnie? Prawda, Elinor?

– Kocham – odpowiedziała sucho, niemal oziębło.

– Kocham! – powtórzył przedrzeźniając ton jej głosu. – Cudowna jesteś, Elinor!



Wyniosła, niedosiężna... *la Princesse Lointaine*. Chyba właśnie dlatego tak bardzo cię kocham.

– Naprawdę? – zapytała zdławionym głosem.

– Tak... Oczywiście – zmarszczył czoło. – Kobiety bywają często... Jak by to powiedzieć... Piekielnie zachłanne, przywiązane na psią modłę... Aż tryska z nich uczucie. Nie cierpię tego! A z tobą, kochanie, nigdy nic nie wiadomo. Jesteś opanowana, wyniosła... W każdej chwili możesz odwrócić się i tym swoim chłodnym, rzeczowym tonem oznajmić o zmianie planów. Tak mi się przynajmniej zdaje. Urzekająca jesteś, Elinor! Przypominasz dzieło sztuki, takie... takie idealnie wykończone.

Roddy umilkł na moment, a potem rzekł:

– Sądzę, że nasze małżeństwo powinno być wzorowe. Kochamy się wzajemnie w miarę, lecz bez przesady. Jesteśmy przyjaciółmi. Mamy wspólne zainteresowania i gusty. Wiemy o sobie wszystko i znamy się na wylot. Możemy liczyć na dobre strony powinowactwa bez komplikacji, jakie tworzą więzy krwi. Ja nie znudzę się tobą. Jesteś niezwykłą istotą... Oczywiście tobie może się sprzykrzyć taki przeciętny, tuzinkowy człowiek...

– Nigdy mi się nie sprzykrzysz, Roddy – przerwała z mocą. – Nigdy!

– Moja najmilsza! – obdarzył ją pocałunkiem i zaraz podjął: – Ciocia Laura orientuje się dokładnie, jak wyglądają nasze sprawy, chociaż nie byliśmy u niej po ostatecznym porozumieniu. Aha! To przecież doskonały pretekst do naszej wizyty w Hunterbury!

– Tak... Zastanawiałam się któregoś dnia...

– Że nie bywamy tam tak często, jakby należało – dokończył rozpoczętą myśl. – Mnie również przychodziło to do głowy. Bezpośrednio po ataku cioci Laury spędzaliśmy w Hunterbury prawie wszystkie weekendy. A teraz... Chyba minęły dwa miesiące od naszych ostatnich odwiedzin?

– Gdyby życzyła sobie tego, byłibyśmy do dyspozycji w każdej chwili – wtrąciła Elinor.

– Bez wątpienia... Bez wątpienia, kochanie. No i wiemy, że ciocia Laura ma troskliwą opiekę i lubi tę O'Brien. Ale może byliśmy odrobinę zbyt opieszali... Mówię to, Elinor, nie ze względu na pieniądze, lecz pod kątem widzenia zwyczajnych ludzkich uczuć.

– Rozumiem...

– Więc w ostatecznym wyniku ten wstrętny list zrobi coś dobrego. Pojedziemy do Hunterbury, by chronić swoje prawa, ale także dlatego, że naprawdę jesteśmy przywiązani do zacnej staruszki.

Potarł zapałkę i podpalił list, który wyjął z palców narzeczonej.



– Ciekawe, kto to napisał? – zapytał. – To mało istotne, ale... W każdym razie ktoś, kto jest po naszej stronie, jak mówiło się w dzieciennych latach. Może nawet oddał nam przysługę? Matka Jima Partingtona wyjechała na Rivierę, gdzie trafiła pod opiekę młodego lekarza, bardzo przystojnego Włocha. Zupełnie straciła głowę i zapisała mu cały majątek, do ostatniego pensa. Jim i jego siostra próbowali unieważnić testament, ale nie dali rady.

– Ciocia Laura lubi nowego lekarza, któremu doktor Ransome przekazał praktykę. Myślę jednak, że nie do tego stopnia. Głupstwo! Autor listu wspomina o młodej panience. To może być tylko Mary Gerrard.

– Pojedziemy, przekonamy się sami – zakończył Roddy.

Pielęgniarka O'Brien przeszła zamasyżuje z sypialni pani Welman do łazienki.

– Postawię tylko czajnik – rzuciła przez ramię. – Na pożegnanie nie zaszkodzi filiżanka herbaty, prawda siostrzo?

Pielęgniarka Hopkins uśmiechnęła się zachęcająco.

– To nigdy nie zaszkodzi – powiedziała. – Nie ma jak filiżanka herbaty. Mocnej herbaty!

Pielęgniarka O'Brien nalewała wodę do czajnika i zapalając gaz mówiła dalej:

– Mam w tym schowku wszystko: imbryk, filiżanki, cukier, a Edna przynosi świeże mleko dwa razy dziennie. Nie muszę ciągle dzwonić. No i kuchenka gazowa doskonała; w mgnieniu oka jest wrzątek.

Pielęgniarka O'Brien – wysoka kobieta lat trzydziestu – miała olśniewająco białe zęby, ujmujący uśmiech i piegi. Dzięki pogodzie i żywotności była z reguły ulubienicą swoich pacjentów. Siostra Hopkins – pielęgniarka rejonowa, która każdego rana przychodziła pomagać przy sianiu łóżka i toalecie pani Welman – była osobą w średnim wieku o pospolitym wyglądzie, energicznym wyrazie twarzy i żywych ruchach.

– W tym domu wszystko jest idealnie zorganizowane – powiedziała tonem uznania.

– Tak – przyznała siostra O'Brien. – Chociaż to i owo wygląda trochę staroświecko. Na przykład brak centralnego ogrzewania. Ale za to kominków ile trzeba, wszystkie służące są sympatyczne, no i pani Bishop pilnuje ich doskonale.

– Ach, te dzisiejsze służące! – westchnęła pielęgniarka Hopkins. – Nie mam do nich cierpliwości... Przynajmniej do niektórych. Same nie wiedzą, czego chcą i żadna nie potrafi wykorzystać dnia pracy jak należy.

– Mary Gerrard to udana dziewczyna – stwierdziła pielęgniarka O'Brien. – Słowo daję, nie mam pojęcia, co pani Welman zrobiłaby bez niej. Trzeba też przyznać, że jest naprawdę ładna i ma poprawne maniery.



- Żal mi jej – wtrąciła pielęgniarzka Hopkins. – Ojciec dokucza biedaczce, ile może.
- Stary gbur! Nie stać go nigdy na dobre, uprzejme słowo. O! Czajnik syczy!

Zaraz woda zakipi i naparzę herbaty.

Dwie pielęgniarzki zasiadły przy gorącej, mocnej herbacie w pokoju siostry O'Brien, sąsiadującym z sypialnią chorej.

– Pan Welman i panna Carlisle wybierają się do nas – podjęła pielęgniarzka O'Brien. – Dziś rano przyszedł telegram.

– To dobrze, moja droga – ucieszyła się pielęgniarzka Hopkins. – Ostatnio pani Welman robiła wrażenie zdenerwowanej. Dawno nie byli tutaj, prawda?

– Co najmniej dwa miesiące. Pan Welman to bardzo przyjemny młody człowiek. Tylko trochę za wyniosły, co?

– Aha – zgodziła się pielęgniarzka Hopkins. – Niedawno „Tatler” zamieścił fotografię panny Carlisle. Była z przyjaciółką za wyścigach w Newmarket.

– To osoba szeroko znana w towarzystwie. I zawsze ubiera się ślicznie. Czy pani uważa, że ona jest naprawdę ładna?

– Dzisiejsze panny tak się malują, że trudno powiedzieć, czy naprawdę są ładne. Moim zdaniem daleko jej do urody Mary Gerrard.

Pielęgniarzka O'Brien wyduła wargi, pochyliła na bok głowę.

– Może to i racja. Ale Mary nie ma takiego stylu.

– Piękne pióra ma ten ptak – powiedziała sentencjonalnie pielęgniarzka Hopkins.

– Może jeszcze herbatki?

– Bardzo dziękuję, sestro. Poproszę.

Pochyliły się nad parującymi filiżankami i pielęgniarzka O'Brien zaczęła znowu bardziej poufnym tonem:

– Ostatniej nocy zdarzyła się dziwna historia. Około drugiej weszłam do sypialni, żeby jak zawsze ułożyć wygodniej moją biedulkę. Nie spała, ale coś musiało jej się niedawno śnić, bo na mój widok powiedziała: „Fotografia. Muszę mieć fotografię”. Ja na to: „Dobrze, proszę pani. Ale zaczekamy chyba do rana”. A ona: „Nie, chcę na nią spojrzeć zaraz”. „Dobrze, proszę pani – mówię – Ale gdzie ją znajdę? Czy to fotografia pana Rodericka?” Pani Welman pokręciła głową i powiada: „Roderick... Nie... Nie... Lewis”. Spróbowała się dźwignąć, a kiedy jej pomogłam, wyjęła klucz ze szkatułki, co stoi na szafce nocnej i kazała mi otworzyć drugą szufladkę wysokiej komódki. Rzeczywiście znalazłam duże zdjęcie w srebrnej ramce. Jaki to przystojny mężczyzna! I w rogu podpisane: „Lewis”. Naturalnie to staroświecka fotografia, zrobiona wiele lat temu. Zaniósłam ją mojej biedulce, a ona wzięła i długo oglądała. Później westchnęła: „Lewis... Lewis”, no i oddała mi zdjęcie i kazała odłożyć na dawne miejsce. Zrobiłam to, a gdy się odwróciłam, spała już słodko, jak małe dziecko. Trudno uwierzyć, prawda?



– A może to jej mąż? Nie sądzi siostra? – zapytała pielęgniarka Hopkins.  
– Nic podobnego! Zaraz rano zapytałam przy sposobności panią Bishop, jak miał na imię nieboszczyk pan Welman. Powiedziała, że Henry.

Wymieniły znaczące spojrzenia. Koniuszek długiego nosa pielęgniarki Hopkins zadrżał lekko z miłego podniecenia.

– Lewis... Lewis – podjęła z namysłem. – Ciekawe... Nie pamiętam nikogo o tym imieniu w naszej okolicy.

– Chodzi o bardzo dawne czasy – przypomniała jej pielęgniarka O'Brien.

– Oczywiście... Oczywiście... A ja mieszkam tu ledwie od dwu lat. Ciekawa historia.

– Bardzo, bardzo przystojny mężczyzna. Wygląda na oficera kawalerii.

– Ciekawa historia – powtórzyła pielęgniarka Hopkins sącząc powoli herbatę.

– Może kochali się w zaraniu życia i rozłączył ich srogi ojciec? – szepnęła romantycznie pielęgniarka O'Brien.

– Może on poległ na wojnie? – westchnęła pielęgniarka Hopkins.

Mary Gerrard wybiegła za pielęgniarką Hopkins, gdy ta wyszła wreszcie z domu przyjemnie ożywiona herbatą i romantycznymi dociekaniem.

– Siostro! – zawołała dziewczyna. – Czy mogę przejść się z panią do wioski?

– Oczywiście, kochanie.

– Muszę z panią pomówić – podjęła z przejęciem Mary. – Tyle mam zmartwień i kłopotów.

Starsza kobieta spojrzała na nią życzliwie. W dwudziestym pierwszym roku życia Mary Gerrard była czarującą istotą o wdzięku polnej róży. Miała smukłą, delikatną szyję, kształtną głowę okoloną złocistymi włosami układającymi się w naturalne fale i żywe, błękitne oczy.

– Jakież to kłopoty. Mary? – zapytała pielęgniarka Hopkins.

– Czas mija, siostrze, a ja wciąż próżnuję.

– Nic pilnego, moja droga.

– Tak... Ale... Widzi pani, dręczy mnie niepewność. Pani Welman jest dla mnie bardzo, bardzo dobra... Dała mi takie kosztowne wykształcenie. Ale teraz wciąż myślę, że powinnam zacząć sama na siebie zarabiać. Uczyc się czegoś pożytecznego.

Pielęgniarka Hopkins przytaknęła ruchem głowy z życzliwym zrozumieniem.

– Jeżeli nadal nic nie będę robić... To takie marnotrawstwo! Próbowałam tłumaczyć pani Welman, jak to odczuwam. Trudna sprawa! Wcale nie rozumiała, o co chodzi. Powiada tylko, że na wszystko przyjdzie pora.

– Nie zapominaj, Mary, że pani Welman jest ciężko chora.

– Wiem... Wiem – zarumieniła się lekko. – Nie można jej nudzić. Ale to wszystko





jest przykre i ojciec zachowuje się niemożliwie. Kpi ciągle. Nazywa mnie wielką damą. A ja naprawdę nie chcę wciąż siedzieć beczynnie.

– Nie wątpię.

– Kłopot w tym, że nauka czegoś praktycznego drogo kosztuje. Nieźle znam niemiecki i myślę, że mogłoby się to na coś przydać. Ale tak naprawdę to chciałabym być pielęgniarką w szpitalu. Bardzo lubię opiekować się chorymi.

– Pamiętaj, że taka praca wymaga końskich sił – odparta trzeźwo pielęgniarka Hopkins.

– Ja jestem silna. Naprawdę! I lubię opiekować się chorymi. Siostra mamy, ta z Nowej Zelandii, była pielęgniarką. Może po niej odziedzyczyłam zamiłowanie.

– Nie odpowiadałby ci masaż? – podjęła starsza kobieta. – Albo dom wychowawczy w Norland? Przecież lubisz dzieci, co? Masaż byłby chyba lepszy. Można tym dobrze zarabiać.

– Ale nauka drogo kosztuje, prawda? – zaniepokoiła się znów Mary Gerrard. – Liczyłam trochę... Ale nie chciałabym być zanadto chciwa... Ona tyle już dla mnie zrobiła.

– Mówisz o pani Welman? Nie masz racji, Mary. Ona dała ci ogólne wykształcenie i poza tym nic konkretnego. Moim zdaniem należy ci się wiele i słusznie. Może chciałabyś zostać nauczycielką?

– Nie jestem taka zdolna – westchnęła dziewczyna.

– Czy ja wiem? Są różne zdolności... Posłuchaj, Mary, mojej rady i bądź przez pewien czas cierpliwa. Od pani Welman słusznie należy ci się start życiowy i jestem pewna, że ona o tym myśli. W tym sedno sprawy, że bardzo się do ciebie przywiązała i nie chciałaby stracić ulubienicy przedwcześnie.

– Aa... – Mary zająknęła się lekko. – Naprawdę tak siostra sądzi?

– Nie mam cienia wątpliwości. Biedna staruszka jest bezradna, sparaliżowana jednostronnie i z pewnością mało kto i mało co ją bawi. Pomyśl, jak wiele dla niej znaczy obecność w domu takiej młodej, świeżej istoty. Masz, Mary, talent do pielęgnowania chorych.

– Jeżeli siostra mówi serio, to... to wielka dla mnie pociecha – odrzekła cicho Mary Gerrard. – Kochana pani Welman! Bardzo, bardzo ją lubię. Zawsze traktowała mnie tak serdecznie, że dla niej wszystko chętnie zrobię.

– Więc najlepiej siedź spokojnie na miejscu i przestań się trapić – powiedziała rzeczowo siostra Hopkins.

– To nie potrwa długo.

– Czy... rzeczywiście?... – w szeroko otwartych oczach Mary pojawił się wyraz przestachu.

– Rzeczywiście – pielęgniarka rejonowa poważnie skinęła głową. – Pani Welman



przyszła do siebie cudownie, lecz nie na długo. Będzie drugi atak, później trzeci. Już ja się znam na takich sprawach. Cierpliwości, moja droga... Spełnisz istotnie dobry uczynek, jeżeli osłodziś i wypełnisz ostatnie dni biednej staruszki. Na dalsze plany przyjdzie pora później.

– Siostra jest bardzo dobra – szepnęła dziewczyna.

– Patrz! Twój ojciec wychodzi z portierni... No i wygląda niezbyt zachęcająco, że się tak wyrażę – zmieniła temat pielęgniarka Hopkins.

Zbliżyły się właśnie do wielkiej żelaznej bramy i domku odźwiernego, gdzie stary, przygarbiony mężczyzna schodził nieporadnie z dwóch stopni.

– Dzień dobry, panie Gerrard – zagadnęła go pogodnie pielęgniarka.

– Ehem... – odburknął niechętnie Ephraim Gerrard.

– Śliczna pogoda, prawda? – podjęła starsza kobieta.

– Może dla pani – odrzucił szorstko. – Dla mnie nie. Lumbago dokucza, jak wszyscy diabli.

Pielęgniarka rejonowa nie straciła dobrego humoru.

– To skutki zeszlotygodniowych deszczów – powiedziała. – Teraz tak ciepło, sucho. Na pewno ból ustąpi.

Zawodowe ożywienie i pogoda siostry Hopkins zdawały się drażnić starego.

– Ech, pielęgniarki... Pielęgniarki! Wszystkie jesteście podobne. Nic się nie przejmujecie cudzymi dolegliwościami. Co to was obchodzi? A moja Mary ciągle teraz gada, że chce zostać pielęgniarką. Powinna myśleć o czymś lepszym, hę?

Francuszczyzna, niemiecki, psia mać! Fortepian, taka pierwszorzędna szkoła, zagraniczne podróże...

– Zupełnie mi wystarczy praca pielęgniarki w szpitalu – wtrąciła Mary.

– Pewnie, że wystarczy – gderał dalej stary. – A najbardziej chciałabyś nic nie robić, hę? Chodzić z fasonem, ważną miną i wałkonic się, jak prawdziwa wielka dama, hę? Próżniactwo, moja córko! To ci najlepiej pasuje!

– Nic podobnego, tatusiu! – dziewczyna miała łzy w oczach. – Nie wolno mówić takich rzeczy.

Pielęgniarka Hopkins usiłowała robić dobrą minę do złej gry.

– Humorek dziś nie dopisuje, prawda Gerrard? Przecież nie mówi pan poważnie. Mary to bardzo dobra panienska i dobra córka.

Stary spojrzał na dziewczynę niemal z odrazą.

– Jaka tam córka! Z jej francuskim i historią i salonowym gadaniem!

Odwrócił się i zniknął za drzwiami domku odźwiernego.

– A widzi siostra! – westchnęła Mary bliska płaczu. – Czy to nie trudna sprawa? On jest taki nielogiczny... Nigdy nie lubił mnie naprawdę, nawet jak byłam zupełnie mała. Mama musiała często wstawiać się za mną.





– Nie martw się, moja droga, nie martw się – podjęła pielęgniarka łagodnym, życzliwym tonem. – Przykrość to często dobra szkoła... Mój Boże! Muszę się spieszyć! Mam dzisiaj duży obchód.

Dziewczyna spoglądała za oddalającą się żywo starszą kobietą i myślała smutnie, że nikt nie kocha jej prawdziwie i nie potrafi skutecznie pomóc. Siostra Hopkins jest życzliwa, dobra, ale stać ją jedynie na stek komunałów wypowiedzianych odkrywczym tonem.

– I co ja mam zrobić? – szepnęła rozpaczliwie Mary Gerrard.



## Rozdział drugi

Pani Welman leżała wsparta o starannie ułożone poduszki. Oddech miała głęboki, chociaż nie spała. Oczy – tak samo ciemnobłękitne, jak oczy jej bratanicy Elinor – zwracała ku sufitowi. Była to duża, tęga kobieta o szlachetnym orlim profilu. Jej twarz wyrażała dumę i stanowczość.

Po pewnym czasie chora skierowała wzrok ku postaci siedzącej opodal okna. Przyglądała się jej długo, serdecznie.

– Mary – szepnęła wreszcie.

Dziewczyna odwróciła się żywo.

– O! Nie śpi pani?

– Nie śpię od kilku minut.

– Nie zauważyłam... Powinnam, proszę pani...

– Dobrze, kochanie, dobrze – przerwała Laura Welman. – Myślałam... Myślałam o rozmaitych sprawach.

– Naprawdę?

Życzliwe spojrzenie i głos pełen współczucia wzruszyły starszą kobietę; twarz jej przybrała tkliwy wyraz.

– Lubię cię, moja kochana – powiedziała cicho chora. – Jesteś dla mnie dobra, bardzo dobra.

– Ach, proszę pani! – zaprotestowała żywo Mary. – To pani zawsze była dla mnie bardzo dobra. Gdyby nie pani, nie wiem, co stałoby się ze mną. Pani zawdzięczam wszystko.

– Czy ja wiem, moja droga... Czy ja wiem... – poruszyła się niespokojnie; jej prawa ręka drgnęła, lewa pozostała bezwładna. – Człowiek chce postępować jak najlepiej, ale... bardzo trudno ocenić, co jest dobre i słuszne. Byłam zbyt pewna siebie. Mary.

– Nie, proszę pani! Z pewnością wiedziała pani doskonale, co jest słuszne i dobre.

– Mylisz się, dziecko – chora pokręciła głową. – Bardzo się trapię. Zawsze grzeszyłam pychą. A pycha jest dziełem szatana. To nasz grzech rodzinny, Mary. Elinor wdała się we mnie.



Dziewczyna zmieniała szybko temat rozmowy.

– Cieszę się, że panna Elinor i pan Roderick przyjeżdżają. Będzie pani miała miłą odmianę i rozrywkę. Tak już dawno nie byli.

– Dobre dzieci – szepnęła chora – bardzo dobre. Kochają mnie obydwójce. Nie wątpiłam nigdy, że chętnie przyjadą na każde moje wezwanie. Ale wolałam nie zapraszać ich zbyt często. Są młodzi i szczęśliwi... Życie przed nimi. Nie trzeba zbliżać ich przedwcześnie do cierpienia i śmierci.

– Z pewnością zapatrują się na tę sprawę inaczej – wtrąciła Mary Gerrard.

– Od dawna mam nadzieję, że się pobiorą – ciągnęła pani Welman, mówiąc bardziej do siebie niż do słuchaczki. – Ale wystrzegam się wszelkich aluzji na ten temat. U młodych jest zawsze tyle ducha przekory. Mogłabym ich zrazić. Dawno, kiedy byli prawie dziećmi, sądziłam, że Elinor kocha się w Roddym. Nigdy jednak nie potrafiłam zgłębić jego uczuć. To dziwny człowiek... Dziwny... Henry był podobny... Powściągliwy i wymagający... Henry...

Na moment umilkła, pogrążona w myślach o zmarłym mężu.

– To było dawno, bardzo dawno... Nasz związek trwał tylko pięć lat... On umarł na obustronne zapalenie płuc... Byliśmy szczęśliwi, bardzo szczęśliwi... Cóż, dzisiaj tamte czasy wydają się czymś nierealnym... Byłam ledwie dorosłą, romantyczną osobką. Głowę miałam pełną ideałów, kultu bohaterstwa... Nie zdawałam sobie sprawy z rzeczywistości.

– Z pewnością czuła się pani strasznie osamotniona... później – szepnęła Mary.

– Później?... O tak!... Strasznie osamotniona. Miałam dwadzieścia sześć lat.

Obecnie przekroczyłam sześćdziesiątkę – urwała, by podjąć z niespodziewaną nutą gorczy: – A teraz znowu to!

– Pani choroba?

– Właśnie! Zawsze drżałam na myśl o paraliżu. To poniżające, pielęgnują mnie i myją jak niemowlę. Nic nie mogę zrobić sama! Ta O'Brien... Przyznaję, jest poczciwa i nie gorsza idiotką niż inne. Nie dąsa się, jeżeli czasami na nią warknę. Ale to wielka różnica mieć ciebie obok, Mary. Wielka różnica!

– Na serio, proszę pani? – pochwyciła zarumieniona dziewczyna. – Jakże mi miło!

– Martwisz się ostatnio i niepokoisz, prawda? – podjęła Laura Welman z domyślną miną. – Chodzi ci o przyszłość. Mnie to pozostaw, kochanie. Będiesz miała środki, by zdobyć niezależność i zawód. Ale chwilowo bądź cierpliwa, bo bardzo wiele dla mnie znaczy twoja obecność tutaj.

– Ach, proszę pani! Oczywiście! Za nic nie opuściłabym pani. Jeżeli jestem naprawdę potrzebna...

– Jesteś potrzebna – przerwała chora niezwykle głębokim, silnym głosem. – Uważam cię, Mary, prawie za córkę. Tutaj w Hunterbury rosłaś w moich oczach od



niemowlęcia i wyrosłaś na śliczną dziewczynę. Jestem z ciebie dumna, moje dziecko. Mam nadzieję, że zrobiłam dla ciebie wszystko, co mogłam zrobić.

– Jeżeli pani podejrzewa – odparła żywo Mary – że pani dobroć i zapewnienie mi wykształcenia... wykształcenia nad mój stan budzi we mnie rozgoryczenie i jak mój ojciec mówi „fasony” wielkiej damy... myli się pani. Jestem za wszystko bardzo wdzięczna, a zarabiać na sobie chcę dlatego, że moim zdaniem tak być powinno. Nie chciałabym... nie chciałabym próżnować otrzymawszy od pani tak wiele. Nie chciałabym pasożytować...

Głos Laury Welman zabrzmiał szorstką, gniewną nutą:

– A więc Gerrard nabija ci głowę takimi myślami! Nie dbaj o niego, moje dziecko. Nie było nigdy i nie będzie mowy o jakimś pasożytowaniu. Tylko przez wzgląd na siebie proszę, abyś została jakiś czas w Hunterbury. To nie potrwa długo... Gdyby podejść do zagadnienia, jak należy, moje życie powinno rychło dobiec kresu, zamiast wlec się nieskończenie pośród błazeństw lekarzy i pielęgniarek.

– Nic podobnego, proszę pani! Nic podobnego! Doktor Lord twierdzi, że może pani żyć długie lata.

– Dziękuję! Wcale mi na tym nie zależy. Wiesz, co raz powiedziałam Lordowi? W prawdziwym cywilizowanym społeczeństwie powinno wystarczyć jedno moje słowo, że nie myślę żyć w podobnych warunkach, by lekarz uśmiercił mnie bezboleśnie jakimś specyfikiem. Dodałam jeszcze: „I pan zrobiłby to, doktorze, gdyby zdobył się pan na odwagę”.

– Co też pani mówi! – zawołała przerażona dziewczyna.

– A ten źle wychowany młody człowiek – ciągnęła chora – uśmiechnął się krzywo i bąknął, że nie ma ochoty wisieć. Powiedział również: „Gdyby szanowna pani zapisała mi cały majątek... Ha! Inna sprawa”. Bezczelny osioł. Ale lubię smarkacza. Jego odwiedziny pomagają mi więcej niż lekarstwa.

– Jest bardzo sympatyczny – podchwyciła Mary. – Siostra O’Brien i siostra Hopkins wynoszą go pod niebiosa.

– Hopkins mogłaby mieć więcej rozumu w swoim wieku – obruszyła się starsza dama. – A ta O’Brien wzdycha: „Ach, pan doktor” i przewraca oczami na jego widok.

– Biedna siostra O’Brien.

– Niezła kobieta, tylko równie uprzykrzona, jak inne pielęgniarki. Wszystkim im się zdaje, że „filizaneczka doskonałej herbatki” musi ucieszyć chorego o piątej rano – urwała nagle. – Co to? Samochód?

Mary wyrzała przez okno.

– Samochód – potwierdziła. – Panna Elinor i pan Roderick przyjechali.

– Bardzo się cieszę z powodu ciebie i Roddy’ego – powiedziała bratanicy pani



Welman.

– Myślałam, że się ucieszysz, ciociu – uśmiechnęła się dziewczyna.

– Ty... ty go kochasz, prawda?

– Oczywiście – Elinor uniosła delikatny łuk brwi.

– Wybacz, moja droga – podjęła żywo chora. – Jesteś bardzo powściągliwa.

Trudno odgadnąć, co myślisz i czujesz. Kiedy obydwójce byliście znacznie młodszy, odnosiłam chwilami wrażenie, że Roddym interesujesz się... może trochę zanadto.

– Zanadto? – brwi Elinor powędrowały znów w górę.

– Tak. Przykro mi było chwilami. Przesadne zainteresowanie świadczy o braku rozsądku. Zdarza się to bardzo młodym dziewczętom... Byłam zadowolona, kiedy wyjechałaś do Niemiec dla dokończenia edukacji. Wróciłaś stamtąd odmieniona... powiedziałabym na pozór zupełnie obojętna dla niego. Martwiłam się i z tej przyczyny. Widzisz, jestem starą, kapryśną nudziarką. Trudno zadowolić mnie w zupełności. Wyobrażałam sobie zawsze, że możesz mieć zbyt gorącą naturę... Trafia się to w naszej rodzinie... To cecha niezbyt korzystna dla jej posiadacza. Jak już wspomniałam, wróciłaś z zagranicy jak gdyby obojętna dla Roddy'ego. Niepokoiłam się, bo od dawna miałam nadzieję, że wy dwoje będziecie razem. Tak się stało obecnie, chwała Bogu. I ty go kochasz, prawda?

– Kocham Roddy'ego tyle, ile należy, lecz nie zanadto – odrzekła poważnie Elinor.

– No to powinniście być szczęśliwi. Roddy potrzebuje miłości, ale nie lubi gwałtownych uczuć. Cofnąłby się wobec zbyt silnego instynktu posiadania.

– Ciocia zna go doskonale – wtrąciła Elinor.

– Jeżeli Roddy będzie interesował się tobą odrobinę więcej niż ty nim, to... To trudno o coś lepszego.

– Wyjątek z rubryki „Dobre rady ciotki Agaty” – roześmiała się dziewczyna. – „Podsycaj wątpliwości wielbiciela. Niech nie będzie ciebie zbyt pewien”.

– Niezadowolona jesteś, drogie dziecko? – zapytała żywo Laura Welman. – Czy coś jest nie w porządku?

– Nie... Nie... Wszystko w porządku.

– Pomyślałaś tylko, że to zabrzmiało trochę... trochę banalnie. Moja kochana, jesteś młoda i wrażliwa. Widzisz, życie bywa zazwyczaj banalne.

– Ja też tak podejrzewam – przyznała Elinor z nutą rozgoryczenia.

– Moje dziecko! Jesteś nieszczęśliwa. Dlaczego? – zapytała chora.

– Ależ nie... Skąd znowu – wstała, odeszła w stronę okna. – Ciociu Lauro, powiedz, tak z ręką za sercu, czy sądzisz, że miłość zawsze jest radosna?

Twarz pani Welman spoważniała:

– W takim sensie, jak ty rozumiesz, Elinor... nie, zapewne nie. Gwałtowne



ukołochanie innego człowieka daje zazwyczaj więcej smutku niż radości. Ale trudno, moja droga, uniknąć takiego doświadczenia. Ktoś, kto nigdy nie kochał naprawdę, nie poznał życia.

– Tak... Ty to rozumiesz, ciociu Lauro. Wiesz, jak sprawy wyglądają i... – urwała, spojrziała pytająco w oczy chorej. – Ciociu Lauro...

W tym momencie drzwi się otworzyły i do pokoju weszła rudowłosa pielęgniarka O'Brien.

– Proszę pani – odezwała się wesoło. – Pan doktor przyszedł.

Młody trzydziestodwuletni doktor Lord miał płowe włosy, nieładną, lecz sympatyczną, piegowatą twarz, bardzo wyraźnie zarysowany podbródek i bystre, jasnoniebieskie oczy.

– Witam łaskawą panią – powiedział.

– Dzień dobry, doktorze, Moja bratanica, panna Carlisle.

Na wyrazistej twarzy lekarza odmalował się szczerzy podziw.

– Witam panią. – Niepewnie ujął rękę Elinor, jak gdyby lękał się, że ją złamie.

– Elinor i mój bratanek przyjechali, aby rozerwać mnie trochę – podjęła chora.

– Doskonale! – ucieszył się doktor Lord. – Właśnie tego trzeba łaskawej pani. Z pewnością poczuje się pani nieporównanie lepiej – ciągnął nie odrywając od Elinor wzroku pełnego zachwyty.

Panna Carlisle postąpiła w kierunku drzwi.

– Chciałabym pomówić z panem doktorem po wizycie – powiedziała.

– Aa!... tak... ee... naturalnie.

Elinor zamknęła za sobą drzwi. Lekarz w asyście krygującej się pielęgniarki podszedł do łóżka. Pani Welman zerknęła nań spod oka.

– Normalna seria sztuczek, prawda, doktorze? Tętno, oddech, temperatura? Lekarze to okropni szarlatani!

– Ach, proszę pani! – westchnęła siostra O'Brien. – Jak można mówić coś podobnego lekarzowi!

– Pani Welman, siostrze, przejrzała mnie na wskroś – powiedział z uśmiechem doktor Lord. – Ale trudna rada, proszę pani, swoje zrobić muszę. Cały kłopot w tym, że za nic nie potrafię nauczyć się manier obowiązujących przy łóżku chorego.

– Pańskie maniery przy łóżku chorego są bez zarzutu. Wie pan o tym, doktorze. Jest pan z nich dumny.

– To tylko zdanie łaskawej pani – roześmiał się pogodnie młody lekarz.

Po kilku stereotypowych pytaniach i odpowiedziach usadowił się wygodniej na krześle i z uśmiechem spojrzął na pacjentkę.

– No cóż – podjął. – Radzi sobie pani wspaniale!

– Innymi słowy – podchwyciła Laura Welman – za parę tygodni wstanę i zacznę



spacery po domu. Czy to miał pan na myśli?

– No... Raczej nie tak szybko, łaskawa pani.

– Oczywiście! Szarlataneria, wieczna blaga! Jaka korzyść z życia, jeżeli człowiek musi leżeć dogładany niczym noworodek?

– A jaka korzyść z życia ogólnie biorąc? To naprawdę pytanie zasadnicze. Czytała pani kiedy o miłym średniowiecznym wynalazku, klatce w Tower zwanej „Niewygódka”? Nie można było tam stać, siedzieć ani leżeć. Zdawałoby się, że więzień musi umrzeć w krótkim czasie. Nic podobnego! Ktoś spędził w tej żelaznej klatce szesnaście lat, a po zwolnieniu doczekał sędziwego wieku.

– A morał z tej bajeczki? – zapytała Laura Welman.

– Morał? – powtórzył Peter Lord. – Że człowiek ma zawsze instynkt życia. Nie żyje dlatego, że nakazuje mu to takie czy inne rozumowanie. Ktoś, o kim mówimy: „lepiej, żeby umarł”, wcale nie życzy sobie śmierci. Z drugiej strony ludzie posiadający na pozór logiczny cel w życiu odchodzą, ponieważ brak im sił do walki.

– Słucham dalej, doktorze.

– To wszystko. Pani należy do osób, które chcą żyć, bez względu na to, co mówią. A jeżeli pani ciało pragnie życia, nie warto medytować o czym innym.

– Jak się pan czuje w naszej okolicy? – zmieniła nagle temat Laura Welman.

– Doskonale pod każdym względem – uśmiechnął się Peter Lord.

– Trochę tu martwo dla takiego młodego człowieka. Nie chciałby pan odbyć specjalizacji? Praca prowincjonalnego „omnibusa” jest trochę nudna, co?

Lekarz pokręcił głową.

– Nie, łaskawa pani. Odpowiada mi to zajęcie. Lubię prostych ludzi ich zwyczaje, codzienne niedomagania. Nie zależy mi na wykrywaniu niezwykłego mikroba jakiejś tajemniczej choroby. Wolę odrę, wietrzną ospę i podobne historie. Chętnie obserwuję, jak różnie reagują rozmaite organizmy. Zastanawiam się nad możliwościami ulepszenia ogólnie przyjętej terapii. Jestem absolutnie wyprany z wielkich ambicji. Zostanę tutaj, póki nie wyhoduję bokobrodów, a wtedy ludzie zaczną mówić: „Cóż, od niepamiętnych czasów mamy doktora Lorda. To bardzo miły staruszek, ale stosuje piekielnie przestarzałe metody. Może lepiej byłoby wezwać młodego X czy Y. Ten przynajmniej idzie z duchem postępu”.

– Hm... – bąknęła Laura Welman. – Widzę, że pan wszystko zaplanował.

Lekarz wstał z krzesła.

– Czas na mnie, łaskawa pani.

– Moja bratanica chciała zdaje się porozmawiać z panem. Chyba nie poznał pan jej dotąd, prawda? Jak się panu podoba?

Peter Lord zarumienił się mocno, po białka oczu.

– O... o... Niezwykła uroda... co? Widać, że panna Carlisle jest inteligenta i... i w





ogóle...

„Jaki on młody?” – pomyślała z uśmiechem Laura Welman i dorzuciła na głos:  
– Czas się ożenić, doktorze.

Roddy zawędrował do parku. Przeciął szeroki trawnik i przy końcu brukowanej alejki odnalazł furtkę, za którą był ogród warzywny – dobrze zaopatrzony i starannie utrzymany. Roddy zastanowił się, czy w swoim czasie zamieszka z Elinor w Hunterbury. Spodziewał się, że tak. Lubił życie na wsi, miał jednak pewne wątpliwości, czy odpowiada ono Elinor. Może wolałaby Londyn?

Trochę trudno wiedzieć coś pewnego o Elinor, która tak niewiele okazuje ze swoich myśli i uczuć. Dlatego właśnie jest interesująca. Roddy nie cierpiał ludzi, którzy opowiadają szeroko komuś drugiemu, co myślą albo czują, przekonani, że ten ktoś pragnie zbadać możliwie szczegółowo cały ich wewnętrzny mechanizm. Rezerwa jest z reguły nieporównanie ciekawsza.

Z przekonaniem myślał, że Elinor jest rzeczywiście doskonała. Nic w niej nie odpycha, nie razi. Ładna, lotna w rozmowie... jednym słowem, najbardziej czarująca towarzyszka życia.

„Diabło dopisało mi szczęście, że na nią trafiłem – medytowałem z przyjemnością. – Ale nie mam pojęcia, co ona widzi w takim, jak ja, przeciętnym facecie”.

Nie był zarozumiały, mimo pozornej wyniosłości. Istotnie dziwił się, dlaczego Elinor chce zostać jego żoną. Przyszłość widział w różowych barwach lub przynajmniej tak ją sobie wyobrażał, co graniczy ze szczęściem. Liczył na stosunkowo rychłe małżeństwo... to znaczy, jeżeli Elinor tak postanowi. Może będzie wolała poczekać? Nie trzeba jej przynaglać. Z początku będzie im oczywiście cokolwiek ciężko, ale nie ma się jednak czym przejmować. A później... Roddy życzył sobie szczerze, by ciocia Laura żyła jak najdłużej. Lubił ją naprawdę, a ona była dlań bardzo dobra. Zapraszała go na święta i wakacje, interesowała się, co robi.

Roddy wolał nie myśleć o śmierci stryjenki, bo zazwyczaj cofał się wobec przykrych spraw. Nie lubił wyobrażać ich sobie zbyt plastycznie. Ale później... Cóż? Miło będzie mieszkać tutaj, zwłaszcza że nie zabraknie pieniędzy na utrzymanie w porządku Hunterbury. Będzie ich nawet za dużo. Począł medytować, jak właściwie ciocia Laura rozporządzała majątkiem? Dla wielu kobiet to kwestia nader ważna, kto dysponuje pieniędzmi – mąż czy żona. Ale Elinor jest inna. Ma mnóstwo taktu i nie dba o pieniądze w takim stopniu, by robić wokół nich wiele hałasu.

„Nie! – myślał Roderick Welman. – Nie ma powodu do zmartwienia, bez względu na to, co się okaże”.

Z okolonego murem ogrodu warzywnego wyszedł bramą po jego przeciwległej stronie. Znalazł się w małym lasku, w którym wiosną kwitły żonkile. Naturalnie nie





było ich obecnie. Ale seledynowe światło połyskiwało uroczo w miejscach, gdzie blask słoneczny przenikł gęstwinę liści.

Na moment Roddy uległ szczególnemu niepokojowi – uczuciu całkowicie sprzecznemu z dotychczasową pogodą.

„Jest jednak coś... coś, czego nie mam i pragnę... namiętnie pragnę...”

Złocistozielone światło i łagodność powietrza przyspieszały puls, kazały krwi żywiej krążyć, budziły podniecenie.

Nagle Roderick Welman spostrzegł dziewczynę idącą w jego kierunku między drzewami – dziewczynę o bujnych, jasnych włosach i olśniewająco różowej cerze.

„Piękna – pomyślał. – Niewypowiedzianie piękna”.

Coś ścisnęło go za serce, więc przez moment stał cicho, nieruchomo, jak skamieniały. Miał wrażenie, że wszystko wokół mętnieje, wiruje, że cały świat oszalał – nagle, niewiarygodnie, cudownie.

Dziewczyna zatrzymała się na chwilę. Później podeszła do Rodericka Welmana, który tkwił w miejscu niedorzecznie oszołomiony, z ustami otwartymi jak ryba.

– Nie poznaje mnie pan, panie Rodericku? – zapytała z lekkim wahaniem. – Prawda, że to tak dawno... Jestem Mary Gerrard z portierni.

– Aa... oczywiście... – bąknął. – Panna Mary Gerrard...

– Tak – potwierdziła i zaraz podjęła dosyć niepewnie. – Zmieniłam się od czasu, kiedy pan mnie ostatni raz widział. To zrozumiałe.

– Naturalnie... – przyznał. – Ee... Zmieniła się pani... Nigdy bym nie poznał...

Stał zapatrzony w nią, więc nie usłyszał odgłosu zbliżających się kroków.

Jednakże Mary usłyszała i odwróciła się szybko.

Elinor milczała przez kilka sekund. Następnie powiedziała:

– O... O... Jak się masz, Mary?

– Dzień dobry, panno Elinor – odrzekła Mary. – Bardzo dobrze, że pani przyjechała. Pani Welman czekała niecierpliwie...

– Właśnie... Dawno nie byłam, ale... Siostra O'Brien prosiła, żeby cię poszukać, Mary. Chce przesłać łóżko pani Welman... Twierdzi, że jej zwykle przy tym pomagasz.

– Już idę, panno Elinor – Mary odwróciła się i odeszła szybko.

Wkrótce zaczęła biec. Elinor stała sztywno i spoglądała za dziewczyną urzekającą wdziękiem w każdym ruchu.

– Atalanta – szepnął Roddy.

Elinor milczała. Wreszcie rzuciła sucho:

– Niedługo obiad. Chodźmy już lepiej, Roddy.

Ramię w ramię ruszyli bez słowa w stronę domu.

– Zgódź się, Mary. To bardzo fajny film o Paryżu. Oparty na powieści



doskonałego autora. Jest i taka opera.

– Bardzo dziękuję, Ted, ale naprawdę nie pójdę.

– Ani rusz nie można cię teraz zrozumieć! – obruszył się Ted Bigland. – Jesteś inna, Mary, całkiem inna.

– Skąd znowu!

– Wiem, co mówię. Pewno dlatego, że byłeś w jakiejś ważnej szkole w Niemczech. Za dobra dla nas jesteś, co?

– Nieprawda, Ted. Bardzo się mylisz.

Przystojny, dobrze zbudowany młody człowiek był wzburzony, lecz patrzył na Mary z podziwem.

– Nie myślę się – rzucił. – Wyrosłaś na damę... prawie damę.

– „Prawie” to niezbyt przyjemny dodatek – podchwyciła z nagłą nutą rozżalenia.

– Chyba niezbyt przyjemny – zgodził się Ted.

– Ostatecznie, nikt nie dba dziś o takie coś jak prawdziwy dżentelmen czy prawdziwa dama – zmieniła ton dziewczyna.

– Nie tak jak dawniej... Pewnie – przyznał Ted po krótkim namyśle. – Ale zawsze... Jak Boga kocham, Mary, wyglądasz na hrabinę albo lepiej.

– To niewiele mówi. Widywałam hrabiny wyglądające na stare szmaciarki.

– Możliwe. Ale rozumiesz przecież, co miałem na myśli?

W tym momencie nadeszła okazała, majestatyczna postać ubrana w wytworną czerń i surowym spojrzeniem zmierzyła młodą parę.

– Moje uszanowanie pani – powiedział Ted ustępując grzecznie z drogi.

Pani Bishop – gospodyni z Hunterbury – łaskawie skłoniła głowę.

– Dzień dobry, Ted. Dzień dobry, Mary – rzuciła i odpłynęła niby okręt pod pełnymi żaglami.

Ted spoglądał za nią z szacunkiem.

– Ona rzeczywiście wygląda na księżnę – szepnęła Mary.

– Aha... I trzyma fason. Zawsze pocę się trochę pod kołnierzykiem, jak ją zobaczę.

– Nie lubi mnie – podjęła Mary.

– Co ty pleciesz, dziewczyno!

– Mówię poważnie. Zawsze zwraca się do mnie szorstko.

Ted pokiwał głową z głębokim zrozumieniem.

– Zazdrość. Powiadam ci, Mary, zazdrość, nic więcej.

– Czy ja wiem? – bąknęła bez przekonania. – Może...

– Na pewno! Ja ci to mówię. Od lat jest gospodynią w Hunterbury. Do niedawna rządziła wszystkim, robiła, co się jej podobało. A teraz ty przypadłaś do gustu pani Welman. To odsuwa ją. Kapujesz?

Mary spochmurniała cokolwiek.



– Głupia jestem – powiedziała – ale nie znoszę ludzkiej niechęci. Chcę, żeby mnie wszyscy lubili.

– Wykluczone, Mary – zawołał Ted. – Muszą nie lubić cię kobiety, różne zazdrosne wiedźmy. Za ładna jesteś.

– Nie cierpię zazdrości.

– Słusznie. Ale tak czy inaczej zazdrość istnieje. W zeszłym tygodniu byłem w Alledore na fajnym filmie. Clark Gable. Historia o milionerze, co zaniedbywał żonę, a ona udawała, że płaci mu podobnie. Był drugi gość...

– Bardzo przepraszam, Ted – przerwała żywo. – Już jestem spóźniona.

– Dokąd idziesz?

– Do siostry Hopkins na herbatę.

– Także gust! – skrzywił się chłopiec. – Nie ma większej plotkarki w okolicy!

Wszędzie musi wetknąć ten swój długi nochal.

– Mnie okazuje zawsze dużo serca.

– Wcale nie mówię, że jest zła. Za dużo gada i tyle.

– Do widzenia, Ted.

Mary odeszła żywo, a porzucony nagle młody człowiek spoglądał za nią smutnym wzrokiem.

Siostra Hopkins zajmowała mały domek przy końcu wiejskiej ulicy. Wróciła niedawno i rozwiązywała właśnie wstążki czepka, kiedy nadeszła Mary.

– A jesteś, moja droga – powiedziała.

– Spóźniłam się trochę, bo stara pani Caldecott znowu choruje. Przez to zwykły obchód zajął mi więcej czasu. Widziałam cię na ulicy z Tedem Biglandem.

– Aha – potwierdziła Mary tonem przygnębienia.

Pielęgniarka zerknęła na nią znad imbryka, pod którym zapalała gaz. Drgnął koniec jej długiego nosa.

– Powiedział ci coś szczególnego?

– Nie. Prosił tylko, żeby pójść z nim do kina.

– Rozumiem – podchwyciła z ożywieniem starsza kobieta. – Cóż. Sympatyczny chłopak i wcale nieźle zarabia w garażu, a jego ojciec radzi sobie lepiej niż inni farmerzy. Mimo wszystko jednak, moja droga, nie wydajesz mi się stosowna na żonę Teda Biglanda. Z twoim wykształceniem i w ogóle. Nie, Mary! Jak już mówiłam, na twoim miejscu wzięłabym się do nauki masażu, kiedy przyjdzie stosowna pora. Przy takim zajęciu ruszasz się, widzisz ludzi, no i mniej lub więcej rozporządzasz swoim czasem.

– Zastanowię się. Wczoraj pani Welman rozmawiała ze mną poważnie. Była bardzo miła. Wszystko wygląda dokładnie tak, jak siostra przewidywała. Nie życzę



sobie, żebym zaraz wyjechała, bo, jak powiedziała, boleśnie odczułaby mój brak. Mówiła jednak, że mogę się nie martwić o przyszłość, że to jej sprawa. Chce mi pomóc.

– Miejmy nadzieję – rzekła tonem powątpiewania siostra Hopkins – że ten swój zamiar potwierdzi czarno na białym. Ciężko chorzy postępują czasami dziwacznie.

– Jak siostra sądzi – zmieniła temat dziewczyna – czy pani Bishop rzeczywiście mnie nie lubi? A może to tylko moje urojenie?

Pielęgniarka wahała się przez chwilę.

– Istotnie – powiedziała – krzywo na ciebie patrzy. Ale, widzisz, ona należy do osób, które nie lubią, kiedy młodym dobrze się wiedzie albo ktoś dla nich coś robi. Może jest zdania, że pani Welman okazuje ci za dużo serca i dlatego się dąsa.

Roześmiała się pogodnie.

– Na twoim miejscu, kochanie, nie przejmowałabym się wcale. Lepiej rozpakuj tę torebkę. Są w niej dwa ciastka.



## Rozdział trzeci

*Ubiegłej nocy pani Welman miała drugi atak. Nie widzę powodów do bezpośrednich obaw, ale jeżeli możliwe, przyjazd wskazany.*

*Lord*

Zaraz po otrzymaniu depeszy Elinor zatelefonowała do Roddy'ego i obecnie znajdowali się obydwój w pociągu zmierzającym w kierunku Hunterbury.

W ciągu tygodnia, który minął od ich wizyty u pani Welman, mało się widywali. Przy paru przelotnych spotkaniach panowało między nimi szczególne skrępowanie. Roddy przysłał Elinor kwiaty: wielki bukiet imponująco długich róż. Było to z jego strony posunięcie raczej niecodzienne. Podczas wspólnego obiadu w restauracji zachowywał się bardziej niż zwykle uprzejmie, dobierał potrawy i napoje według gustu Elinor, pomagał jej gorliwie przy zdejmowaniu i nakładaniu płaszcza. Miała wrażenie, że Roddy zachowuje się po trosze jak na scenie, jakby grał rolę troskliwego narzeczonego.

Później strofowała się w myślach: „Nie bądź idiotką. Przecież wszystko w porządku, a ty Bóg wie co fantazjujesz. Ten twój przeklęty, ponury zmysł posiadania daje znów znać o sobie”.

Mimo wszystko jednak była wobec narzeczonego nieco bardziej powściągliwa, bardziej daleka niż zwykle.

Obecnie pod wpływem nagłego niepokoju, skrępowanie ustąpiło i młoda para prowadziła rozmowę w sposób prawie naturalny.

– Biedna staruszka – westchnął Roddy. – A tak się dobrze czuła, kiedy widzieliśmy ją ostatni raz.

– Okropnie mi jej żal – powiedziała Elinor. – Wiem, jak nienawidziła zawsze wszelkiego chorowania. A teraz jest jeszcze bardziej niedołączna i dręczy ją to z pewnością. Ach, Roddy! Należałoby uwalniać od życia ludzi, którzy naprawdę tego pragną.



– Słusznie. To jedyny prawdziwie kulturalny stosunek do zagadnienia. Zwierzętom skraca się przecież męki. Wobec ludzi nie obowiązuje taka zasada chyba tylko przez wzgląd na naturę ludzką, bo dla pieniędzy mili krewni mogliby pozbywać się osób, których stan nie jest beznadziejny.

Elinor zastanawiała się przez chwilę.

– Naturalnie decyzja musiałaby spoczywać w rękach lekarzy – podjęła.

– Lekarz też może być łajdakiem.

– Ale taki jak doktor Lord zasługuje na zaufanie.

– Tak – przyznał niedbale Roddy. – Sympatyczny chłopak. I robi wrażenie uczciwego.

Doktor Lord w asyście pielęgniarki O'Brien stał pochylony nad łóżkiem. W skupieniu, ze zmarszczonym czołem, usiłował zrozumieć bełkot dobywający się z ust chorej.

– Tak... Tak... – mówił. – Nie trzeba się denerwować, droga pani. Mamy moc czasu. Proszę tylko podnosić trochę prawą dłoń, kiedy chce pani powiedzieć: tak. Martwi coś panią?

Odpowiedzią był znak twierdzenia.

– Pilna sprawa, prawda? Chce pani coś zrobić, posłać po kogoś? Po pannę Carlisle? Pana Welmana? Oni już są w drodze.

Chora próbowała znów coś wytłumaczyć. Lekarz słuchał pilnie.

– Chciała pani, by przyjechali, ale to nie najważniejsze, prawda? W grę wchodzi inna osoba. Czy to ktoś z rodziny? Nie? Aha, rozumiem! Kwestie majątkowe, pieniężne? Potrzebny pani adwokat? Zgadza się! Zamierza pani wydać polecenia, prawda? No i porozumieliśmy się, co? Spokojnie... Spokojnie... Mamy moc czasu... Aha, chodzi o Elinor – ciągnął lekarz, który zdołał wyłowić z nieartykułowanych dźwięków imię panny Carlisle. – Elinor zna tego adwokata. Ona się z nim porozumie. Bardzo dobrze. Panna Carlisle będzie tu mniej więcej za pół godziny. Powtórzę wszystko, co łaskawa pani mówiła. Przyjdę z nią do pani. Wtedy wyjaśnimy resztę. A teraz proszę się nie kłopotać i mnie wszystko zostawić. Załatwimy sprawę tak, jak droga pani sobie życzy.

Doktor Lord stał przez chwilę obserwując wyraźną ulgę na twarzy chorej. Następnie odwrócił się i cicho wyszedł na korytarz w nieodłącznej asyście pielęgniarki. Siostra Hopkins była właśnie na podeście schodów, więc uprzejmie skinął jej głową.

– Dobry wieczór, panie doktorze – powiedziała lekko zdyszonym głosem.

– Dobry wieczór, siostrze.

W zwiększonej asyście wszedł do pokoju pielęgniarki O'Brien i tam wydał obu kobietom polecenia. Siostra Hopkins miała pozostać przy chorej do rana i potem



zmienić się z siostrą O'Brien.

– Jutro – ciągnął – postaram się o drugą domową pielęgniarkę. Trudna sprawa z powodu epidemii dyfterytu w Stamford. Tamtejszy szpital odczuwa brak personelu.

Wskazówki zostały wysłuchane z głębokim szacunkiem irytującym trochę skromnego doktora Lorda, który zerknął na zegarek i stwierdziwszy, że bratanica i bratanek winni nadjechać lada chwila, zszedł po schodach, aby ich spotkać.

W hallu natknął się na bladą, przygnębioną Mary Gerrard.

– Lepiej jej? – zapytała żywo.

– Postarałem się zapewnić chorej spokojną noc. Chwilowo nie mogę zrobić nic więcej.

– To straszne... Okrutne! – westchnęła żałośnie.

– Tak. Czasami niepodobna tak nie myśleć. Wydaje mi się... – urwał nagle. –

Samochód!

Ruszył w kierunku drzwi. Mary pośpieszyła na piętro.

– Bardzo z nią źle? – zapytała Elinor wchodząc do salonu.

Roddy był blady, miał zatroskany wyraz twarzy.

– Obawiam się, że zadam państwu bolesny cios – odparł lekarz z powagą. – Chora jest całkowicie sparaliżowana. Bardzo trudno zrozumieć, co mówi. Niewątpliwie coś ją niepokoi. Moim zdaniem chce wezwać swojego doradcę prawnego. Wie pani, kto to taki?

– Pan Seddon – powiedziała szybko Elinor. – Prowadzi kancelarię przy Bloomsbury Square. Nie przyjmuje o tej porze, a jego adresu domowego nie znam.

– Nic pilnego – uspokoił ją doktor Lord. – Mamy czas do jutra. Ale chciałbym możliwie szybko wytłumaczyć to chorej. Jeżeli zechce pani towarzyszyć mi na górę, z pewnością poradzimy sobie wspólnymi siłami.

– Naturalnie. Chodźmy do niej, doktorze.

– Chyba ja nie będę potrzebny? – zapytał Roddy z nutą nadziei w głosie.

Wstyd mu było, lecz odczuwał nerwowy lęk na myśl o pokoju chorej, jej bezradności, nieartykułowanym bełkocie.

– Oczywiście, proszę pana – zapewnił go natychmiast lekarz. – Im mniej osób w sypialni, tym lepiej.

Wyraz twarzy Roddy'ego zdradził niewątpliwą ulgę. Elinor i doktor Lord pospieszyli na piętro, gdzie pielęgniarka O'Brien była na posterunku.

Laura Welman oddychała z wysiłkiem, rżąc. Leżała jak gdyby w omdleniu. Elinor spoglądała na nią przez chwilę, wstrząśnięta widokiem ściągniętych, wykrzywionych rysów.

Nagle prawa powieka chorej drgnęła, uniosła się z wolna. Wyraz twarzy uległ nieuchwytniej zmianie. Laura Welman poznała bratanicę, poruszyła wargami.



– Elinor...

Dźwięk był niezrozumiały dla kogoś, kto nie potrafiłby przewidzieć go z góry.

– Jestem, ciociu, jestem – podchwyciła spiesznie panna Carlisle. – Proszę się nie martwić. Chce ciocia, żeby wezwać pana Seddona, prawda?

Z ust chorej dobył się znowu głuchy, ochryply dźwięk.

– Chodzi o Mary Gerrard? – zapytała domyślnie Elinor.

Prawa dłoń Laury Welman drgnęła, uniosła się lekko. Poczęła znowu rzeźić długo, z uporem. Lekarz i bratanica usiłowali coś zrozumieć. Wreszcie Elinor zdołała wyłowić z chaosu jeden wyraz.

– Legat? Chce ciocia, ustanowić w testamencie legat dla Mary Gerrard? Chce ciocia zostawić jej pieniądze? Rozumiem, droga, kochana ciociu Lauro. To prosta sprawa. Jutro przyjedzie pan Seddon i wszystko załatwimy zgodnie z życzeniem cioci.

Chora uspokoiła się widocznie. Z jej oczu zniknął wyraz zagubienia. Elinor ujęła jej rękę i poczuła delikatny uścisk palców.

Pani Welman wymówiła z niezmiernym wysiłkiem:

– Tobie... Wszystko... Tobie...

– Tak, tak, ciociu! Rozumiem. Mnie możesz zaufać. Wszystko załatwię tak, jak tego pragniesz – podchwyciła Elinor.

Raz jeszcze poczuła lekki uścisk palców, który zelżał po chwili. Powieki chorej opadły znowu.

Doktor Lord ujął Elinor pod ramię i cicho wyprowadził z sypialni. Pielęgniarka O'Brien zajęła miejsce przy łóżku.

Na podeście Mary Gerrard rozmawiała z siostrą Hopkins, lecz na widok lekarza podeszła doń żywo.

– Mogę tam pójść? – zapytała. – Bardzo proszę, panie doktorze.

– Proszę – skinął głową. – Tylko spokojnie, panno Mary. Nie wolno drażnić chorej.

Dziewczyna weszła do sypialni.

– Pociąg się spóźnił. Państwo... – zaczął Peter Lord i urwał raptownie.

Elinor miała głowę odwróconą. Spoglądała za Mary. Nagle zorientowała się, że zapanowała cisza, więc drgnęła i skierowała pytający wzrok ku lekarzowi, który przyglądał się jej ze zdziwieniem. Zarumieniła się mocno.

– Bardzo przepraszam – rzuciła spiesznie. – Co pan zaczął mówić, doktorze?

– Co zacząłem mówić? – powtórzył wolno. – Nie pamiętam. Proszę pani – podjął z zapalem – w pokoju chorej była pani niezrównana: bystra, pogodna, taka jak trzeba.

Pielęgniarka Hopkins dyskretnie pociągnęła nosem.

– Biedna staruszka! – powiedziała Elinor. – Płakać się chce na jej widok.

– Rzecz zrozumiała – przyznał Lord. – Ale nie okazywała pani wzruszenia.





Dowodzi to wielkiego opanowania.

Elinor Carlisle ściągnęła usta.

– Nauczyłam się nie ujawniać uczuć.

– Każda maska może się zsunąć czasami – szepnął lekarz.

Pielęgniarka Hopkins wyszła ostentacyjnie do łazienki. Elinor Carlisle uniosła cienkie brwi, spojrzała doktorowi prosto w oczy:

– Maską?

– Tak. Ludzka twarz to w gruncie rzeczy maska... ni mniej, ni więcej.

– A pod maską?

– Pod maską kryje się pierwotny człowiek, mężczyzna lub kobieta.

Elinor odwróciła się szybko, ruszyła w stronę schodów. Peter Lord podążył za nią zbity z tropu, zasepiony.

W hallu czekał Roddy.

– No i co? – zapytał żywo.

– Biedactwo – westchnęła Elinor. – Przykro na nią patrzeć. Nie powinieneś chodzić tam Roddy, póki... póki ona cię nie poprosi.

– Czy... Czy chciała czegoś... specjalnie? – podjął młody człowiek.

– Muszę pożegnać panią – zwrócił się lekarz do Elinor. – Na razie nie mogę zrobić nic więcej. Wstąpię jutro z samego rana. Dobranoc pani... I proszę się zanadto nie martwić.

Przez chwilę trzymał dłoń panny Carlisle w szczególnie mocnym uścisku. Spoglądał na nią dziwnie – odniosła wrażenie, że trzyma jej rękę jak gdyby współczująco.

Kiedy drzwi zamknęły się za doktorem Lordem, Roddy powtórzył pytanie.

– Ciocia Laura niepokoi się o... o pewne sprawy majątkowe – odparła Elinor. – Zdołałam ją uspokoić, gdy zapewniłam, że pan Seddon przyjdzie jutro. Pierwsza rzecz, musimy zatelefonować do niego.

– Chce sporządzić nowy testament? – zapytał Roddy.

– Nie wspomniała o tym.

– A co... – urwał raptownie.

Mary Gerrard zbiegła po schodach, minęła hali i zniknęła za drzwiami wiodącymi do gospodarskiej części domu.

– Słucham? – rzuciła szorstko Elinor. – O co chciałeś spytać?

– Ja... O co? – wyjąkał. – Nie pamiętam.

Patrzył w kierunku drzwi, którymi wyszła Mary Gerrard.

Elinor zacisnęła pięści. Poczowała, jak jej długie, spiczaste paznokcie wbijają się w ciało. „Nie zniosę tego – pomyślała. – Nie wytrzymam. To prawda, nie złudzenie... Roddy, Roddy! Ja nie mogę cię utracić. Boże!... Wielki Boże! Co ten człowiek...



doktor dostrzegł w mojej twarzy... wtedy... na górze? Coś dostrzegł z pewnością... Życie jest straszne, straszne! Jak można czuć to, co ja teraz czuję! Muszę się opamiętać, powiedzieć coś... byle głupstwo”.

– Nie jestem głodna, Roddy – odezwała się naturalnym, spokojnym głosem. – Zrezygnuję z kolacji. Posiedzę trochę przy cioci Laurze, więc obie pielęgniarki będą mogły zejść na dół.

– I ze mną zjeść kolację? – zaniepokoił się Roddy.

– Nie ugryzą cię – rzuciła cierpko.

– Ale ty, Elinor? Musisz się trochę posilić. Może najpierw my usiądziemy do stołu, a one później?

– Nie. Mój projekt wygląda lepiej. Widzisz, takie osoby są bardzo przeczulone i wrażliwe – powiedziała Elinor i dodała w myśli: „Nie potrafiłabym siedzieć z nim sam na sam w jadalni... rozmawiać... zachowywać się normalnie”. – Pozwól, że ja zadecyduję w tych kwestiach – dorzuciła chłodno.



## Rozdział czwarty

Następnego rana obudziła Elinor nie pokojówka, lecz sama pani Bishop, szeleszcząca staromodną czernią i zapłakana.

– Ach, panno Elinor! Już jej nie ma.

– Co takiego?

Dziewczyna usiadła w łóżku.

– Pani najdroższa ciocia. Pani Welman, moja ukochana pani, umarła we śnie.

– Ciocia Laura? Nie żyje?

Elinor miała oczy szeroko otwarte. Zdawać się mogło, że nie może zrozumieć żałobnej wieści. Gospodyni szlochała rozpaczliwie.

– Mój Boże!... Po tylu latach... Jestem tutaj od osiemnastu lat, ale... Ale to wcale nie zdaje się tak długo.

– Umarła podczas snu... bezboleśnie – szepnęła z wolna Elinor. – To dla niej wielka łaska.

– Taka nagła śmierć – lamentowała pani Bishop. – Doktor mówił, że przyjdzie z rana. Wszystko wyglądało zwyczajnie.

– To nie była nagła śmierć w ścisłym znaczeniu – rzuciła ostro Elinor. – Ciocia długo chorowała. Na szczęście uniknęła długiej agonii.

Gospodyni przyznała przez łzy, że to istotnie wielkie szczęście, i dodała:

– Kto zawiadomi pana Rodericka?

– Ja.

Panna Carlisle narzuciła szlafrok i po chwili zastukała do drzwi pokoju narzeczonego. Z wnętrza dobiegł głos:

– Proszę.

– Roddy – powiedziała Elinor wchodząc do pokoju. – Ciocia Laura nie żyje. Umarła we śnie.

Z kolei Roddy usiadł na łóżku, odetchnął głęboko.

– Biedna, kochana ciocia Laura! – westchnął. – Cóż, należy tylko Bogu dziękować. Nie potrafiłbym patrzeć długo na nią w takim stanie, w jakim widziałem ją



wczoraj wieczorem.

– Nie miałam pojęcia, Roddy, że byłeś u niej – powiedziała bezwiednie.

– Otwarcie mówiąc – bąknął niepewnie Roddy – zawstydziłem się własnego tchórzostwa. Przemogłem się. Byłem u niej późnym wieczorem. Pielęgniarka, ta tęga, wyszła po coś... Zdaje się z termoforem do kuchni. Skorzystałem z okazji i zakradłem się do pokoju. Naturalnie ona nic nie wiedziała. Postąłem chwilę, popatrzyłem na ciocię. Później usłyszałem na schodach kroki pani Gamp, więc wyniosłem się dyskretnie... To był okropny widok, okropny.

– Istotnie okropny – przyznała Elinor.

– Ona sama nienawidziła tego – każdej minuty swojej męki.

– Wiem.

– To cudownie, Elinor, że mamy zawsze jednakowy pogląd na różne sprawy.

– Aha... Cudownie.

– W tej chwili odczuwamy obydwójce jedno i to samo: głęboką ulgę z racji wyzwolenia biednej cioci Laury.

– Co się stało, siostrzo? – zapytała pielęgniarka O'Brien. – Nie może pani czegoś znaleźć?

Siostra Hopkins – czerwona i zdenerwowana – szperała w torbie, którą minionego wieczoru zostawiła w hallu.

– A to dopiero! – mamrotała. – Nic nie rozumiem! Jak mogłam zrobić coś podobnego?

– Ale co?

– To ta Eliza Rykin... Wie siostrzo? Chora na raka – padła niezbyt jasna odpowiedź.

– Dwa razy dziennie, rano i wieczorem, robię jej zastrzyk morfiny. Wczoraj wieczorem zużyłam ostatnią tabletkę ze starej fiołki, ale mogłabym przysiąc, że nową miałam w torbie.

– Niech siostrza dobrze poszuka. Te fiołki są bardzo małe.

Pielęgniarka Hopkins jeszcze raz zbadła drobiazgowo zawartość torby.

– Nie ma. Widać zostawiłam ją w domu, na komodzie. Myślałam, że mogę bardziej zaufać pamięci. Byłam zupełnie pewna, że wzięłam nową fiołkę.

– A po drodze nie rozstawała się siostrza z torbą?

– Na pewno nie! – rzuciła z przekonaniem pielęgniarka Hopkins.

– W takim razie, wszystko w porządku.

– Naturalnie. Torba leżała tylko tutaj, w hallu, a przecież nikt nie ruszy niczego w takim domu. Ale to moja pamięć, siostrzo! Irytująca sprawa. No i teraz będę musiała pójść na drugi koniec wsi, do domu, i wrócić stamtąd.

– Mam nadzieję, moja droga, że po tej strasznej nocy nie czeka panią dzień zbyt



męczący. Biedna staruszka! Wiedziała, że nie pociągnie długo.

– Ja również. Za to doktor Lord będzie trochę zaskoczony.

– Lubi odnosić się optymistycznie do swoich chorych – dodała pielęgniarka O'Brien z nutą łagodnej przygany.

Siostra Hopkins była gotowa do drogi.

– Jest młody. Brak mu naszego doświadczenia – orzekła autorytatywnie i posepnie, i z tymi słowy rozstała się z koleżanką.

Doktor Lord stanął jak wryty. Jego płowe brwi powędrowały w górę, prawie dotknęły włosów nad czołem.

– Umarła? Niemożliwe!

– Tak jest, panie doktorze.

Siostra O'Brien miała na końcu języka liczne szczegóły na temat zgonu, ale czekała karnie na pytania.

– Umarła... – powtórzył lekarz w zamyśleniu; przez chwilę milczał, by ostatecznie rzucić szorstko: – Proszę mi przynieść trochę wrzątku.

Pielęgniarka była zdumiona i zaskoczona, lecz wierna surowej dyscyplinie szpitalnej nie dociekała przyczyn. Gdyby lekarz kazał przynieść skórę aligatora, odpowiedziałaby mechanicznie: „Tak jest, panie doktorze” i opuściła pokój, aby rozwikłać trudny problem.

– Twierdzi pan mecenas, że moja stryjenka umarła nie sporządziwszy testamentu?  
– powiedział Roderick Welman.

Pan Seddon przetarł okulary.

– Tak by się wydawało.

– Zdumiewające!

Prawnik odchrząknął, jak gdyby z lekką przyganą.

– Nie tak zdumiewające – podjął – jak pan sobie wyobraża. Takie rzeczy zdarzają się znacznie częściej, niż się na ogół sądzi. Działa tu specyficzny przesąd. Ludzie radzi myślą, że na wszystko przyjdzie właściwa pora. Mają wrażenie, że sam fakt napisania testamentu przybliży w pewnym sensie godzinę śmierci. To dziwne, proszę pana, ale prawdziwe.

– Czy nigdy pan mecenas nie... nie rozmawiał z nią na ten temat?

– Wiele razy – odparł sucho pan Seddon.

– I co mówiła?

– Rzeczy zwyczajne w takich razach. Nic pilnego. Nie wybiera się prędko na tamten świat. Nie zdecydowała jeszcze ostatecznie, jak rozporządzić majątkiem.

– Niewątpliwie jednak po pierwszym ataku... – spróbowała wtrącić Elinor.



– Nic podobnego! – przerwał pan Seddon. – Było gorzej niż uprzednio. Nie pozwalała wspomnieć słówkiem na ten temat.

– Zdumiewające!

– Nic podobnego! – powtórzył prawnik. – Zupełnie naturalne. Choroba wpłynęła na stan nerwów pani Welman.

– Ale ona pragnęła śmierci – powiedziała Elinor stłumionym głosem.

Prawnik przetarł znów okulary.

– Droga panno Elinor. Umysł ludzki to nad wyraz dziwaczny mechanizm. Pani Welman mogła czuć i myśleć, że z utęsknieniem czeka śmierci, lecz równolegle żywić tajone nadzieje na zupełny powrót do zdrowia. I właśnie ta nadzieja budziła myśl, że sporządzenie testamentu zbliży nieszczęście. Oczywiście pani Welman chciała zadysponować majątkiem, lecz z dnia na dzień odkładała tę czynność. Pan wie najlepiej – nagle zwrócił się do Roddy’ego tonem niemal osobistej wycieczki – jak człowiek unika spraw nieprzyjemnych, którym nierad stawić czoła.

– Tak... – młody człowiek zarumienił się mocno. – Ja... Oczywiście... Rozumiem, co pan ma na myśli.

– Właśnie – powiedział prawnik. – Pani Welman miała zamiar wyrazić swą ostatnią wolę, lecz uważała zawsze, że jutro jest stosowniejszą porą niż dzisiaj. Przekonywała samą siebie, że czasu jej nie zabraknie.

– Dlatego była zdenerwowana wczoraj wieczorem i domagała się wizyty pana mecenasa – powiedziała wolno Elinor.

– Z pewnością – zgodził się pan Seddon.

– I co teraz będzie? – zapytał niespokojnie Roddy.

– Z majątkiem pani Welman? – prawnik odchrząknął ponownie. – Ponieważ umarła nie pozostawiwszy testamentu, wszystko dziedziczy najbliższa żyjąca krewna, panna Elinor Carlisle.

– Wszystko? – szepnęła dziewczyna.

– Część przypadnie skarbowi państwa w formie podatku spadkowego – uzupełnił prawnik i począł wyjaśniać szczegóły. – Majątku nie obciążą żadne legaty ani ograniczenia własności, a zatem pani Welman dysponowała nim bez zastrzeżeń. Na tych samych zasadach otrzyma go panna Carlisle. Obawiam się, że podatek spadkowy wyniesie pokaźną kwotę, mimo to jednak zostanie wielka fortuna ulokowana w walorach, jak to się mówi, stuprocentowo pewnych.

– Ale Roderick... – zaczęła Elinor.

Prawnik odparł z dyskretnym kasznięciem.

– Pan Welman jest tylko bratankiem męża nieboszczki. Więzy krwi nie istnieją.

– Oczywiście – wtrącił Roddy.

– Kwestia, komu z nas obojga dostaną się pieniądze, nie posiada istotnego



znaczenia, gdyż pobierzemy się wkrótce – podjęła Elinor nie spoglądając na narzeczonego.

– Oczywiście – przyznał z kolei prawnik tonem być może zbyt skwapliwym.

– Przecież to nie ma istotnego znaczenia, naprawdę nie ma! – powiedziała Elinor z błagalnym akcentem.

Pan Seddon wyjechał już z Hunterbury.

Twarz Roddy'ego drgała nerwowo.

– Tobie się wszystko należało – zawołał. – Sprawiedliwie! Na miłość boską, Elinor, nie nabijaj sobie głowy podejrzeniami, że ja ci zazdroszczę. Nie chcę tych przeklętych pieniędzy.

– W Londynie już – podjęła Elinor bez przekonania – zgodziliśmy się, że to mało ważna kwestia, bo... bo mamy się pobrać.

Nie było odpowiedzi.

– Czy zapomniałeś, Roddy? – nalegała panna Carlisle. – Sam to mówiłeś.

– Mówiłem – przyznał.

Młody człowiek patrzył na swoje stopy. Twarz miał bladą, posępną, usta boleśnie zaciśnięte.

Elinor zmieniła ton, dumnie podniosła głowę.

– Ta kwestia nie ma istotnego znaczenia – podjęła – jeżeli się pobierzemy. Ale czy to pewne, Roddy?

– Co?

– Że się pobierzemy?

– Byłem przekonany, że żywisz taki zamiar – odrzekł spokojnie z ledwie wyczuwalną nutą goryczy. – Jeżeli jednak obecnie zmieniłaś plany...

– Ach, Roddy! Czemu nie stać cię na uczciwość? – wybuchnęła.

Zarumienił się mocno i podjął cicho, niepewnie.

– Nie wiem, co się ze mną dzieje.

– Ja wiem – odrzekła zdławionym głosem.

– Może masz słuszość, że podświadomie cofam się przed myślą o życiu na koszt żony – podchwycił skwapliwie.

Elinor była blada, bardzo spokojna.

– Nie w tym sedno sprawy. Chodzi o coś zupełnie innego – urwała na moment. – O Mary, prawda?

– Chyba tak – bąknął żałośnie. – Skąd wiesz?

– Prosta sprawa – odparła wykrzywiając boleśnie wargi. – Każdy potrafi wyczytać to w twojej twarzy, kiedy patrzysz na tę dziewczynę.

Młody człowiek załamał się nagle.



– Ach, Elinor!... Nie mam pojęcia, co się stało! Chyba oszalałem... Wtedy, pierwszego dnia... Zobaczyłem ją w lesie... Jej twarz... Cały świat stanął dęba... Ty tego nie rozumiesz...

– Rozumiem, Roddy. Mów dalej.

– Nie chciałem jej pokochać... Nie chciałem, Elinor. Z tobą byłem zupełnie szczęśliwy... Ach, Elinor! Łajdak ze mnie, że zwieram się właśnie tobie!

– Nic podobnego. Mów dalej. Słucham.

– Cudowna jesteś – podjął żałośnie. – Taka rozmowa to dla mnie wielka ulga. Jestem do ciebie przywiązany. Możesz mi wierzyć, Elinor. Tamto, to całkiem inna sprawa... Jak gdyby oczarowanie. Wywraca wszystko: moją koncepcję życia i radość życia... Wszystko, co uporządkowane, przyzwoite, rozsądne...

– Miłość rzadko bywa rozsądna – wtrąciła łagodnie.

– Masz słuszność – przyznał z rozpaczą.

– Powiedziałeś jej? – zapytała trochę drżącym głosem.

– Dziś rano. Jak idiota... Zupełnie straciłem głowę.

– Aha...

– Naturalnie zamknęła mi zaraz usta. Była wstrząśnięta, oburzona z powodu cioci Laury i ciebie.

Panna Carlisle zsunęła z palca pierścionek z brylantem.

– Lepiej weź to, Roddy.

Sięgnął po pierścionek i bąknął niepewnie, nie spoglądając na nią:

– Nie masz pojęcia, jakim się czuję bydlakiem.

– Myślisz, że ona wyjdzie za ciebie? – zapytała chłodno.

– Czy ja wiem? – pokręcił głową. – W każdym razie nieprędko. Nie sądzę, by kochała mnie już teraz. Ale może pokochać...

– Chyba masz rację. Musisz zostawić jej czas, nie widywać na razie. Później zaczniesz od nowa...

– Elinor! Kochana! Jesteś najlepszym pod słońcem przyjacielem – żywo chwycił jej dłoń i pocałował. – Wiesz, że kocham cię tak, jak zawsze. Ale Mary... Chwilami wydaje mi się snem... Obudzę się i zrozumieję, że jej wcale nie było.

– Gdyby jej nie było... – zaczęła Elinor i umilkła.

– Czasami pragnę tego – przerwał z uczuciem. – My należymy do siebie... Ty i ja. Należymy do siebie, prawda?

Panna Carlisle pochyliła głowę.

– Tak – szepnęła i dodała w myśli: – „Gdyby Mary nie było...”







## Rozdział piąty

- Pogrzeb był śliczny! – powiedziała z przejęciem pielęgniarka Hopkins.
- Śliczny! – zawtórowała pielęgniarka O'Brien. – A kwiaty! Widziała siostra kiedy coś podobnego? Harfa z białych lilii, krzyż z herbacianych róż. Coś cudownego!
- Starsza koleżanka westchnęła i posmarowała masłem herbatnik.
- Rozmowa toczyła się w kawiarni „Pod Błękitnym Szpakiem”.
- Panna Carlisle jest hojna – ciągnęła pielęgniarka Hopkins. – Szczodrze mnie obdarowała, chociaż nie była do tego zobowiązana.
- Hojna, sympatyczna osoba! – przyznała z zapałem pielęgniarka O'Brien. – Boże! Jak ja nie cierpię skąpstwa!
- Cóż, dziedziczy wielką fortunę.
- To dziwne... – zaczęła pielęgniarka O'Brien i urwała.
- Co dziwne? Śmiało!
- Że nieboszczka nie zostawiła testamentu.
- Dziwne i podłe! – rzuciła zawzięcie pielęgniarka Hopkins. – Powinno się zmuszać ludzi do pisania testamentu. W przeciwnym razie powstają tylko komplikacje.
- Zastanawiam się, jak nieboszczka rozporządziłaby majątkiem, gdyby zdażyła spisać ostatnią wolę – podjęła młodsza z kobiet.
- Wiem jedno.
- Co? Co takiego?
- Na pewno zostawiłaby coś dla Mary... Mary Gerrard.
- Naturalnie! – przyznała gorąco pielęgniarka O'Brien i popuściła wodze irlandzkiej fantazji. – Opowiadałam już siostrze, jak to było krytycznego wieczora, i że doktor Lord robił wszystko, co w ludzkiej mocy, by uspokoić biedulkę. Panna Elinor była też w sypialni i Bogiem się świadczyła, że wezwie adwokata i załatwi wszystko, jak trzeba. „Mary, Mary” – mówiła biedna staruszka, a panna Elinor zapytała, czy chodzi o Mary Gerrard, i przyrzekła zaraz, że Mary nie będzie stratna.
- Naprawdę tak było? – zapytała nie bez powątpiewania pielęgniarka Hopkins.
- Naprawdę! – potwierdziła stanowczo pielęgniarka O'Brien. – I więcej powiem



siostrze! Gdyby pani Welman zdażyła sporządzić testament, wszyscy mogliby mieć niespodziankę. Kto wie, czy nie zapisałaby Mary Gerrard całej fortuny, do ostatniego pensa.

– Wątpię... Nie tak łatwo wydziedziczyć najbliższych krewnych.

– Bywają krewni i krewni – odrzekła siostra O'Brien, zagadkowo, niby wyrocznia.

– Nie rozumiem, co to ma znaczyć – obruszyła się pielęgniarzka Hopkins.

– Nie jestem plotkarką – odparła godnie druga. – No i nie chcę oczerniać nikogo ze zmarłych.

– Słusznie... zupełnie słusznie. Mowa jest srebrem, milczenie złotem.

Pielęgniarzka Hopkins poważnie kiwnęła głową i nałala wrzasku do imbryka.

– Aha! – podjęła pielęgniarzka O'Brien. – Czy w domu znalazła siostra fiolkę z morfiną?

– Nie. W głowę zachodzę, gdzie się podziała. Ostatecznie mogło być tak: mogłam położyć fiolkę na brzeżku komody, a kiedy zamykałam szufladę, stracić ją niechcący do kosza na papiery. Widzi siostra, kosz był i tak pełen i wysypano jego zawartość do śmietnika zaraz po moim odejściu. Niewątpliwie! Tak być musiało. Nie wyobrażam sobie, jak w inny sposób mogłaby zginąć ta fiołka.

– Aha... Rozumiem – powiedziała pielęgniarzka O'Brien. – Istotnie, tak być musiało. Przecież nie zostawiła siostra swojej torby nigdzie, tylko w hallu Hunterbury, a więc to chyba słuszny domysł... Tak! Fiołka z pewnością trafiła do śmietnika.

– Z pewnością – powtórzyła skwapliwie pielęgniarzka Hopkins. – Trudno wymyślić coś innego – sięgnęła po różowo lukrowane ciastko. – Chyba, że... – urwała nagle.

Pielęgniarzka O'Brien przytaknęła szybko – może cokolwiek za szybko.

– Na miejscu siostry wcale bym się nie martwiła – dodała.

– Toteż nie martwię się wcale – powiedziała pielęgniarzka Hopkins.

Elinor, bardzo młoda i surowa w żałobnej czerni, siedziała w bibliotece, przy ciężkim, zarzuconym papierami biurku pani Welman. Dopiero co skończyła rozmowy ze służbą i panią Bishop. Z kolei Mary Gerrard weszła do pokoju i na moment zatrzymała się przed drzwiami.

– Chciała mnie pani widzieć, panno Elinor.

Elinor oderwała wzrok od blatu biurka.

– Tak. Mary. Tak... Podejdź bliżej. Usiądź, proszę.

Dziewczyna postąpiła kilka kroków i zajęła krzesło wskazane przez pannę Carlisle. Stało przodem do okna, więc blask słońca padał na twarz Mary, ukazywał olśniewająco czystą cerę, połyskiwał jasnym złotem na włosach.

Elinor przesłaniała twarz dłonią i spoglądając przez palce na Mary myślała: „Czy podobna nienawidzić kogoś tak okropnie i nie zdradzić swojej nienawiści?”



Po chwili odezwała się uprzejmie, rzeczowo:

– Niewątpliwie wiesz, Mary, że moja ciotka bardzo interesowała się tobą i myślała o zabezpieczeniu ci przyszłości.

– Pani Welman zawsze była dla mnie bardzo dobra – wtrąciła Mary cichym, łagodnym głosem.

– Gdyby moja ciotka sporządziła testament – podjęła panna Carlisle nie zmieniając tonu – z pewnością chciałaby zostawić pewne legaty. Nie zdążyła rozporządzić majątkiem, a zatem na mnie ciąży odpowiedzialność za spełnienie jej życzeń. Porozumiałam się z panem Seddonem i wspólnie ułożyliśmy listę legatów dla służby w zależności od czasu spędzonego w Hunterbury i innych okoliczności – umilkła na moment. – Ty, oczywiście, niezupełnie należysz do tej kategorii.

Miała zapewne nikłą nadzieję, że żądło ostatniego zdania ukłuje boleśnie. Ale twarz, w którą spoglądała, nie zmieniła się. Mary przyjęła jej wypowiedź dosłownie. Słuchała pilnie, co nastąpi dalej.

– Ostatniego wieczora – ciągnęła Elinor – pani Welman miała poważne zakłócenia mowy, udało jej się jednak wyrazić część swoich myśli. Z całą pewnością chciała sporządzić zapis, który zabezpieczyłby twoją przyszłość.

– Zawsze była dla mnie bardzo dobra – szepnęła Mary.

– Po zakończeniu postępowania spadkowego polecę wypłacić ci dwa tysiące funtów na własność.

Mary zarumieniła się mocno.

– Dwa tysiące funtów? Ach, panno Elinor! Jaka pani dobra. Doprawdy, nie wiem, jak dziękować.

– Nie jestem dobra – rzuciła szorstko panna Carlisle – i, proszę cię, nic nie mów. Twarz Mary poróżowiła jeszcze bardziej.

– Nie wyobraża sobie pani, co to dla mnie znaczy.

– Bardzo mi miło – powiedziała Elinor, zrobiła pauzę, odwróciła wzrok od twarzy Mary i spoglądając w kąt pokoju, zapytała niepewnie:

– Chciałabym wiedzieć, czy... Czy masz jakieś plany, Mary?

– O, tak! – ożywiła się dziewczyna. – Myślę o nauce czegoś pożytecznego... Może masażu. Tak przynajmniej radzi mi siostra Hopkins.

– Chyba to dobry pomysł... Pomówię z panem Seddonem o wypłaceniu ci zaliczki w terminie najwcześniejszym... zaraz, jeżeli to możliwe.

– Pani jest bardzo, bardzo dobra, panno Elinor.

– Spełniam tylko życzenie ciotki Laury – rzuciła krótko Elinor i po momencie wahania dodała: – To wszystko, Mary.

Tym razem dziewczyna odczuła szorstkie słowa odprawy.

– Bardzo dziękuję, panno Elinor – powiedziała wstając z krzesła i wyszła z



biblioteki.

Elinor pozostała na miejscu bez ruchu, zapatrzona przed siebie. Wyraz jej twarzy nie zdradził toku myśli, lecz długo, bardzo długo siedziała tak za biurkiem.

Wreszcie panna Carlisle wyszła, by poszukać Roddy'ego i znalazła go w saloniku. Stał zapatrzony w okno i odwrócił się raptownie, gdy drzwi skrzypnęły.

– No, załatwione! – powiedziała Elinor. – Pięćset funtów dla pani Bishop... Cóż, była tu tyle lat. Sto dla kucharki i po pięćdziesiąt dla Milly i Olive. Reszta zostanie po pięć funtów, tylko główny ogrodnik Stephens dwadzieścia pięć. Naturalnie, jest jeszcze stary Gerrard. Niezręczna historia... Nic jeszcze nie postanowiłam, ale myślę, że trzeba go będzie spensjonować – zrobiła krótką pauzę i podjęła spieszenie: – Dla Mary Gerrard przeznaczyłam dwa tysiące funtów. Jak sądzisz, czy to zgodne z życzeniem ciotki? Mnie suma wydaje się stosowna.

– Najzupełniej – przyznał Roddy nie spoglądając na nią. – Ty, Elinor, potrafisz zawsze zarządzić wszystko, jak należy.

Odwrócił się, zapatrzył znowu w okno. Panna Carlisle wstrzymała na moment oddech. Później zaczęła mówić szybko, połykając słowa:

– Jest jeszcze jedna sprawa... Roddy... Chciałam... To przecież słuszne... sprawiedliwe... Ty, Roddy, musisz także otrzymać swój udział.

Młody człowiek odwrócił się gwałtownie, a że twarz miał gniewną, Elinor nie dopuściła go do głosu.

– Nie, Roddy! Posłuchaj! To zwykła sprawiedliwość. Pieniądze należały do twojego stryja... Później dostały się jego żonie... Ale twój stryj myślał, że ostatecznie ty je otrzymasz. Podobnego zdania była też ciocia Laura. Na pewno! Wynikało to z jej wielu wypowiedzi. Mnie dostanie się jej majątek... Zgoda! Ale do ciebie należy wszystko, co on pozostawił. Nie widzę innego słusznego rozwiązania. Za nic nie zniosłabym myśli, że ograłam cię tylko dlatego, że ciocia Laurze nie chciało się sporządzić testamentu. Roddy! Ty musisz, musisz zrozumieć sytuację.

Pociągła, wyrazista twarz młodego człowieka pobladła trupio.

– Na Boga, Elinor! Chcesz, żebym się czuł ostatnim kundlem? Czy łudzisz się przez moment, że mógłbym przyjąć od ciebie pieniądze?

– Ja ci nic nie daję. Tak każe zwyczajna uczciwość.

– Nie chcę twoich pieniędzy – zawołał Roderick Welman.

– Nie są moje!

– Z punktu widzenia prawa twoje. To rozstrzyga kwestię. Na miłość Boską, Elinor, trzymajmy się jedynie litery prawa. Nie przyjmę od ciebie ani pensa. Nie chcesz chyba grać wobec mnie roli szczodrej dobrej wróżki!

– Roddy! – krzyknęła.



– Moja droga... – bezradnie rozłożył ręce. – Przepraszam... Nie wiem, co mówię. Taki jestem oszołomiony... zagubiony.

– Biedny Roddy – szepnęła.

Odwrócił się znowu, ujął chwast przy sznurze zasłony okiennej.

– Czy wiesz co... Jakie plany ma Mary Gerrard? – zapytał innym już, zupełnie zdawkowym tonem.

– Powiada, że chce się uczyć masażu.

– Aha – bąknął.

Zapadła cisza. Po chwili Elinor zebrała się w sobie, podniosła głowę.

– Roddy! – podjęła mocnym głosem. – Chciałabym, żebyś wysłuchał mnie uważnie.

– Naturalnie, Elinor – spojrzał na nią nie bez zdziwienia.

– Chciałabym, żebyś zastosował się do mojej rady.

– A mianowicie?

– Nie jesteś szczególnie skrupowany – powiedziała spokojnie. – Zawsze możesz wziąć urlop, prawda?

– Tak.

– Więc słuchaj... Wyjedź dokądkolwiek za granicę, na... powiedzmy trzy miesiące. Wyjedź sam... Zwiedzaj nowe miejsca, zawieraj nowe znajomości. Mówmy otwarcie. Obecnie myślisz, że jesteś zakochany w Mary Gerrard. Może i jesteś. Ale to najniestosowniejszy moment, by... by zbliżyć się do Mary i dobrze zdajesz sobie z tego sprawę. Nasze zaręczyny są zerwane nieodwołalnie. A więc jedź za granicę, jako człowiek wolny, a po upływie trzech miesięcy, jako człowiek wolny, postanów coś ostatecznie. Wtedy będziesz wiedział, czy rzeczywiście ją kochasz, czy też było to przelotne zamroczenie. Jeżeli dojdiesz do wniosku, że kochasz ją naprawdę, wróć do niej, powiedz, że to głęboka, trwała miłość. W takim przypadku Mary zechce cię zapewne wysłuchać.

Roderick podszedł do byłej narzeczonej, ujął jej rękę.

– Jesteś cudowna, Elinor! Taka rozumna, zdumiewająco obiektywna! Nie ma w tobie cienia małostkowości, wyrachowania. Trudno wyrazić, jak bardzo cię podziwiam. Posłucham twojej rady. Wyjadę, oderwę się od przeszłości i zbadam, czy zachorowałem poważnie, czy też zrobiłem z siebie durnia nad durniami. Ach, Elinor! Kochana! Nawet nie wyobrażasz sobie, jaka jesteś mi bliska. Zawsze wiedziałem, że jesteś tysiąc razy więcej warta ode mnie. Niech cię Bóg błogosławi za twą dobroć.

Szybko, gorąco pocałował Elinor i wyszedł. Dobrze, że nie obejrzał się, że nie mógł zobaczyć jej twarzy.

W dwa dni później Mary zaznajomiła pielęgniarkę Hopkins z korzystną zmianą



swojej sytuacji.

Praktyczna niewiasta powinszowała jej gorąco.

– Dopisało ci szczęście, moja droga. Pani Welman mogła mieć wobec ciebie najlepsze chęci, ale ponieważ nie spisała ich czarno na białym... Cóż, same dobre chęci mało znaczą! Łatwo mogło ci się nic nie dostać.

– Panna Elinor twierdzi, że tamtego wieczoru przed śmiercią pani Welman poleciła jej coś dla mnie zrobić.

– Możliwe! – obruszyła się siostra Hopkins. – Ale niejednej osobie wygodnie byłoby zapomnieć o tym później. Osieroceni krewni często bywają tacy. Ja ci to mówię, a dużo widziałam w życiu. Umierający mówią, że wypełnienie swoich życzeń spokojnie zostawiają kochanej córce lub kochanemu synowi. Ale w dziewięciu przypadkach na dziesięć kochany syn albo kochana córka znajduje później pretekst, by się wymigać. Natura ludzka jest naturą ludzką. Nikt nie lubi rozstawać się z pieniędzmi, jeżeli prawo nie zmusza go do tego. Powtarzam jeszcze raz, droga Mary: dopisało ci szczęście! Panna Carlisle okazała się uczciwsza niż inni.

– A jednak... – podjęła wolno Mary. – A jednak mam wrażenie, że ona mnie bardzo nie lubi.

– I nie bez powodu! – wypaliła prosto z mostu starsza kobieta. – Ach, Mary, Mary! Nie udawaj niewiniątka. Od pewnego czasu pan Roderick robi do ciebie słodkie oczy.

Dziewczyna zaczerwieniła się po uszy.

– Widać, że wpadł poważnie – ciągnęła siostra Hopkins. – Zakochał się w jednej chwili. No, a ty, Mary? Czujesz coś do niego?

– Nie wiem – bąknęła z wahaniem. – Myślę, że nie, ale... Ale zdaje mi się, że jest bardzo miły.

– Hm... – podjęła pielęgniarka. – To nie byłby mój typ. Nerwowy, kapryśny... No i z pewnością wymagający co do jedzenia. Na ogół mężczyźni niewiele są warci. Nie spiesz się, kochana Mary, nie spiesz. Ze swoją urodą możesz przebierać i wybierać. Siostra O'Brien wspomniała raz w rozmowie ze mną, że powinnaś próbować szczęścia w filmie. Podobno szukają tam teraz blondynek.

Dziewczyna zmarszczyła czoło.

– Siostro – powiedziała – jak mam postąpić z ojcem? On jest zdania, że należy mu się część pieniędzy.

– Nic sobie z tego nie rób, moja droga! – wybuchnęła pielęgniarka Hopkins. – Na pewno pani Welman nie dla niego przeznaczyła swoje pieniądze. Moim zdaniem od lat straciłby posadę, gdyby nie ty, kochanie. Jak żyję, nie widziałam gorszego walkonia.

– Dziwię się – wtrąciła Mary – że mając tyle pieniędzy pani Welman nie rozporządziła nimi jakoś.



– Ludzie są często tacy... Lubią takie sprawy odkładać i odkładać.

– To bardzo nierozumnie – powiedziała Mary.

Starsza kobieta zerknęła na nią spod oka.

– A ty, mała, sporządziłaś testament?

– Ja? Nie.

– A przecież jesteś pełnoletnia.

– Tak... Ale dotychczas nic nie miałam. Dopiero teraz... Tak by się przynajmniej zdawało.

– Oczywiście – rzuciła stanowczo siostra Hopkins. – Masz pieniądze i to wcale ładną sumkę.

– Mój Boże... Nic pilnego.

– A widzisz! Nie różnisz się od innych. Jesteś zdrową, młodą osóbką, ale to nie powód, abyś nie mogła zginąć każdej chwili w katastrofie kolejowej czy autobusowej albo zostać przejechana na ulicy.

– Nie mam nawet pojęcia, jak spisuje się testament – roześmiała się dziewczyna.

– Prosta sprawa. Formularz dostaniesz na pocście. Wiesz co? Chodźmy tam i weźmy go od razu.

Kiedy wróciły do domku siostry Hopkins, formularz spoczął na stole i wynikła dyskusja nad istotną kwestią. Gospodyni była ożywiona i przejęta, bo w jej opinii pisanie testamentu graniczyło z gotowaniem się na śmierć.

– Kto dostałby pieniądze, gdybym nie sporządziła testamentu? – zapytała Mary.

– Kto? – pielęgniarka Hopkins nie była zupełnie pewna. – Chyba twój ojciec.

– Nic z tego! – obruszyła się Mary. – Wolę zostawić wszystko ciotce w Nowej Zelandii.

– Obdarzanie ojca nie miałyby sensu... On nie pociągnie długo, że się tak wyrażę.

Mary wysłuchiwała równie posępnych wróżb siostry Hopkins zbyt często, by mogły wywierać wrażenie.

– Nie przypominam sobie adresu ciotki – powiedziała. – Od lat nie mieliśmy od niej wiadomości.

– To nic nie szkodzi, jeżeli znasz jej imię.

– Mary. Mary Riley.

– W porządku. Napisz po prostu, że pozostawiasz wszystko Mary Riley, siostrze nieżyjącej Elizy Gerrard z Hunterbury pod Maidensford.

Dziewczyna pochyliła się nad formularzem, zaczęła pisać. Kiedy skończyła, wzdrygnęła się nagle, bo padł na nią cień kogoś, kto przysłonił słońce. Odwróciła głowę i zobaczyła za oknem pannę Carlisle.

– Nad czym tak pracujesz, Mary? – zapytała Elinor.

Gospodyni wyręczyła gościa w odpowiedzi.





– Pisze testament.

– Testament! – Elinor roześmiała się dziwnie, prawie histerycznie. – A więc piszesz testament. Mary. Zabawne! Bardzo zabawne!

Ze śmiechem odwróciła się i szybko odeszła uliczką. Pielęgniarka Hopkins spoglądała za nią zdumionym wzrokiem.

– Także historia – powiedziała. – Co się jej stało?

Elinor zdążyła zrobić ledwie kilkanaście kroków i śmiała się jeszcze, gdy poczuła na ramieniu czyjaś rękę. Zatrzymała się raptownie i odwróciła głowę.

Doktor Lord spoglądał jej prosto w twarz. Czoło miał zmarszczone.

– Z czego się pani tak śmieje? – zapytał.

– Prawdę mówiąc... nie wiem.

– Szczególna odpowiedź.

Panna Carlisle zarumieniła się lekko.

– Chyba nerwy lub... coś w tym sensie – podjęła. – Zajrzałam właśnie przez okno do domku pielęgniarki rejonowej i zobaczyłam Mary Gerrard zajęta spisywaniem testamentu. To mnie tak rozśmieszyło... Nie mam pojęcia, czemu.

– Naprawdę?... Nie ma pani pojęcia?

– Zupełnie nie rozumiem... jestem strasznie roztrzęsiona... Mówiłam już panu, doktorze.

– Zapiszę coś pani na uspokojenie.

– Wyborny sposób! – rzuciła z ironią Elinor.

– Wiem, że nie najlepszy – podchwycił lekarz. – Ale niewiele więcej można zrobić, jeżeli ktoś nie chce powiedzieć, co mu dolega.

– Mnie nic nie dolega!

– Nic? – powiedział spokojnie Peter Lord. – Moim zdaniem chyba niejedno.

– Przeżywam swego rodzaju kryzys nerwowy... To wszystko.

– Nawet poważny kryzys nerwowy... Ale nie to miałem na myśli – zrobił nieznaczną pauzę. – Długo zostanie pani w Hunterbury?

– Wyjeżdżam jutro z rana.

– I nie chce pani tu zamieszkać?

– Nie. Za nic. Pewno... Pewno sprzedam posiadłość, jeżeli otrzymam znośną propozycję.

– Rozumiem – powiedział bezbarwnie.

– Przepraszam – rzekła panna Carlisle. – Śpieszę się do domu.

Stanowczym gestem wyciągnęła do lekarza rękę, którą na moment zatrzymał w swojej dłoni.

– Proszę pani – rozpoczął ciepłym tonem – czy zechce mi pani powiedzieć, co pani



myślała, kiedy przed chwilą śmiała się pani tak dziwnie?

Szybko wyrwała rękę.

– Co myślałam?

– Właśnie to chciałbym wiedzieć – doktor Lord miał poważny, zasepiony wyraz twarzy.

– Cała historia wydała mi się komiczna. Nic więcej.

– Że Mary Gerrard pisała testament? Dlaczego? Przecież to krok zupełnie rozsądny. Oszczędza wielu późniejszych kłopotów i... Chociaż niekiedy może być źródłem kłopotów.

– Ma pan rację. Każdy powinien spisać swą ostatnią wolę. Nie to mnie rozśmieszyło.

– Niewątpliwie powinna to była zrobić pani Welman.

– Niewątpliwie – przyznała Elinor z nutą szczerzego przekonania i zarumieniła się. Peter Lord zapytał nieoczekiwanie:

– A pani?

– Ja?

– Właśnie! Dopiero co zgodziła się pani, że każdy powinien spisać ostatnią wolę. Czy pani to zrobiła? – powiedział lekarz.

Elinor przyglądała mu się bez słowa przez kilka minut. Później wybuchnęła śmiechem.

– Niebywale! Nie, doktorze. Nie napisałam testamentu. Na myśl mi to nie przyszło. Jestem zupełnie podobna do cioci Laury. Wie pan co? Pójdę teraz do domu i niezwłocznie napiszę do pana Seddona.

– Bardzo rozumne posunięcie – orzekł Peter Lord.

*Szanowny i Drogi Panie!*

*Zechce Pan przygotować do podpisu mój testament. Będzie bardzo prosty. Chcę pozostawić wszystko Roderickowi Welmanowi.*

*Szczerze życzliwa*

*Elinor Carlisle*

Elinor skończyła pisać w bibliotece i spojrzała na zegar. Za kilka minut odchodziła poczta.

Wysunęła szufladę biurka i w tym momencie przypomniała sobie, że rano nakleiła ostatni znaczek, lecz zapas ma w swoim pokoju na piętrze.

Poszła tam, a gdy ze znaczkiem w ręku wróciła do biblioteki, Roddy stał pod oknem.

– A więc wyjeżdżasz jutro – powiedział. – Stare, kochane Hunterbury. Dobrze



nam tutaj było.

– Nie weźmiesz mi za złe, jeżeli sprzedam tę posiadłość?

– Skąd znowu, Elinor! Moim zdaniem to najrozsunniejsze posunięcie.

Zapadło milczenie. Panna Carlisle sięgnęła po list, przebiegła go wzrokiem.

Następnie zakleiła i opatrzyła znaczkiem kopertę.



## Rozdział szósty

List pielęgniarki O'Brien do pielęgniarki Hopkins, z czternastego lipca:

*Droga Siostrzo!*

*Od kilku dni zamierzam napisać do Pani. Dom tutaj ładny, a galeria obrazów podobno sławna. Ale nie tak wygodnie, jak w Hunterbury. Rozumie Siostra, co mam na myśli, prawda? Na głuchej wsi trudno o dobrą służbę, więc pokojówki są niewyrobione, a niektóre nawet mało uprzejme, chociaż ja nie mam zwyczaju sprawiać kłopotu SWOJĄ osobą. Myślę, że przysyłane na tacy potrawy mogłyby być gorące, prawda? Brak mi też urządzenia do gotowania wody, a herbatę nie zawsze parzy się wrzątkiem! Poza tym, jak wszędzie. Pacjent – sympatyczny starszy pan – ma obustronne zapalenie płuc, ale kryzys już minął.*

*Chciałabym napisać o czymś, co zacieka Siostrę, bo to najdziwniejszy pod słońcem zbieg okoliczności. W salonie, na fortepianie stoi fotografia w grubej srebrnej ramce i – proszę sobie wyobrazić! – to ta sama, co tamta z podpisem „Lewis”, o którą, jak mówiłam Siostrze, poprosiła w swoim czasie nieboszczka pani Welman. Naturalnie zainteresowało mnie, kto to może być, więc spytałam kamerdynera, a on powiedział, że to brat lady Raltery, sir Lewis Rycroft. Mieszkał w niedalekim sąsiedztwie i poległ na wojnie. Smutna historia, prawda? Od niechcienia zapytałam, czy był żonaty, i usłyszałam, że tak, ale biedna lady Rycroft została umieszczona w zakładzie dla umysłowo chorych wkrótce po ślubie. Do dziś dnia żyje. Szczególne wydarzenie, prawda?*

*Wszystkie nasze domysły okazały się mylne. Z pewnością oni, to znaczy ten Lewis i pani W., byli w sobie zakochani, ale nie mogli się pobrać z powodu tej żony w zakładzie dla umysłowo chorych.*



*Historia jak z filmu! Że też ona pamiętała przez tyle lat i przed śmiercią chciała spojrzeć na jego fotografię! On poległ w 1917 roku, jak mówi kamerdyner. Istny romans, prawda?*

*Nie ma tutaj kina. Coś okropnego, tak zagrzebać się na wsi! I co się dziwić, że trudno o wykwalifikowane pokojówki!*

*Na razie kończę i serdecznie pozdrawiam Siostrę. Proszę o wiadomości.*

*Życzliwa Eileen O'Brien*

List pielęgniarki Hopkins do pielęgniarki O'Brien z czternastego lipca:

*Droga Siostró!*

*U nas wszystko po staremu. Tylko w Hunterbury pustki. Służba odeszła. Na bramie napis: „Do sprzedania”. Wczoraj spotkałam panią Bishop, która zamieszkała u siostry, mniej więcej o milę stąd. Wytrąciła ją z równowagi zamierzona sprzedaż Hunterbury. Trudno się dziwić. Była przekonana, że panna Carlisle wyjdzie za pana Welmana i młodzi osiedlą się w odziedziczonej posiadłości. Pani B. twierdzi, że zaręczyny zerwane! Panna Carlisle wyniosła się do Londynu niedługo po wyjeździe Siostry. Spostrzegłam parę razy, że zachowuje się dziwnie. Nie wiem doprawdy, co o niej sądzić. Mary Gerrard jest też w Londynie i rozpoczyna naukę masażu. Moim zdaniem wybrała roztropnie. Panna Carlisle przeznaczyła dla niej dwa tysiące funtów. Postąpiła bardzo ładnie, lepiej niż niejeden by zrobił.*

*Teraz z innej beczki! Jakie dziwne rzeczy się zdarzają. Z pewnością Siostra pamięta, że mówiła mi o fotografii z podpisem Lewis, którą oglądała przed śmiercią pani Welman. Otóż kilka dni temu rozmawiałam z panią Slattery. Była ona gospodynią u starego doktora Ransorne'a, który praktykował tutaj przed doktorem Lordem. W tych stronach mieszka od urodzenia i wie niejedno o państwie z sąsiedztwa. Mimochodem skierowałam rozmowę na ten temat. Powiedziałam przy sposobności, że imię Lewis jest rzadko spotykane. Pani Slattery wymieniła kilka osób o tym imieniu. Znalazł się pośród nich sir Lewis Rycroft z Forbes Park. Służył w siedemnastym pułku lansjerów i zginął pod koniec wojny. Powiedziałam, że o ile mi wiadomo, sir Lewis Rycroft był bliskim przyjacielem nieboszczki pani Welman. Na to ona spojrziała na mnie*



*z ukosa i powiedziała, że istotnie łączyła ich bliska przyjaźń, niektórzy nawet twierdzą, że więcej niż przyjaźń, ale ona nie lubi plotek i ostatecznie dlaczego nie mieliby być przyjaciółmi? Powiedziałam, że w tym czasie pani Welman musiała już być wdową, co ona potwierdziła, ale miała dziwną minę, więc łatwo odgadłam, że coś się za tym kryje. Nie zapytałam o nic, tylko wyraziłam zdziwienie, że się nie pobrali, a ona zaraz: „Nie mogli. On miał żonę w szpitalu wariatów”. A więc, moja droga, wszystko wiemy. Dziwnie się dzieje na tym wiecie. Teraz łatwo o rozwód, a wtedy obłąd nie stanowił wystarczającego powodu.*

*Pamięta Siostra takiego przystojnego chłopca, Teda Biglanda, który kręcił się koło Mary Gerrard? Był u mnie z prośbą o jej londyński adres. Nie dałam. Moim zdaniem Mary wyrosła znacznie nad Teda Biglanda. Nie wiem, czy Siostra to spostrzegła, ale R.W. zawrócił sobie nią głowę. Szkoda, bo ta historia narobi wiele kłopotów. Wspomni Siostra moje słowa! To jest istotny powód zerwania zaręczyn między K. W. a panną Carlisle. Bardzo ją to zabolowało. Nie mam pojęcia, co w nim widzi, bo dla mnie to nieciekawy typek, wiem jednak z godnych zaufania źródeł, że od dawna kocha go jak szalona.*

*To się nazywa zamieszanie, prawda? W dodatku jej dostała się cała fortuna, a on z pewnością był pewien, że ciotka hojnie go zaopatrzy.*

*Stary Gerrard kończy się szybko. Ostatnio miał kilka niedobrze wróżących ataków. Jest równie gburowaty i drażliwy jak zawsze. Raz powiedział wyraźnie, że Mary nie jest jego córką. A ja na to: „Na pańskim miejscu wstydziłabym się gadać coś podobnego o zmarłej żonie”. Stary spojrział na mnie spod tła i mówi: „Siostra jest głupia i nic nie rozumie”. Uprzejmy, co? Powiedziałam mu bez ogródek, co o tym myślę. Jego żona była zdaje się przed ślubem panną służącą pani Welman.*

*Szczerze oddana  
Jessie Hopkins*

Pocztówka pielęgniarki Hopkins do pielęgniarki O'Brien:

*Minęły się nasze listy! Jeszcze jeden dziwny zbieg okoliczności.  
Pogoda okropna.*



Pocztówka pielęgniarki O'Brien do pielęgniarki Hopkins:

*Dziś dostałam list Siostry. Zdumiewająca historia!*

List Rodericka Welmana do Elinor Carlisle, z piętnastego lipca:

*Droga Elinor!*

*Przed chwilą otrzymałem Twój list. Naprawdę nie mam żadnych zastrzeżeń przeciw sprzedaży Hunterbury, ale ładnie z Twojej strony, że pytasz mnie o zdanie. Sądzę, że to najrozsunniejsze posunięcie, skoro, jak widzę, nie masz zamiaru tam mieszkać. Możesz mieć pewne trudności, bo jak na dzisiejsze czasy, Hunterbury jest cokolwiek za dużą rezydencją. Ułatwi sprzedaż fakt, że dom został zmodernizowany: ma wygodne pomieszczenia dla służby, gaz, światło elektryczne, wszystko, co trzeba. Tak czy inaczej, życzę Ci powodzenia.*

*Wspaniałe ciepło tutaj! Długie godziny spędzam w morzu. Towarzystwo rozmaite i dość interesujące, ale unikam znajomości. Powiedziałaś raz, że jestem oporny pod tym względem. Być może! Lwia część rodzaju ludzkiego budzi we mnie odrazę i zapewne odwzajemnia to uczucie.*

*Od dawna uważam Ciebie, Elinor, za jedyną prawdziwie godną przedstawicielkę człowieczeństwa. Myślę teraz o dwutygodniowej włości wzdłuż wybrzeża Dalmacji. Po dwudziestym drugim pocztę adresuj do Cooka w Dubrowniku. Daj znać, gdybym mógł Ci w czymś pomóc.*

*Pełen podziwu i wdzięczności*

*Roddy*

List pana Seddona z firmy adwokackiej Seddon, Blatherwick i Seddon do panny Elinor Carlisle, z dwudziestego lipca.

*Szanowna i Droga Pani!*

*Moim zdaniem stanowczo powinna Pani przyjąć ofertę majora Somervella: dwanaście tysięcy pięćset funtów za Hunterbury. Niesłychanie trudno sprzedać obecnie dużą posiadłość, a więc proponowana cena wydaje się zupełnie godziwa. Jednakże major*



*Somervell uzależnia kupno od niezwłocznego wejścia w posiadanie, a że, jak mi wiadomo, ogląda również inne posiadłości w sąsiedztwie, zalecałbym spieszłą decyzję.*

*Major Somervell zamierza wydzierżawić dom z całym urządzeniem na trzy miesiące, w którym to czasie zdążymy przeprowadzić formalności związane z uzyskaniem prawa do spadku, a następnie umowę kupna-sprzedaży.*

*Jeżeli chodzi o sprawę spensjonowania odźwiernego Gerrarda, nie należy się spieszyć, ponieważ wiem od doktora Lorda, że Gerrard jest poważnie chory i zapewne nie będzie żył długo.*

*Legaty nie zostały dotąd zatwierdzone, tymczasem jednak przekazałem Mary Gerrard zaliczkę w kwocie stu funtów.*

*Łączę wyrazy poważania  
Edmund Seddon*

List doktora Lorda do panny Elinor Carlisle, z dwudziestego czwartego lipca:

*Szanowna Pani!*

*Stary Gerrard zmarł dzisiaj. Czy mógłbym być w czymś przydatny Szanownej Pani? Słyszałem, że Hunterbury kupuje od Pani nasz nowy deputowany do Parlamentu, major Somervell.*

*Szczerze oddany  
Peter Lord*

List Elinor Carlisle do Mary Gerrard, z dwudziestego piątego lipca:

*Droga Mary!*

*Z przykrością dowiedziałam się o zgonie Twojego Ojca.*

*Hunterbury kupił ode mnie major Somervell, któremu bardzo zależy na niezwłocznym wejściu w posiadanie. Wybieram się tam, by przejrzeć papiery ciotki i ostatecznie uporządkować wszystko. Czy mogłabyś usunąć z domku odźwiernego możliwie najszybciej rzeczy pozostałe po Twoim Ojcu? Mam nadzieję, że dobrze Ci się wiedzie i nauka masażu nie jest zbyt męcząca.*

*Życzliwa  
Elinor Carlisle*

List Mary Gerrard do pielęgniarki Hopkins, z dwudziestego piątego lipca:





*Droga Siostró!*

*Z głębi serca dziękuję za list o Ojcu, a zwłaszcza za wiadomość, że nie cierpiał. Panna Elinor napisała, że sprzedaje Hunterbury, więc mam możliwie najspieszniej zabrać wszystko z domu. Czy mogę zatrzymać się u Siostry, kiedy jutro przyjadę na pogrzeb? Proszę nie trudzić się odpowiedzią, jeżeli Siostra się zgadza.*

*Zawsze ta sama*

*Mary Gerrard*



## Rozdział siódmy

W czwartek, dwudziestego siódmego lipca, Elinor Carlisle wyszła rano z hotelu „Pod Herbem Królewskim” i przez chwilę stała spoglądając w prawo i w lewo wzdłuż głównej ulicy Maidensford. Nagle krzyknęła radośnie i szybko przeszła na drugą stronę jezdni.

– Pani Bishop!

– Panna Elinor! A to niespodzianka! Nie oczekiwałam pani. Gdybym wiedziała, że przyjedzie pani do Hunterbury, byłabym na miejscu. Kto usługuje pani? Czy może przywiozła pani pokojówkę z Londynu?

– Nie mieszkam w Hunterbury. Zatrzymałam się „Pod Herbem Królewskim”.

Pani Bishop zerknęła ku przeciwległej stronie ulicy i z dezaprobatą pociągnęła nosem.

– Podobno tam znośnie – powiedziała. – Czysto i kuchnia, jak słyszałam, nie najgorsza. Ale pani przywykła do czegoś lepszego.

– Zupełnie mi tam dobrze – uśmiechnęła się Elinor. – Zresztą chodzi tylko o parę dni. Muszę uporządkować osobiste rzeczy ciotki. Chciałabym też zabrać do Londynu kilka sztuk mebli.

– A więc naprawdę sprzedała pani Hunterbury?

– Tak. Posiadłość kupił major Somervell, nasz nowy deputowany do Parlamentu. Wie pani przecież, że sir George Kerr zmarł i były wybory uzupełniające.

– Wiem, wybory bez kontrkandydata. Maidensford reprezentował zawsze konserwatysta.

– Cieszę się, że dom nabył ktoś, kto tam zamieszka. Byłoby mi przykro, gdyby w Hunterbury urządzono hotel lub rozprzedano grunty na działki budowlane.

Pani Bishop przymknęła oczy, a cała jej arystokratyczna postać wzdrygnęła się nagle.

– To byłoby okropne – powiedziała – w istocie rzeczy okropne! I tak strach pomyśleć, że Hunterbury przechodzi w obce ręce.

– Zapewne – podchwyciła spiesznie panna Carlisle. – Ale... widzi pani... to trochę



za duży dom... dla osoby samotnej.

Starsza dama znów pociągnęła nosem.

– Aha – podjęła żywo Elinor. – Chciałam zapytać, czy nie zależy pani szczególnie na czymś z umeblowania? Z prawdziwą przyjemnością spełniłabym pani życzenie.

Pani Bishop rozpromieniła się i odrzekła ujmującym tonem:

– Ach, panno Elinor, to bardzo, bardzo ładnie, że pani była łaskawa pomyśleć o mnie. Czy to nie zbyt śmiałość...

– Ale skąd znowu – ośmieliła Elinor starszą damę.

– Zawsze podobała mi się nad wyraz sekretera w salonie. To taki piękny mebel!

Panna Carlisle przypomniała sobie cokolwiek za ozdobną, inkrustowaną sztukę.

– Oczywiście. Sekretera należy do pani. Może coś jeszcze?

– Ach nie, panno Elinor. Dziękuję. I tak okazała się pani niezwykle szczodra.

– Są krzesła w tym samym stylu co sekretera. Pewno przydałyby się pani.

Pani Bishop przyjęła krzesła z należyтым podziękowaniem i ciągnęła dalej:

– Chwilowo mieszkam u siostry, w niedalekim sąsiedztwie. Ach, panno Elinor!

Czy nie mogłabym pomóc pani przy porządkach w domu? Chętnie pójdę z panią.

– Nie. Dziękuję bardzo – odparła Elinor żywo, może trochę zbyt skwapliwie.

– To dla mnie żaden kłopot – przekonywała starsza dama. – Raczej przyjemne wzruszenie. Cóż za melancholijne zadanie przeglądać rzeczy pozostałe po mojej ukochanej pani!

– Dziękuję, pani Bishop. Poradzę sobie łatwo. Są sprawy, które najlepiej załatwia się w samotności...

– Oczywiście. Jak pani sobie życzy – rzuciła chłodno pani Bishop i mówiła dalej: – Córka starego Gerrarda jest również w Maidensford. Pogrzeb odbył się wczoraj.

Zajechała do siostry Hopkins. Słyszałam, że obie wybierały się dziś z rana do portierni.

– Tak – Elinor skinęła głową. – Prosiłam Mary, żeby przyjechała i usunęła z domu odźwiernego rzeczy po swoim ojcu. Major Somervell chce się sprowadzić możliwie najwcześniej.

– Rozumiem.

– No, na mnie pora – podjęła panna Carlisle. – Bardzo mi miło, że panią spotkałam, pani Bishop. Z pewnością nie zapomnę o sekreterze i krzesłach.

Uściskiem dłoni pożegnała starszą damę.

W piekarni kupiła bochenek chleba. Później wstąpiła do mleczarza po pół funta masła i trochę mleka. Wreszcie weszła do sklepu spożywczego.

– Poproszę o jakąś pastę do kanapek.

– Służę łaskawej pani! – pan Abbott odtrącił łokciem młodego subiekta, by osobiście skoczyć na spotkanie honorowego gościa. – Służę łaskawej pani! Łosoś z krewetkami. Indyk z ozorkiem. Łosoś z sardynkami. Szynka z ozorkiem.



Wycierał słoik po słoiku i ustawiał szeregiem na ladzie. Elinor uśmiechnęła się blade.

– Nazwy są różne, ale smak moim zdaniem bardzo zbliżony.

Pan Abbott był usposobiony pojednawczo.

– Oczywiście, łaskawa pani... Bardzo być może... Smak bywa w pewnym sensie bardzo zbliżony. Ale to w każdym razie wyborowe pasty.

– Słyszałam, że rybne są czasami niebezpieczne. Zdarzały się przypadki zatrucia – powiedziała Elinor.

Kupiec zrobił zgorzszą minę.

– Mogę zapewnić łaskawą panią, że to najwyższa marka, godna pełnego zaufania. Nigdy nie mieliśmy reklamacji.

– Poproszę o łososia z sardelami i łososia z krewetkami. Dziękuję panu.

Elinor Carlisle weszła na teren Hunterbury przez boczną bramę.

Dzień był ciepły, pogodny. Elinor mijała grządkę groszków pachnących. Młodszy ogrodnik, Horlick, który został na miejscu, aby pilnować posiadłości, pozdrowił ją z należytym uszanowaniem.

– Dzień dobry panience. List otrzymałem. Drzwi kuchenne zastanie panienka otwarte. Poodmykałem też okna, proszę panienki.

– Dziękuję, Horlick.

Młody człowiek był wyraźnie zdenerwowany; jabłko Adama silnie mu drgało.

– Bardzo panienkę przepraszam – zaczął nieśmiało, nim Elinor zdążyła odejść.

– Tak... Słucham, Horlick?

– Czy to prawda, że Hunterbury sprzedane... Znaczy się już całkiem formalnie?

– Tak, Horlick.

– Właśnie myślałem – podjął nerwowo – czy panienka raczyłaby powiedzieć o mnie słówko panu majorowi Somervellowi. Będzie potrzebował rąk do pracy... Pomyśli może, że jestem za młody na głównego ogrodnika... Ale przez cztery lata pracowałem pod kierunkiem pana Stephensa i nauczyłem się sporo, a teraz, jak sam zostałem, też radzę sobie i wszystko utrzymuję, jak trzeba.

– Oczywiście – rzuciła żywo Elinor – zrobię dla was, Horlick, co będzie można. I tak miałam zamiar wspomnieć panu majorowi, że jesteście bardzo dobrym ogrodnikiem.

Twarz młodego człowieka spurpurowiała.

– Bardzo dziękuję, że panienka taka dobra. Wszystko tak nagle spadło... Śmierć starszej pani i sprzedaż Hunterbury... No i... i chodzi o to... że chcę się żenić na jesieni... ale musiałbym być pewien – umilkł nieoczekiwanie.

– Spodziewam się, że major Somervell was przyjmie – powiedziała łagodnie



Elinor. – A ja ze swej strony zrobię, co będzie można. Ufajcie mi, Horlick.

– Bardzo panię dziękuję... Wszyscy spodziewaliśmy się, proszę pani, że Hunterbury zostanie w rodzinie. Bardzo dziękuję.

Elinor odeszła pewnym krokiem.

Nagle szalony żal ogarnął ją, niby nurt przerwanej tamy.

„Wszyscy spodziewaliśmy się, że Hunterbury zostanie w rodzinie”.

Ona i Roddy mogli tu zamieszkać. Ona i Roddy! Przecież chciał tego. I ona chciała. Obydwoje kochali zawsze Hunterbury... Pocziwe, stare Hunterbury!... Przyjeżdżała tutaj na wakacje w latach, gdy jej rodzice żyli jeszcze i mieszkali w Indiach. Bawiła się w zagajnikach, brodziła w strumieniu... Naręczami zrywała groszki pachnące... Jadła okrągły, zielony agrest i ciemne, soczyste maliny... Później dojrzewały jabłka... Miała rozmaite sekretne kryjówki, do których umykała z książką, by godzinami czytać zwinięta w kłębek.

Kochała Hunterbury i zawsze podświadomie liczyła, że w swoim czasie osiedli się tu na stałe. Ciocia Laura podsyciała te nadzieje. Niekiedy rzucała od niechcenia znaczące słowo lub zdanie: „Może kiedyś Elinor, zechcesz wyciąć te cisy. Są takie ponure”. „W ogrodzie warto by urządzić sadzawkę. Pewno zajmiesz się tym w swoim czasie”.

A Roddy? Roddy też się spodziewał, że Hunterbury będzie jego domem. Może to kryło się za uczuciem dla niej? Bezwiednie zdawał sobie sprawę, że właśnie oni dwoje powinni osiąść w Hunterbury.

I tak stać by się musiało! Byliby razem... tutaj... teraz! Nie uprzętałiby sprzedanego domu, lecz zmieniali i zdobili jego wnętrze, odkrywali nowe uroki starego domostwa i ogrodu... Chodziliby ramię w ramię z cichą radością posiadaczy... Byliby szczęśliwi... Tak! Szczęśliwi, gdyby nie urzekła go ta dziewczyna urodą polnej róży.

Co Roddy wiedział o Mary Gerrard? Nic, mniej niż nic! Czy dbał o nią – o prawdziwą Mary? Być może posiadała wspaniałe zalety, ale on nie zdawał sobie z nich sprawy. Stara bajeczka: złośliwy figiel natury!

Przecież sam nazwał to „oczarowaniem”. Przecież pragnął wyzwolić się z więzów.

Gdyby Mary Gerrard... gdyby na przykład umarła, Roddy przyznałby niewątpliwie pewnego dnia: „Dobrze się stało. Teraz rozumiem. Nie mieliśmy ze sobą nic wspólnego”. Dodałby może z łagodną melancholią: „To była urocza istota”.

Stałaby się tym dla niego – czarownym wspomnieniem, wiecznym symbolem piękna i radości.

Elinor nie wątpiła, że Roddy wróciłby do niej, gdyby coś stało się Mary Gerrard...

„Gdyby coś stało się Mary Gerrard...”

Nacisnęła klamkę bocznych drzwi i wzdrygnęła się nerwowo, kiedy z blasku słońca wkroczyła w chłodny cień domu.



Było zimno, mroczno, posepnie... Zdawać się mogło, że na Elinor czyha coś utajonego...

Minęła hall, krótki korytarzyk i pchnęła obite wołokiem drzwi wiodące do pokoju kredensowego. Pachniało tam stęchlizną, więc szeroko otworzyła okno.

Położyła na stole zakupy: masło, chleb, małą butelkę mleka. Pomyślała: „Idiotka ze mnie! Miałam kupić kawę”.

Sprawdziła zawartość puszek na półce. W jednej znalazła trochę herbaty, ale kawy nie było.

Pomyślała: „Mniejsza o to”.

Rozwinęła dwa szklane słoiki pasty rybnej. Przez chwilę spoglądała na nie myśląc o czym innym. Później odwróciła się i poszła na piętro, prosto do sypialni pani Welman. Zaczęła od wysokiej komódki. Otwierała kolejno szuflady, przeglądała rozmaite drobiazgi, segregowała i układała porządnie bieliznę.

W domku odźwiernego Mary Gerrard rozglądała się wokół bezradnie. Dotychczas nie zdawała sobie sprawy, jakie to zagracone mieszkanie.

Jak powódź ogarnęły ją wspomnienia przeszłości... Mama szyje sukienkę dla lalki... Tatuś zły zawsze i posepny... Nie lubił jej, z pewnością nie lubił...

– Czy on nie mówił nic przed śmiercią, nie kazał mi czegoś powtórzyć? – zwróciła się do pielęgniarki Hopkins.

Starsza kobieta była pogodna, współczująca.

– Nie, moja droga... Ale na godzinę przed śmiercią stracił przytomność.

– Powinnam przyjechać tutaj, pielęgnować go w chorobie... Ostatecznie to był mój ojciec.

– Posłuchaj, Mary – odparła pielęgniarka Hopkins nie bez zakłopotania. – To mało ważne, czy był, czy nie był twoim ojcem. Wydaje mi się, że w dzisiejszych czasach dzieci mało dbają o rodziców, a często i rodzice nie przejmują się dziećmi. Tak czy inaczej, szkoda czasu na roztkliwianie się i grzebanie w przeszłości. Musimy żyć Mary. To nasze zadanie i zadanie nie zawsze łatwe.

– Zapewne siostra ma rację, ale... Może to z mojej winy nie mogliśmy się nigdy porozumieć?

– Nonsens! – rzuciła szorstko starsza kobieta.

To słowo eksplodowało niczym bomba, oszołomiło Mary.

Pielęgniarka Hopkins przeszła do spraw bardziej praktycznych.

– Co chcesz zrobić z meblami? Oddać na skład? Sprzedać?

– Nie wiem – bąknęła z wahaniem dziewczyna. – Jak siostra radzi?

Pielęgniarka omiotła pokój doświadczonego wzrokiem.

– Niektóre sztuki wyglądają całkiem przyzwoicie. Oddaj je na skład. Przydadzą ci



się w swoim czasie, jak będziesz urządziła własne londyńskie mieszkanie. Pozbądź się rupieci. Krzesła są dobre, tak samo stół. Biurko też ładne; może trochę staroświeckie, ale to solidny mahoń, a jak powiadają, wiktoriańskie meble muszą kiedyś wrócić do mody. Na twoim miejscu sprzedałabym tę wielką szafę. Za duża, by mogła gdziekolwiek pasować. I tu zajmuje pół pokoju sypialnego.

Wspólnymi siłami sporządziły listę sztuk na sprzedaż i do zatrzymania.

– Prawnik... ten pan Seddon... był bardzo uprzejmy. Dał mi zaliczkę, więc miałam na opłaty za naukę no i inne wydatki. Powiedział, że dopiero za miesiąc, może nawet później, cała suma będzie mi przekazana.

– Jak ci się podoba nowa praca? – zapytała pielęgniarka Hopkins.

– Myślę, że ją bardzo polubię. Chwilowo jest męcząca. Do domu wracam ledwie żywa.

– Podczas praktyki w szpitalu Świętego Łukasza myślałam, że skonam. Zdawało mi się, że nie wytrzymam trzech lat. Ale jakoś wytrzymałam.

Zdałyby posegregować odzież starego Gerrarda. Obecnie przyszła kolej na blaszane pudło pełne papierów.

– Należałoby to wszystko przejrzeć – powiedziała Mary.

Usiadły naprzeciw siebie, po dwu stronach stołu.

– Ludzie przechowują rozmaite śmiecie – burknęła pielęgniarka Hopkins sięgając po pierwszą część szpargałów. – Spójrz! Wycinki z gazet, odwieczne listy, licho wie co!

Mary rozłożyła arkusz:

– Akt ślubu rodziców, zawartego w Saint Albans w 1919 roku.

– Kontrakt ślubny, tak się dawniej mówiło. A w naszej zapadłej dziurze wiele osób używa do dziś tego terminu.

– Ale... Siostró... – zaczęła Mary zdławionym głosem.

Pielęgniarka spojrzała na nią bystro i dostrzegła niepokój w oczach dziewczyny.

– O co chodzi? – rzuciła szorstko.

– Nie widzi siostra? – głos Mary drżał wyraźnie. – Jest rok 1939. Ja mam dwadzieścia jeden lat. W 1919 byłam już na świecie... A więc... To znaczy, że... rodzice pobrali się... później.

Pielęgniarka Hopkins zmarszczyła czoło.

– I co z tego? – powiedziała z przekonaniem. – Masz się czym martwić, Mary!

– Ależ... tak. To silniejsze ode mnie.

– Niejedna para idzie do kościoła nieco później, niż iść powinna – podjęła starsza kobieta autorytatywnym tonem. – Jeżeli jednak ostatecznie tam pójdzie, wszystko w porządku. Takie jest moje zdanie, Mary.

– Czy to dlatego ojciec nie lubił mnie nigdy? Jak siostra myśli? Może matka



zmusiła go do małżeństwa?

Pielęgniarka Hopkins zamyśliła się na moment, przygryzła wargi.

– Niezupełnie tak... – podjęła z wahaniem i urwała. – Słuchaj, Mary! Zaczyna cię to dręczyć, więc równie dobrze możesz dowiedzieć się prawdy. Nie jesteś córką Gerrarda.

– Ach!... Dlatego...

– Zapewne.

Na policzkach Mary wystąpiły szkarłatne plamy.

– Może to bardzo źle, siostrzo, ale jestem zadowolona. Zawsze dokuczała mi myśl, że nie kocham ojca. Teraz czuję się lepiej, bo on nie był moim ojcem. Skąd się siostra dowiedziała?

– Gerrard mówił o tym przed śmiercią. Przerywałam mu. Byłam bardzo stanowcza, ale on nic sobie ze mnie nie robił. Naturalnie słówkiem nie wspomniałabym ci o tym, gdyby sprawa nie dojrzała sama przez się.

– Ciekawe, kto naprawdę był moim ojcem – szepnęła Mary.

Starsza kobieta zawahała się. Otworzyła usta, później zamknęła. Widać było, że nie potrafi zdobyć się na decyzję.

Nagle cień padł na pokój. Odwróciły się obie i zobaczyły za oknem Elinor Carlisle.

– Dzień dobry – powiedziała.

– Dzień dobry pani – odrzekła pielęgniarka Hopkins. – Śliczna pogoda, prawda?

– Aa... Panna Elinor... Dzień dobry – wyjąkała Mary.

– Przygotowałam trochę kanapek – podjęła panna Carlisle. – Chciałam panie poczęstować. Dochodzi pierwsza, a to taki kłopot wracać do domu na obiad. Dla nas trzech wystarczy.

– Bardzo pani uprzejma, proszę pani – podjęła nie bez miłego zdziwienia pielęgniarka Hopkins. – Istotnie to kłopot przerywać zaczęta robotę, a później wracać z wioski taki kawał drogi. Miałam nadzieję, że do południa uporamy się z porządkami. Obchód załatwiłam wcześniej. Widzę jednak, że to musi potrwać dłużej, niż się zdawało.

– Dziękuję, panno Elinor – dodała Mary. – Pani, jak zawsze, jest bardzo dobra.

W trójkę ruszyły aleją wjazdową w kierunku domu. Elinor zostawiła drzwi otwarte. Kiedy weszły do mrocznego hallu, Mary wzdrygnęła lekko. Elinor spojrzała na nią bystro.

– Co się stało? – zapytała.

– Nic... Zwykły dreszcz... Przeszłam w cień ze słońca...

– Dziwne – szepnęła panna Carlisle. – Coś podobnego odczułam dzisiaj rano.

Starsza kobieta roześmiała się głośno i rzuciła swobodnym, różnym tonem.

– Moje panie! Zaraz zaczniemy sobie wmawiać, że w tym domu straszyc. Ja nic nie





odczułam!

Elinor uśmiechnęła się i wskazała drogę do frontowego saloniku, gdzie podniosła rolety i otworzyła okna. Było tam jasno, wesoło.

Elinor przeszła przez hall do pokoju kredensowego i wróciła z dużym talerzem kanapek. Podsunęła go Mary.

– Poczęstuj się, proszę.

Dziewczyna wyciągnęła rękę. Elinor spoglądała przez moment na jej śnieżnobiałe zęby zagłębiające się w rybnej paście. Odetchnęła głęboko, później westchnęła. Stała zamyślona trzymając talerz w ręku. Wreszcie spostrzegła rozchylone wargi i łakomy wzrok siostry Hopkins, więc zarumieniona lekko podała spieszenie talerz starszej kobiecie.

Sama również wzięła kanapkę i odezwała z nutą usprawiedliwienia:

– Chciałam naparzyć kawy, lecz zapomniałam kupić. Za to na stole w pokoju kredensowym stoi butelka piwa. Może któraś z pań ma ochotę?

– Nie przyszło mi do głowy, żeby zabrać z domu herbatę – westchnęła pielęgniarzka.

– W pokoju kredensowym zostało trochę herbaty w puszcze – powiedziała z roztargnieniem panna Carlisle.

Twarz pielęgniarzki rozpoznała się wyraźnie.

– Skoczę tam i zaraz nastawię wodę. Mleka pewno nie ma?

– Jest. Kupiłam flaszkę.

– To dobrze, bardzo dobrze – powiedziała starsza kobieta wychodząc żwawo.

Elinor i Mary zostały same, w atmosferze dziwnego napięcia. Elinor siła się na podjęcie rozmowy. Przesunęła językiem po wyschniętych wargach. Później odezwała się sztywno:

– Podoba ci się nowa praca w Londynie?

– O, tak!... Dziękuję... Jestem pani serdecznie wdzięczna.

Panna Carlisle parsknęła krótko, ochryplym śmiechem, tak nie na swój sposób, że Mary spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Nie wymagam wdzięczności – rzuciła Elinor.

– Nie myślałam... – Mary była zupełnie zbita z tropu. – Ja...

Spuściła wzrok pod przenikliwym, dziwnie zawziętym spojrzeniem Elinor.

– Czy... Czy coś się stało? – zapytała.

– Co się miało stać? – panna Carlisle wstała z krzesła, odwróciła się raptownie.

– Pani wygląda... tak... tak jakoś – wyjąkała Mary.

Elinor parsknęła śmiechem.

– Wpatrywałam się w ciebie? Przepraszam. Zdarza się to czasami, gdy o czymś myślę.



Pielęgniarka Hopkins stanęła w drzwiach.

– Już postawiłam czajnik – oznajmiła pogodnie i zniknęła.

Elinor uległa atakowi histerycznego śmiechu.

– „Polly, postaw czajnik! Polly, postaw czajnik! Polly, postaw czajnik! My chcemy herbaty!” – zawołała. – Pamiętasz to Mary z naszego dzieciństwa?

– Pamiętam. Naturalnie!

– Z naszego dzieciństwa... – powtórzyła panna Carlisle. – Szkoda, że człowiek nie może zawrócić.

– Chciałaby pani?

– O tak! – powiedziała z mocą.

Na moment zapadło krępujące milczenie, później Mary zarumieniła się lekko.

– Niech się pani nie zdaje... – urwała, widząc, że szczupła postać Elinor zeszywniała nagle.

– Co ma mi się nie zdawać?

– Nic... Ja... Nie pamiętam, co chciałam powiedzieć – bąknęła Mary.

Elinor odprężyła się, jak gdyby jakieś niebezpieczeństwo minęło.

Pielęgniarka Hopkins wniosła do pokoju tacę z brązowym imbrykiem, mlekiem i trzema filiżankami.

– Jest herbatka – oznajmiła nieświadoma, że przesilenie minęło.

Postawiła tacę przed panną Carlisle, lecz ta odmówiła ruchem głowy.

– Dziękuję. Nie będę piła.

Mary napełniła dwie filiżanki. Pielęgniarka Hopkins westchnęła z ulgą:

– Doskonała, mocna herbata!

Elinor wstała, odeszła w stronę okna.

– Naprawdę nie życzy sobie pani herbaty? – zapytała tonem perswazji starsza kobieta. – Z pewnością doskonale pani robi...

– Nie. Dziękuję.

Pielęgniarka Hopkins wypiła duszkiem całą filiżankę, odstawiła ją na spodek i powiedziała półgłosem:

– Pójdę zgasić gaz pod czajnikiem. Zostawiłam go, bo myślałam, że trzeba będzie drugi raz nalać wody do czajnika.

Szybko wyszła z pokoju.

Panna Carlisle odwróciła się, stanęła tyłem do okna.

– Mary... – zaczęła zmienionym głosem, jak gdyby z rozpaczliwą prośbą.

– Co, panno Elinor? – zapytała żywo Mary Gerrard.

Blask zniknął z twarzy panny Carlisle, zacisnęły się usta. Ciepły, błagalny wyraz warzy ustąpił masce – nieruchomej, lodowatej.

– Nic.



W pokoju zapanowała znowu ciężka cisza.

„Tak dziwnie dzisiaj – pomyślała Mary. – Jak gdyby... Jak gdybyśmy czekały na coś”.

Elinor poruszyła się wreszcie. Przyszła spod okna, przesunęła tacę i ustawiła na niej próżny talerz po kanapkach.

Mary zerwała się żywo:

– Panno Elinor! Proszę mi pozwolić...

– Nie – przerwała szorstko Elinor. – Zostań tu. Ja się tym zajmę.

Ruszyła z tacą w stronę drzwi. Na progu obejrzała się przez ramię na siedzącą pod oknem Mary Gerrard – młodą, pełną życia i wdzięku.

W pokoju kredensowym pielęgniarka Hopkins wycierała twarz chustką do nosa. Na Elinor, która weszła z tacą, spojrzała spod oka.

– Okropnie tu gorąco – powiedziała.

– Tak. Okno wychodzi na południe – odpowiedziała panna Carlisle prawie bezwiednie.

Starsza kobieta wzięła z jej rąk tacę.

– Pozmywam, proszę pani – zaproponowała – bo pani coś nietęgo wygląda.

– Nic mi nie jest – powiedziała Elinor i sięgnęła po ścierkę. – Ale dobrze, ja wytrę.

Pielęgniarka zdjęła sztywne mankiety. Z czajnika nalała gorącej wody do miski.

Elinor spojrzała na przegub jej ręki.

– Skaleczyła się siostra – powiedziała obojętnie.

– A tak – roześmiała się starsza kobieta. – O pnącą różę koło portierni. Zaraz wyciągnę kolec.

„O pnącą różę koło portierni...” – powtórzyła w myśli Elinor. Uniosły ją fale wspomnień. Kiedyś spierali się z Roddym o Wojnę Dwu Róż... Najpierw kłótnia, później pojednanie... Piękne, szczęśliwe, roześmiane dni! Wzdrygnęła się z obrzydzeniem. Nisko upadła... Stoczyła się w mroczną otchłań zła, nienawiści. Zachwiała się i z trudnością odzyskała równowagę. „Szalona jestem! Szalona!” – pomyślała.

Pielęgniarka Hopkins przyglądała się jej z zaciekawieniem. W przyszłości miała opowiadać: „Strasznie mi się dziwna wydała. Mówiła, jak gdyby sama nie wiedziała co. A oczy miała takie błyszczące, niesamowite”.

Filizanki i spodki zagrzechotały w misce, Elinor włożyła tam również wzięty ze stołu słoik po paście rybnej. Odezwała się głosem, którego ton zaskoczył ją samą:

– W sypialni cioci Laury posegregowałam jej garderobę. Myślę, że siostra zechce mi doradzić, komu w wiosce najbardziej przydadzą się te rzeczy.

– Bardzo chętnie – podchwyciła żywo pielęgniarka Hopkins. – Jest pani Parkinson



i stara Nellie i ta niezupełnie normalna biedulka z Ivy Cottage... Dla nich wszystkich to będzie dar z nieba.

Po uporządkowaniu pokoju kredensowego obie weszły na piętro. W sypialni pani Welman leżały starannie ułożone stopy – osobno bielizna, osobno wierzchnia odzież. Kilka najlepszych sztuk trafiło na fotel: aksamitna suknia popołudniowa, futro z piżmowców. To ostatnie Elinor zamierzała podarować pani Bishop i powiedziała o tym towarzysze.

Pielęgniarka twierdząco skinęła głową i w tej chwili spostrzegła, że sobole nieboszczki leżą na komodzie. „Chce to przerobić dla siebie” – pomyślała.

Zerknęła w stronę wysokiej komódki. Zastanowiła się, czy Elinor znalazła fotografię z podpisem „Lewis” i co mogła z nią zrobić w takim razie.

„Dziwna historia – myślała – to rozminięcie się listów, mojego i O’Brien. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy coś podobnego. Ona natknęła się na fotografię tego samego dnia, kiedy ja pisałam o rozmowie z panią Slattery”.

Pomogła Elinor w rozdziale garderoby i zaproponowała, że sama zrobi odpowiednie paczki, by rozdać je następnie rodzinom biedaków.

– Zajmę się tym – mówiła – jak Mary pójdzie do portierni, żeby dokończyć tam porządków. Zostało jej już tylko pudło z papierami. Aha! Gdzie Mary? Czy poszła może do portierni?

– Zostawiłam ją w saloniku.

– Pewnie już jej tam nie ma – pielęgniarka Hopkins spojrzała na zegarek – Mój Boże! Zamarudziłyśmy blisko godzinę!

Energicznie ruszyła w stronę schodów. Panna Carlisle pośpieszyła za nią. Jednocześnie weszły do saloniku.

– Co to? – zawołała starsza kobieta. – Mary usnęła?

Dziewczyna spoczywała bezwładnie w fotelu pod oknem. Oddychała przy tym bardzo szczególnie: chrapliwie, z wysiłkiem.

Siostra Hopkins dotknęła jej ramienia.

– Zbudź się, kochanie... – urwała gwałtownie, nachyliła się, podniosła powiekę śpiącej, później zaczęła szarpać Mary, potrząsać nią mocno. Wreszcie zwróciła się do Elinor: – Co to ma znaczyć – zawołała, a w głosie jej zabrzmiała nuta groźby.

– Nie mam pojęcia, o co siostrze chodzi... Czy... Czy ona zachorowała?

– Gdzie jest telefon? Muszę natychmiast wezwać doktora Lorda.

– Co się stało?

– Co się stało? – powtórzyła pielęgniarka. – Ta dziewczyna... kona!

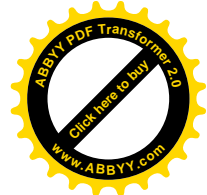
Elinor cofnęła się o krok.

– Kona?

– Została otruta! – powiedziała pielęgniarka Hopkins, spoglądając w twarz Elinor



surowo, podejrzliwie.





## Rozdział ósmy

Herkules Poirot pochylił na bok jajowatą głowę, brwi podniósł pytająco, splótł palce dłoni. Ciekawie przyglądał się młodemu mężczyźnie, który nerwowym krokiem przemierzał pokój tam i z powrotem, a sympatyczną, pokrytą piegami twarz miał zasepioną i obwisłą.

– *Eh bien*, drogi panie, o co właściwie chodzi? – zapytał mały Belg.

Peter Lord przystanął nagle.

– Pan jest jedynym na świecie człowiekiem, który mógłby mi pomóc – odezwał się. – Stillingfleet opowiadał mi o panu. Wiem, czego pan dokazał w sprawie Benedykta Ferleya; wszyscy wierzyli w samobójstwo, a pan dowiódł, że to było morderstwo.

– Czy wśród pańskich pacjentów zdarzyło się samobójstwo, a pan ma pewne wątpliwości?

Peter Lord zaprzeczył ruchem głowy, usiadł naprzeciw detektywa.

– Chodzi o młodą kobietę. Została aresztowana i czeka ją proces o morderstwo. Chciałbym, aby pan znalazł dowody, że nie ona to zrobiła.

Poirot uniósł brwi jeszcze wyżej. Przybrał ton poufny, życzliwy.

– Pan i ta młoda dama... Jesteście państwo zaręczeni? Kochacie się wzajemnie?

Lekarz roześmiał się krótko, nerwowo.

– Nic podobnego. Ona ma zły gust. Woli napuszonego durnia z długim nosem i gębą przypominającą zmartwionego konia. Głupio z jej strony, ale to fakt stwierdzony.

– Rozumiem – przyznał taktownie Poirot.

– Rozumie pan! Nie mam wątpliwości – podjął tonem goryczy młody człowiek. – Nie musi pan być aż tak delikatny. Z miejsca zakochałem się w niej po uszy i dlatego właśnie nie chcę, żeby ją powiesili. Prosta sprawa!

– Co jej zarzuca oskarżenie? – zapytał Poirot.

– Otrucie za pomocą morfiny młodej osoby nazwiskiem Mary Gerrard. Może czytał pan w prasie sprawozdanie z przesłuchania u koronera.

– A motyw? – zapytał młody Belg.



– Zazdrość.

– I pańskim zdaniem obwiniona nie zrobiła tego?

– Z całą pewnością.

Poirot przyglądał się przez chwilę lekarzowi. Później zapytał:

– Jaką właściwie rolę przeznacza pan dla mnie? Życzy pan sobie, abym przeprowadził śledztwo?

– Chcę, żeby pan uzyskał wyrok uniewinniający.

– Drogi panie! Nie jestem obrońcą sądowym.

– Ścisłej to sprecyzuję – podjął Peter Lord. – Chcę, żeby pan znalazł dowody, na których podstawie jej obrońca mógłby uzyskać wyrok uniewinniający.

– Trochę dziwne sformułowanie – powiedział detektyw.

– Czy dlatego, że nie owijałem tego w bawełnę? Dla mnie to prosta kwestia. Chcę, by tę dziewczynę uniewinniono i w panu widzę jedyne na świecie człowieka, który potrafi to osiągnąć.

– Życzy pan sobie, abym dokonał przeglądu faktów, odnalazł prawdę, odkrył, co rzeczywiście zaszło?

– Chodzi mi raczej o ustalenie wszelkich okoliczności przemawiających na korzyść oskarżonej.

Herkules Poirot uważnie i bez pośpiechu zapalił bardzo cienkiego papierosa.

– Czy pańskie słowa nie są trochę nieetyczne? – podjął. – Dobyć na jaw prawdę... Zgoda! To interesuje mnie zawsze. Ale prawda jest obosieczną bronią. Załóżmy, że odkryję fakty przemawiające na niekorzyść tej damy. Czy miałbym je zataić?

Peter Lord wstał z krzesła. Był trupio blady.

– To niepodobieństwo! – zawołał. – Nic, czego pan mógłby dociec, nie pogrzy jej bardziej niż znane już fakty. Absolutnie i bezspornie ją obciążają. Istnieją liczne, jasne, widoczne dla każdego dowody jej winy. Nie zdoła pan odkryć niczego, co obciążałoby ją bardziej niż jest obciążona. Proszę o jedno. Niech pan wykorzysta całą swoją pomysłowość... Stillingfleet twierdzi, że jest pan zdumiewająco pomysłowy... Niech pan wykorzysta całą swoją pomysłowość, żeby z tej sieci znaleźć jakieś wyjście, wysunąć inną hipotezę.

– Z pewnością zrobią to obrońcy młodej damy – powiedział Poirot.

– Myśli pan? – Peter Lord roześmiał się lekceważąco. – Obrona załamała się już przed startem. Uważa sprawę za przegraną. Przed sądem ma wystąpić radca dworu Bulmer. Nazywają go grabarzem resztek nadziei. To mówi samo za siebie, prawda? Wytrawny, ckliwy mówca! Położy nacisk na młody wiek oskarżonej i na tym koniec. Na to sąd się nie da nabrać, szkoda gadania!

– A jeżeli ona jest winna?... – zapytał mały Belg. – Czy i w takim przypadku chciałby pan jej uniewinnienia?



– Tak.

Herkules Poirot zmienił pozę w fotelu.

– Zainteresował mnie pan żywo – powiedział i podjął po krótkiej pauzie. –

Chciałbym poznać szczegółowo wszelkie fakty związane z tą sprawą. Słucham pana.

– Nie czytał pan nic w prasie?

Detektyw machnął ręką.

– Czytałem... Różne wzmianki... Ale gazety są zadziwiająco nieścisle. Nigdy nie biore pod uwagę zaczerpniętych stamtąd wiadomości.

– Historia jest prosta, straszliwie prosta – powiedział młody lekarz. – Obwiniona, Elinor Carlisle, dopiero co odziedziczyła niedaleko stąd posiadłość Hunterbury, a także całą fortunę swojej ciotki, która zmarła nie sporządzwszy testamentu. Ciotka nazywała się Laura Welman. Bratanek jej nieboszczyka męża, Roderick Welman, był zaręczony z Elinor Carlisle. To dawna sprawa. Znali się od dzieciństwa. W Hunterbury mieszkała młoda osoba, córka odźwiernego, Mary Gerrard. Pani Welman opiekowała się nią troskliwie, kształciła na swój koszt i w rezultacie dziewczyna nabrała polotu prawdziwej damy. Wygląda na to, że Roderick Welman zakochał się w Mary Gerrard. Zaręczyny między nim a Elinor Carlisle zostały zerwane. Przechodzę do konkretnych faktów. Elinor Carlisle postanowiła sprzedać Hunterbury i znalazła nabywcę, niejakiego majora Somervella. Przyjechała, aby uporządkować osobiste rzeczy ciotki, papiery i tak dalej. Mary Gerrard, której ojciec umarł w tym czasie, była również na miejscu i uprzątała domek odźwiernego. Doszliśmy do godzin porannych dwudziestego siódmego lipca. Elinor Carlisle przenocowała w miejscowym hoteliku. Rano spotkała na ulicy byłą gospodynię z Hunterbury, panią Bishop. Ta ostatnia zaofiarowała swoją pomoc przy segregowaniu rzeczy po zmarłej pani Welman, lecz Elinor odmówiła stanowczo i bez namysłu. Z kolei wstąpiła do sklepu spożywczego, gdzie kupiła pastę rybną i przy sposobności wspomniała, że zdarzały się zatrucia tym produktem. Rozumie pan? Zwykła, zdawkowa uwaga, ale w danym przypadku poważnie obciążająca. Elinor Carlisle poszła do Hunterbury i około pierwszej po południu zjawiała się w domku odźwiernego, gdzie Mary Gerrard robiła porządki przy pomocy pielęgniarki rejonowej, takiej wścibskiej plotkary, nazwiskiem Hopkins. Powiedziała im, że ma gotowe kanapki i zaprosiła je obie. We trójkę poszły do domu, zjadły kanapki, a mniej więcej w godzinę później otrzymałem telefoniczne wezwanie i zastałem Mary Gerrard nieprzytomną. Zrobiłem, co było można, ale na próżno. Sekcja zwłok wykazała, że krótko przed zgonem denatka przyjęła dużą dawkę morfiny. Policja znalazła kawałek etykiety z odpowiednim napisem w pokoju, gdzie Elinor przygotowywała kanapki.

– Czy Mary Gerrard jadła lub piła coś więcej?

– Ona i pielęgniarka rejonowa popiły kanapki herbatą. Zaparzyła ją siostra





Hopkins, a naląła Mary Gerrard. Nic tam być nie mogło. Naturalnie rzecznik obrony będzie rozwodził się nad kanapkami i twierdził, że jadły je trzy osoby, nie istnieje zatem prawdopodobieństwo, by tylko jedna uległa zatruciu. Podobną linię obrony zastosowano w sprawie Hearne. Zapewne przypomina pan sobie.

Poirot przytaknął skinieniem głowy.

– To żaden argument – powiedział. – Najprostsza w świecie historia. Trzeba tylko ułożyć stos kanapek, a trucizną zaprawić jedną, tę na wierzchu. Nie ulega wątpliwości, że dobrze wychowana osoba, której poda się talerz, weźmie pierwszą z brzegu kanapkę. Przypuszczam, że Elinor Carlisle poczęstowała najpierw Mary Gerrard?

– Istotnie.

– Chociaż w pokoju znajdowała się pielęgniarka, osoba starsza wiekiem?

– Tak.

– To wygląda niedobrze.

– Czy ja wiem? Podczas zaimprovizowanego drugiego śniadania nie obowiązują ceremonie.

– Kto przygotowywał kanapki?

– Elinor Carlisle.

– Był ktoś wówczas w domu?

– Nie.

– Żle... Bardzo źle... – Poirot pokiwał głową. – I ta dziewczyna nie jadła ani nie piła niczego oprócz kanapek i herbaty.

– Niczego. Potwierdziła to analiza zawartości żołądka.

– Hm... Elinor Carlisle mogła liczyć, że śmierć ofiary będzie przypisana zatruciu pastą rybną. Takie stanowisko zajmie prawdopodobnie oskarżenie. Jak jednak zamierzała wytłumaczyć, że trucizna podziałała tylko na jedną z trzech osób?

– Czasami zdarzają się dziwniejsze rzeczy – powiedział Peter Lord. – Elinor Carlisle kupiła dwa słoiki bardzo do siebie podobne. Można by przyjąć, że jeden z nich był dobry, a zbiegiem okoliczności wszystkie kanapki posmarowane szkodliwą pastą zjadła Mary.

– Interesujące zagadnienie z dziedziny teorii prawdopodobieństwa – powiedział mały Belg. – Wyobrażam sobie, że matematycznie biorąc szansę przeciwnie takiemu rozwiązaniu były bardzo znaczne. Jest inna kwestia. Gdyby w planie było domniemane zatrucie szkodliwą pastą rybną, dlaczego morderca nie wybrałby innej trucizny? Po morfinie objawy są diametralnie różne. Nierównie lepiej nadawałaby się atropina.

– Słusznie – przyznał lekarz i dodał żywo: – Ale nie na tym koniec. Ta przeklęta siostra Hopkins twierdzi, że zniknęła jej fiołka z morfiną.

– Kiedy?

– Kilka tygodni wcześniej. Tej nocy, kiedy umarła stara pani Welman. Powiada, że



zostawiła torbę w hallu, a brak spostrzegła z rana. Moim zdaniem to zawracanie głowy. Na pewno wcześniej stłukła fiolkę w domu, zapomniała o tym...

– ...i przypomniała sobie dopiero po zgonie Mary Gerrard – dokończył Herkules Poirot.

– Nie... Niezupełnie – odpowiedział niechętnie młody lekarz. – Zaraz powiedziała o zgubie pielęgniarki domowej.

Detektyw spojrzął bystro w twarz doktora Lorda.

– Myślę, *mon cher*, że to nie wszystko. Czegoś mi pan jeszcze nie powiedział?

– Zgadł pan... Otóż oskarżenie wystąpiło z wnioskiem o ekshumację. Mają odkopać panią Welman.

– *Eh bien?*

– Sądzę, że znajdą to, czego szukają: morfinę.

– Wiedział pan o tym?

Piegowata twarz lekarza zbladła jeszcze bardziej.

– Podejrzewałem.

Mały Belg uderzył dłonią o poręcz fotela.

– *Mon Dieu!* – zawołał. – Nie do pojęcia! Kiedy pani Welman zmarła, wiedział pan, że ją zamordowano?

– Na Boga, nie! W głowie nie powstało mi coś podobnego. Myślałem, że dobrowolnie zażyła truciznę.

– Aha... Tak to pan sobie wyobrażał.

– Naturalnie. Rozmawiała ze mną na ten temat. Nieraz prosiła, żebym „skrócił jej męki”. Miała wstręt do chorowania, bezradności... Brzydziła się sobą... Mówiła, że wstyd leżeć i być pielęgowaną jak niemowlę. To była stanowcza osoba, gotowa na wszystko.

Lekarz umilkł na moment, by podjąć zaraz:

– Zaskoczyła mnie jej śmierć. Nie spodziewałem się tego. Wyprawilem pielęgniarkę z pokoju i możliwie najdokładniej zbadałem zwłoki. Oczywiście tylko na podstawie sekcji można mieć pewność. Jaka jednak byłaby korzyść? Jeżeli chora odeszła z własnej woli, w imię czego wszczynać zamieszanie o skandalicznym posmaku? Lepiej podpisać świadectwo zgonu i niech spoczywa w pokoju. Ostatecznie nie miałem pewności. Dzisiaj rozumiem, że postąpiłem niewłaściwie. Ale nie żywiłem najmniejszych podejrzeń. Byłem głęboko przekonany, że to jednak samobójstwo.

– Zastanawiał się pan, jak chora mogła zdobyć morfinę? – zapytał Poirot.

– Nie miałem pojęcia. Ale jak już panu mówiłem, była to osoba niepospolita, pełna energii, zdecydowana na wszystko.

– Mogła uzyskać truciznę od pielęgniarek?

– Wykluczone! Nie zna pan kobiet tego fachu.



– A od rodziny?  
– To już bardziej prawdopodobne, jeżeli wpłynęłaby umiejętnie na czyjeś uczucia.  
– Wspomniał pan – zaczął znów po pauzie mały Belg – że pani Welman zmarła nie pozostawiając testamentu. Czy sporządziłaby go, gdyby żyła dłużej?

Peter Lord uśmiechnął się nieoczekiwanie.

– Z diabelską precyzją dotyka pan newralgicznych punktów! Tak. Sporządziłaby testament. Była bardzo przejęta tą kwestią. Nie mogła mówić wyraźnie, ale zupełnie jasno dała wyraz swoim pragnieniom. Następnego dnia rano Elinor Carlisle miała wezwać telefonicznie doradcę prawnego pani Welman.

– Innymi słowy, Elinor Carlisle wiedziała, że jej ciotka chce pozostawić ostatnią wolę. Gdyby umarła wcześniej, cały majątek przypadłby w udziale tejże Elinor Carlisle.

– Nie wiedziała! – powiedział szybko Peter Lord. – Nie miała pojęcia, że testament nie istnieje.

– Tak, drogi panie, ona twierdzi. Jednakże mogła wiedzieć.

– Do licha! Czy pan wchodzi w rolę oskarżyciela? – obruszył się lekarz.

– Chwilowo tak. Muszę poznać szczegółowo wszystko, co obciąża Elinor Carlisle.

Czy ona mogła wyjąć morfinę z torby pielęgniarki rejonowej?

– Naturalnie. Tak samo ona jak Roderick Welman, siostra O'Brien, ktokolwiek ze służby.

– Albo też doktor Lord, prawda?

Młody człowiek szeroko otworzył oczy.

– Ma się rozumieć. Ale dlaczego?

– Dajmy na to, z litości.

– Nie, proszę pana. Musi mi pan wierzyć – rzucił z mocą Peter Lord.

– Zastanówmy się nad jednym podejrzeniem – pojął detektyw. – Przypuśćmy, że Elinor Carlisle ukradła z torby morfinę i podała ciotce. Czy powiedziano komuś o zaginięciu fiolki?

– Nikomu z domowników. Dwie pielęgniarki zachowały to między sobą.

– Jakie kroki podejmie pańskim zdaniem oskarżenie? – zapytał Poirot.

– Jeżeli w zwłokach pani Welman zostanie stwierdzona obecność morfiny? O to chciał pan zapytać?

– Tak.

Peter Lord spochmurniał wyraźnie.

– Cóż? Gdyby nawet uniewinniono Elinor Carlisle z obecnych zarzutów, zawsze zostałaby ponownie aresztowana i obwiniona o morderstwo swojej ciotki.

– Tak... – mały Belg zamyślił się na moment. – Motywy są różne. W przypadku pani Welman w grę wchodzi korzyść materialna, w przypadku Mary Gerrard: zazdrość.



– Niewątpliwie.  
– Jaki kierunek zamierza przyjąć obrona?  
– Bulmer chciałby wykazać, że motyw nie istniał. Wysunie teorię, że powodem zaręczyn między Elinor i Roderickiem były względy rodzinne i chęć przypodobania się bogatej ciotce. W tych warunkach, zaraz po zgonie pani Welman, Elinor Carlisle zerwała z narzeczonym dobrowolnie. Roderick Welman złoży zeznanie w takim duchu. Moim zdaniem, prawie uwierzył w całą koncepcję.

– Uwierzył, że Elinor nie dbała o jego osobę?

– Tak.

– A zatem nie miała powodów do uprzątnięcia Mary Gerrard?

– Nie inaczej.

– Ale kto zamordował Mary Gerrard?

– W tym sedno sprawy.

Herkules Poirot pokiwał głową.

– *C'est difficile* – szepnął.

– Istotnie trudna sprawa – przyznał młody człowiek. – Jeżeli Elinor nie otruła Mary Gerrard, kto mógłby to zrobić? Nasuwa się myśl o herbacie. Ale herbatę piła zarówno Mary, jak i pielęgniarka Hopkins. Obrona spróbuje wykazać, że Mary Gerrard połknęła morfinę po wyjściu z pokoju Elinor i tamtej drugiej, że mamy do czynienia z samobójstwem.

– Czy miała jakiś powód?

– Absolutnie żadnego.

– Czy, ogólnie biorąc, była typem samobójczym?

– Nie.

– Jakiego pokroju osobą była Mary Gerrard?

Peter Lord zastanowił się przez chwilę.

– Cóż... Nazwałbym ją... uroczym dzieckiem. Tak! To stanowczo określenie właściwe.

Poirot westchnął.

– I Roderick Welman zakochał się w niej dlatego, że była uroczym dzieckiem?

Peter Lord uśmiechnął się blado.

– Rozumiem, do czego pan zmierza – powiedział. – Mary Gerrard była bardzo ładna.

– A pan, doktorze? Nie żywił pan wobec niej żadnych uczuć?

– Nie! Bóg mi świadkiem.

– Roderick Welman twierdzi – podjął Poirot po chwili namysłu – że łączyła go z Elinor Carlisle jedynie sympatia, nic silniejszego. Pan się z tym zgadza?

– Skąd, u licha, mam wiedzieć?



– Na początku naszej rozmowy zarzucał pan Elinor Carlisle zły gust. Mówił pan o jej miłości do napuszonego durnia z długim nosem. Sądzę, że modelem tego portretu jest Roderick Welman. Wynikałoby stąd, że ona kocha tego człowieka.

Peter Lord bezradnie rozłożył ręce.

– Tak. Kocha go! Kocha, jak wszyscy diabli!

– A zatem motyw istniał – powiedział mały Belg.

Młody lekarz wyprostował się. Twarz miał wykrzywioną gniewem.

– To bez znaczenia! Ona może być winna. Mnie wszystko jedno.

– Aha... Rozumiem – wtrącił półgłosem Poirot.

– Ale nie chcę, żeby ją powieszono. Słyszysz pan? Może była w skrajnej rozpacz?

Miłość to zagadkowa, potężna siła. Potrafi zmienić skończonego łajdaka w anioła i kogoś zupełnie przyzwoitego skłonić do zbrodni. Przypuśćmy nawet, że Elinor jest winna. Czy pan nie ma litości?

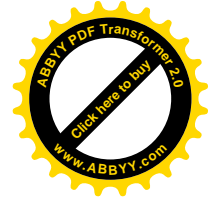
– W żadnym wypadku nie pochwalam morderstwa – powiedział detektyw.

– Komunał, panie Poirot, gładki komunał. Kto pana prosi o pochwalanie morderstwa? Nie żądam, by pan kłamał. Prawda jest zawsze prawdą. Jeżeli odkryje pan coś, co przemawia na korzyść oskarżonego, to czy zatai pan to dlatego, że jego winę uważa pan za niewątpliwą?

– Z całą pewnością nie.

– Więc dlaczego, u diabła, nie chce pan spełnić mojej prośby?

– Przeciwnie, drogi przyjacielu – odparł Herkules Poirot. – Jestem do pańskich usług.



## Rozdział dziewiąty

Peter Lord zmierzył zdumionym wzrokiem małego Belga, dobył z kieszeni chustkę, otarł czoło i ciężko opadł na krzesło.

– Uff! Ale mnie pan wymaglował! Ani rusz nie mogłem pojąć, do czego to wszystko zmierza.

– Rozpatrywałem sprawę przeciwko Elinor Carlisle. Teraz wiem wszystko. Mary Gerrard została otruta morfiną podaną według wszelkiego prawdopodobieństwa w kanapce z pastą rybną. Kanapek nie dotykał nikt, z wyjątkiem Elinor Carlisle. Elinor Carlisle miała motyw, by pozbyć się Mary Gerrard, według pańskiej opinii jest do tego zdolna i przypuszczać należy, że to ona ją zabiła. Nie widzę racji do wyciągania innych wniosków. Tak, *mon ami*, przedstawia się jedna strona medalu. Obecnie zapomnijmy o poprzednich rozważaniach i spróbujmy rozstrzygnąć kwestię: kto zamordował Mary Gerrard, jeżeli nie zrobiła tego Elinor Carlisle? Ewentualnie: czy Mary Gerrard popełniła samobójstwo?

Peter Lord wyprostował się na krześle, zmarszczył czoło.

– W swoich wywodach nie był pan zupełnie ścisły – powiedział.

– Ja? Nie byłem ścisły? – obruszył się Herkules Poirot.

– Tak. Powiedział pan, że kanapek nie dotykał nikt, z wyjątkiem Elinor Carlisle.

Skąd pan wie?

– W domu nie było przecież nikogo?

– Według podanych informacji. Ale pominął pan niedługi okres czasu, kiedy Elinor Carlisle wyszła z domu i udała się do portierni. Kanapki leżały na talerzu w pokoju kredensowym, więc ktoś mógł się do nich dostać.

Detektyw odetchnął głęboko.

– Ma pan słuszność, przyznaję. Przez pewien czas ktoś mógł znaleźć dostęp do talerza z kanapkami. Spróbujmy wyrobić sobie pogląd, kto to mógł być... to znaczy, jakiego typu osobnik – zrobił krótką pauzę. – Zastanówmy się nad Mary Gerrard. Ktoś, nie Elinor Carlisle, pragnął jej śmierci. Dlaczego? Czy mógłby dzięki tej śmierci odnieść materialną korzyść? Czy Mary Gerrard rozporządzała jakimś majątkiem?



– W danej chwili nie – odparł Peter Lord. – Ale mniej więcej za miesiąc miała otrzymać dwa tysiące funtów. Przeznaczyła je dla niej Elinor Carlisle, ponieważ była zdania, że pani Welman życzyłaby sobie tego. W każdym razie postępowanie spadkowe jest dotąd nie zakończone.

– Wolno zatem wykluczyć motyw korzyści materialnej – podjął Poirot. – Powiedział pan, że Mary Gerrard była bardzo ładna. Uroda stwarza często komplikacje. Czy miała wielbicieli?

– Zapewne. Słabo orientuję się w tej kwestii.

– Kto jest lepiej poinformowany?

Młody lekarz uśmiechnął się cierpko.

– Najlepiej skontaktuję pana z pielęgniarką Hopkins. To istny herold miejski. Wie o wszystkim, co dzieje się w Maidensford i okolicy.

– Aha... Chciałbym pana zapytać, jakie wrażenie robią dwie wspomniane pielęgniarki.

– O'Brien jest Irlandką. To sprawna, dobrze wyszkolona pielęgniarka, nie bardzo mądra, skłonna do blagi... To znaczy nie chce ludzi okłamywać, ale ma bujną wyobraźnię i z byle głupstwa robi interesującą opowieść.

Poirot skinął głową ze zrozumieniem.

– Hopkins jest w średnim wieku – ciągnął doktor Lord. – Rozsądna, bystra, odpowiedzialna i na ogół dość sympatyczna, tylko trochę zanadto interesująca się cudzymi sprawami.

– Czy wiedziałyby o nieporozumieniach pomiędzy Mary Gerrard a jakimś młodym człowiekiem z wioski? – zapytał Poirot.

– Murowane! – zawołał lekarz z przekonaniem. – Nie sądzę jednak, by w grę wchodziło coś w tym rodzaju. Mary niedawno wróciła do kraju. Dwa lata spędziła w Niemczech.

– Miała dwadzieścia jeden lat, prawda?

– Tak.

– W Niemczech mogły wyniknąć jakieś komplikacje.

Peter Lord rozpozgodził się wyraźnie.

– Podejrzewa pan, że w Niemczech jakiś facet mógł przyczepić się do Mary. Przyjechał za nią, czekał sposobności i ostatecznie zrobił swoje.

– Brzmi to cokolwiek melodramatycznie – bąknął z powątpiewaniem Herkules Poirot.

– Ale jest możliwe.

– Raczej mało prawdopodobne.

– Nie zgadzam się z panem! – podchwycił gorąco młody człowiek. – Kłós mógł zakochać się szaleńczo w Mary i zupełnie stracić głowę, kiedy dostał kosza. Mógł



wmówić sobie, że został bezlitośnie potraktowany. To jest pomysł!

- Właśnie, pomysł – powtórzył detektyw niezbyt zachęcającym tonem.
- Nie powie mi pan nic więcej, proszę pana? – odezwał się po chwili doktor Lord.
- Widzę, że pan chce, abym był magikiem. Mam z próżnego kapelusza wyjmować

króliki.

- Można to sformułować i w ten sposób.
- Istnieje inna ewentualność.
- Słucham.
- Tamtego wieczora ktoś ukradł fiolkę morfiny z torby pielęgniarki Hopkins.

Przypuścimy, że Mary Gerrard widziała złodzieja.

- Powiedziałyby o tym.

– Nic podobnego, *mon cher*. Rozumujemy logicznie. Elinor Carlisle, Roderick Welman, pielęgniarka O'Brien albo nawet ktoś ze służby otwiera leżącą w hallu torbę i wyjmuje małą szklaną fiolkę. Jaka nasuwa się myśl? Po prostu, że pielęgniarka Hopkins poprosiła tę osobę o przyniesienie czegoś do pokoju chorej. Zapewne Mary Gerrard zapomniałyby z miejsca o drobnym wydarzeniu. Następnie jednak mogła przypomnieć sobie o nim, powiedzieć coś na ten temat w obecności zainteresowanego czy zainteresowanej; powiedzieć mimochodem, bez złośliwych intencji. Wyobraża pan sobie wrażenie mordercy pani Welman? Mary widziała! Trzeba uciszyć Mary za wszelką cenę! Zapewniam pana, drogi przyjacielu, że po pierwszym morderstwie bardzo łatwo zdobyć się na drugie.

- Od początku byłem przekonany, że pani Welman sama otruła się morfiną.
- Kobieta sparaliżowana, bezwładna, wkrótce po drugim ataku?
- Z tego wszystkiego zdaję sobie sprawę. Myślałem, że już dawniej zdobyła jakoś morfinę i ukryła w szkatułce stojącej pod ręką.

– W takim przypadku musiałyby zdobyć morfinę przed drugim atakiem, a pielęgniarkę Hopkins ukradziono fiolkę po tym drugim ataku.

– Hopkins mogła zauważyć dopiero tamtego rana brak fiołki, która zginęła znacznie wcześniej.

- W jaki sposób sparaliżowana staruszka zdobyła morfinę?
- Nie wiem. Może przekupiła kogoś ze służby. Taki ktoś za nic i nigdy nie pisałby słowa.

– Czy obie pielęgniarki uważa pan za osoby nieprzekupne? – zapytał Herkules Poirot.

– Z całą pewnością! Przede wszystkim mają wysokie pojęcie o etyce zawodowej. Po wtóre, bałyby się śmiertelnie zrobić coś podobnego, bo doskonale wiedzą, jakie niebezpieczeństwo groziłoby im samym.

- Hm... To tak... – mruknął Herkules Poirot i podjął zaraz: – W rezultacie





wracamy do punktu wyjścia. Kto jest najbardziej podejrzany o wyjęcie morfiny z torby pielęgniarki Hopkins? Elinor Carlisle. Możemy powiedzieć, że chciała odziedziczyć całą pokaźną fortunę. Możemy także przypisać jej szlachetniejsze pobudki. Uległa wielokrotnie powtarzanym prośbom ciotki: z litości ukradła i podała jej morfinę. Ale tak czy inaczej, ona to zrobiła, a Mary Gerrard widziała. I co dalej? Mamy znów kanapki, pusty dom i Elinor Carlisle. Tylko motyw jest inny. Tym razem chodzi o ratowanie własnej głowy.

– Czysta fantazja! – obruszył się Peter Lord. – Powiadam panu, że to nie ten typ. Pieniądze nie odgrywają istotnej roli dla niej ani, muszę przyznać, dla Rodericka Welmana. Sam słyszałem ich rozmowę na ten temat.

– Słyszał pan? Ciekawe. Tego rodzaju wypowiedzi z reguły budzą we mnie podejrzliwość.

– Do licha! – burknął lekarz. – Wszystko musi pan wykręcić tak, że w rezultacie obraca się przeciwko Elinor Carlisle.

– Nie ja – powiedział Poirot. – Wszystko samo wykręca się w ten sposób. Krąży i wraca do jednego nazwiska: Elinor Carlisle.

– Nie! – zawołał Peter Lord.

– Czy pańska protegowana ma krewnych? Ojca, matkę, rodzeństwo, kuzynów?

– Nie. To sierota, sama na świecie.

– Patetyczne zdanie. Z pewnością Bulmer wykorzysta je w mowie obrończej. Kto w takim razie odziedziczy jej majątek w wypadku śmierci.

– Nie wiem. Nie myślałem o tym.

– O takich sprawach zawsze należy myśleć. Czy na przykład sporządziła testament?

Lekarz zarumienił się i po krótkiej pauzie odrzekł bez przekonania:

– Nie wiem.

Herkules Poirot spojrział w sufit, splótł znowu palce dłoni i podjął spokojnie.

– Na pańskim miejscu wolałbym powiedzieć.

– Co?

– To, o czym pan myśli, chociaż mogłoby się wydawać bardzo szkodliwe dla Elinor Carlisle.

– Skąd pan wie?

– Po prostu wiem. Coś, jakiś szczegół niepokoi pana. Powinienem dowiedzieć się o tym, bo w przeciwnym razie mogę wyobrazić sobie coś nieporównanie gorszego.

– Właściwie to drobiazg... – zaczął lekarz i urwał.

– Zapewne. Zdecydujemy o tym później. Na razie niech mi pan powie.

Niezręcznie, z ociąganiem Peter Lord opisał scenę, kiedy Elinor Carlisle stanęła za oknem domku pielęgniarki Hopkins. Wspomniał też o jej dziwnym, histerycznym



śmiechu.

Herkules Poirot zamyślił się głęboko.

– Zatem – rzekł wreszcie – Elinor Carlisle powiedziała te słowa: „A więc piszesz testament, Mary. Zabawne, bardzo zabawne!” Pan uświadomił sobie wtedy, co się działo w jej myślach. Była zapewne zdania, że Mary Gerrard ma przed sobą niedługie życie.

– Nie wiedziałem tego. Wyobrażałem sobie – zastrzegł się Peter Lord.

– Nie, *mon cher* – odparł mały Belg. – Pan nie tylko wyobrażał to sobie.



## Rozdział dziesiąty

Herkules Poirot siedział w mieszkaniu siostry Hopkins. Doktor Lord wprowadził go, przedstawił i na porozumiewawcze spojrzenie odszedł, zostawiając parę sam na sam.

Cudzoziemski wygląd małego Belga wzbudził zrazu nieufność pielęgniarki, obecnie jednak lody topniały błyskawicznie.

– Tak, to okropna historia – mówiła z nieco makabrycznym zadowoleniem siostra Hopkins. – O niewielu gorszych słyszałam. Mary była piękna, tak, jedna z najładniejszych dziewcząt, jakie widziałam w życiu. Mogła jak nic zostać gwiazdą filmową. I taka miła, poważna, wcale nie zarozumiała. Nie zadzierała nosa, choć dużo było wokół niej szumu.

– Ma pani na myśli opiekę, którą pani Welman otaczała Mary Gerrard? – zapytał detektyw.

– Naturalnie. Staruszka strasznie się do niej przywiązała. Powiadam panu, strasznie!

– Trochę to dziwnie wyglądało, prawda? – podszeptał Poirot.

– Czy ja wiem... Przywiązanie mogło być zupełnie naturalne. Zmierzam do tego... – pielęgniarka Hopkins przygryzła wargi i zrobiła zakłopotaną minę. – Zmierzam do tego, że Mary była bardzo sympatyczna. Miała przyjemny głos, poprawne maniery. Moim zdaniem młoda, ładna buzia zazwyczaj dobrze wpływa na starsze osoby.

– Sądzę, że panna Carlisle odwiedzała od czasu do czasu ciotkę – powiedział Herkules Poirot.

– Panna Carlisle przyjeżdżała wtenczas, kiedy jej odpowiadało – rzuciła szorstko siostra Hopkins.

– Nie lubi jej pani, prawda?

– Pewnie, że nie lubię – zawołała. – Trucicielka! Wyrafinowana trucicielka!

– Aha... – bąknął młody Belg. – Widzę, że pani nie żywi wątpliwości.

– Jak to, nie żywi wątpliwości? Pod jakim względem?

– Jest pani przekonana, że panna Carlisle podała morfinę Mary Gerrard.



- A kto mógł to zrobić? Chyba nie podejrzewa pan, że ja?
- Ani przez moment. Należy jednak pamiętać, że wina Elinor Carlisle nie została jeszcze udowodniona.
- Ona jest winna – oznajmiła pielęgniarka z nutą spokojnego przekonania w głosie.
- Pomijając wszystko inne, można to było wyczytać z jej twarzy. Cały czas zachowywała się jakoś dziwnie. Zabrała mnie na piętro, trzymała jak najdłużej. A jak zobaczyłam, co dzieje się z Mary i później spojrzałam na nią, wszystko miała wypisane na twarzy. Wiedziała, że ja wiem, mówię panu.
- Istotnie – podjął z wolna Herkules Poirot – trudno sobie wyobrazić, aby ktoś inny mógł otruć Mary Gerrard. Chyba, że sama to zrobiła?
- Sama zrobiła! – krzyknęła siostra Hopkins. – Niby, że odebrała sobie życie? Jak żyję nie słyszałam podobnego głupstwa!
- Nigdy nic nie wiadomo... Serce młodej dziewczyny to instrument bardzo delikatny, wrażliwy – Herkules Poirot zrobił krótką pauzę. – W każdym razie samobójstwo było możliwe. Mary Gerrard mogła wrzucić coś do swojej filizanki?
- Wrzucić do swojej filizanki?
- Tak. Nie obserwowała jej pani bez przerwy.
- Rzeczywiście. Nie obserwowałam jej bez przerwy. Mogła wrzucić morfinę do swojej filizanki... Ale to nonsens! Dlaczego miałyby zrobić coś podobnego?
- Herkules Poirot pokiwał głową.
- Jak powiedziałem, serce młodej dziewczyny potrafi być dziwnie wrażliwe...  
Nieszczęśliwa miłość i...
- Dziewczyny nie odbierają sobie życia z powodu nieszczęśliwej miłości – przerwała pielęgniarka. – Chyba, że się spodziewają dziecka. Ale Mary nie była w takim stanie. Mogę ręczyć! – zmierzyła małego Belga wyzywającym wzrokiem.
- I nie kochała się w nikim? – zapytał.
- Z pewnością nie! Była zupełnie wolna, zainteresowana świeżą pracą, pełna radości życia.
- Ale przy tak niezwykłej urodzie musiała mieć wielbicieli.
- Nie należała do wyzywających dziewcząt. Nic podobnego. Była bardzo spokojna.
- Mimo to musiała podobać się jakimś młodym mężczyznom z okolicy.
- Oczywiście... Kręcił się koło niej Ted Bigland.
- Herkules Poirot umiejętnie wydobyl z siostry Hopkins liczne szczegóły dotyczące Teda Biglanda.
- Zawróciła mu w głowie, to pewne – powiedziała pielęgniarka. – Ale jak sama mówiłam Mary, ona znacznie wyrosła nad niego.
- Pewnie był zły, że Mary Gerrard nie chce się z nim zadawać – wtrącił Herkules



Poirot.

– Gryzł się... naturalnie. Nawet do mnie miał pretensje.

– Był zdania, że to pani robota, co?

– Powiedział mi nawet coś w tym sensie. Ale ja uważałam, że mam prawo dobrze radzić Mary. Ostatecznie znam trochę życie. Nie chciałam, żeby taka dziewczyna poszła za pierwszego lepszego.

– Dlaczego Mary Gerrard tak panią interesowała?

– Czy ja wiem? – zawahała się na moment, stropiła nieco. – Było w niej, widzi pan, coś... coś romantycznego.

– W niej samej, nie w jej sytuacji. O ile dobrze sobie przypominam, była córką odźwiernego.

– Tak... Naturalnie... Chociaż – znów umilkła, zerknęła bystro na detektywa, który spoglądał na nią łagodnie, życzliwie. – Prawdę mówiąc, nie była córką starego Gerrarda. On sam mi to powiedział. Jej ojciec był dżentelmenem.

– Aha... A matka?

Siostra Hopkins zawahała się raz jeszcze, przygryzła wargi. Ostatecznie jednak zdobyła się na szczere zwierzenia.

– Matka była panną służącą pani Welman. Za Gerrarda wyszła po urodzeniu córki.

– To romans! Tajemniczy romans – wtrącił Poirot.

– Prawda? – twarz pielęgniarki rozjaśniła się wyraźnie. – Trudno nie interesować się osobą, o której człowiek wie coś, o czym nikt więcej nie wie. Przypadkiem odkryłam to i owo. Właściwie siostra O'Brien naprowadziła mnie na trop. Ale to już inna historia. W każdym razie mamy do czynienia z dawnym tajemniczym romanssem, jak pan się słusznie wyraził. No cóż... przeszłość kryje niejedną tragedię, której nawet się nie domyślamy. Smutny ten świat!

Poirot westchnął i z respektem pochylił głowę.

– Mój Boże! Niepotrzebnie gadam! – spłoszyła się nagle pielęgniarka Hopkins. – O tym wszystkim nie powinnam pisać ani słówka. Przecież cała historia nie ma nic wspólnego z procesem. W oczach świata biedna Mary była córką Gerrarda i nic innego nie warto mówić. Po co uchybiać jej po śmierci. Ostatecznie Gerrard ożenił się w swoim czasie z jej matką. To wystarczy.

– A nie wie pani przypadkiem – zapytał niewinnie Poirot – kto rzeczywiście był jej ojcem?

– Hm... może wiem, może nie wiem – odpowiedziała niechętnie siostra Hopkins. – Albo ściślej, nie słyszałam nic pewnego. Mogę się tylko domyślać. Stare grzechy rzucają długie cienie, jak to się mówi. Ale ja nie lubię plotek i słowa więcej nie dorzucę.

Herkules Poirot wycofał się taktownie, by zaatakować kolejny temat.



– Jest jeszcze inna kwestia... raczej poufna. Sądzę jednak, że mogę liczyć na pani dyskrecję.

Kobieta złagodniała. Na jej pospolitej twarzy pojawił się życzliwy uśmiech.

– Chciałbym pomówić – ciągnął detektyw – o panu Rodericku Welmanie.

Podobno zainteresował się Mary Gerrard.

– Zakochał się po uszy! – powiedziała z przekonaniem siostra Hopkins.

– A jednocześnie, jak słyszałem, był narzeczonym panny Carlisle?

– Moim zdaniem, proszę pana, nie durzył się w niej nigdy naprawdę tak, jak ja wyobrażam sobie miłość.

– Czy Mary Gerrard mile przyjmowała jego... jego awanse? – zapytał mały Belg posługując się staroświeckim wyrażeniem.

– Zachowywała się poprawnie. Nikt nie miałby prawa pomawiać jej o kokieterię.

– Była w nim zakochana?

– Nic podobnego!

– Ale podobał jej się, prawda?

– O tak! Myślę, że bardzo się jej podobał.

– Chyba wolno przypuścić, że z biegiem czasu przyszląby kolej na... na coś konkretniejszego?

– Możliwe. Ale Mary nie chciała decydować nic pochopnie. Z miejsca mu powiedziała, że nie powinien tak do niej mówić, skoro jest zaręczony z panną Carlisle. To samo powtórzyła, kiedy złożył jej wizytę w Londynie.

– A co pani sądzi o panu Rodericku Welmanie? – zapytał Poirot z rozbijającą prostotą.

– Dostyc przyjemny młody człowiek. Może trochę zbyt nerwowy. W starszym wieku pewnie będzie miał katar żołądka. To niedomaganie pospolite wśród przewrażliwionych osób.

– Czy był przywiązany do swojej stryjenki?

– Moim zdaniem tak.

– A ostatniego dnia spędził dużo czasu przy jej łóżku?

– Znaczący się po drugim ataku? Ostatniego wieczora, przed jej śmiercią? Myślę, że nie wszedł nawet do pokoju pani Welman.

– Doprawdy?

– Nie wezwała go, proszę pana. A przecież nikt nie zdawał sobie sprawy, że koniec jest tak bliski. Mężczyźni często bywają tacy. Wiadoma sprawa. Jak ognia unikają pokoju, gdzie leży ktoś chory. To silniejsze od nich i wcale nie świadczy o braku serca. Nic podobnego. Po prostu obawiają się silnych wzruszeń.

Poirot wyraził zrozumienie ruchem głowy.

– Jest pani pewna, że on nie był u pani Welman przed jej śmiercią?



– W każdym razie nie podczas mojego dyżuru. O'Brien zlużowała mnie o trzeciej w nocy. Może nad ranem wezwała pana Welmana. Ale jeżeli nawet tak było, mnie o niczym nie powiedziała.

– Mógł chyba wejść do pokoju podczas nieobecności pani...

– Nie mam zwyczaju zostawiać pacjentów bez opieki – oburzyła się pielęgniarka.

– Stokrotnie przepraszam. Nie to miałem na myśli. Sądziłem, że pani mogła zejść na dół po gorącą wodę albo jakiś niezbędny środek uśmierzający.

Siostra Hopkins złagodniała ponownie.

– Istotnie schodziłam do kuchni po gotującą wodę – przyznała. – Wiedziałam, że czajnik stoi na gazie.

– Długo to trwało?

– Nie więcej niż pięć minut.

– Aha... Więc pan Welman mógł zajrzeć na chwilę do chorej?

– Mógł. Ale musiałyby się bardzo spieszyć.

Poirot westchnął cicho.

– Słusznie pani powiedziała, że mężczyźni unikają jak ognia pokoju, gdzie leży ktoś chory. Kobietom przypada zawsze rola opiekuńczych aniołów. Cóż robilibyśmy bez was, zwłaszcza bez kobiet pani zawodu? To naprawdę szlachetne, piękne powołanie!

Siostra Hopkins zarumieniała się mocno.

– Bardzo pan łaskaw i uprzejmy. Mnie samej nigdy nie przyszło na myśl coś podobnego. Nasz zawód wymaga zbyt wiele ciężkiej pracy. Nie pozostawia czasu na rozważania o szlachetności powołania.

– Nic więcej nie może pani powiedzieć o Mary Gerrard? – zapytał Poirot.

Siostra Hopkins zawahała się i podjęła dopiero po długiej pauzie.

– Nic więcej nie wiem.

– Na pewno?

– Czy pan nie rozumie, że ja bardzo lubiłam tę dziewczynę? – odparła pozornie bez związku pielęgniarka.

– I nic nie ma pani do powiedzenia?

– Nie mam. Z całą pewnością.



## Rozdział jedenasty

Herkules Poirot siedział skromnie i nieśmiało wobec groźnego, obleczonego w czerń majestatu pani Bishop.

Niełatwym zadaniem było zjednać sobie tę osobę – damę o zapatrywaniach konserwatywnych, nad wyraz nieprzychylnie usposobioną wobec cudzoziemców. Słynny detektyw niewątpliwie był cudzoziemcem, więc udzielała lodowatych odpowiedzi i mierzyła go wzrokiem pełnym podejrzliwości i niechęci.

Prezentacja, dokonana przez doktora Lorda, w bardzo znikomym stopniu złagodziła sytuację.

– W samej rzeczy – powiedziała pani Bishop, gdy młody człowiek opuścił pokój – doktor Lord to zdolny lekarz, pełen najlepszych chęci. Ale jego poprzednik, pan doktor Ransome, był u nas tyle lat!

Miało to znaczyć: doktor Ransome zasługiwał na pełne zaufanie i postępował zgodnie z zasadami obowiązującymi w tej części kraju. Natomiast nieodpowiedzialny młokos, parweniusz, doktor Lord, który przejął jego praktykę, posiada tylko kwalifikacje fachowe. A cała postawa pani Bishop zdawała się mówić, że same kwalifikacje zawodowe to nie wszystko.

Herkules Poirot był ujmujący, zręczny, lecz mimo jego wdzięku i usilnych starań, pani Bishop pozostała wyniosła i nieprzejednana.

Zgon pani Welman wywołał ogólny żal. Nieboszczka cieszyła się wielkim szacunkiem sąsiadów. Aresztowanie panny Carlisle „to zgroza i niewątpliwie skutek tych nowomodnych metod policyjnych”. Pogląd pani Bishop na przyczyny śmierci Mary Gerrard był zupełnie mglisty.

„Z całą pewnością nic nie potrafiłabym powiedzieć” – to wszystko, co dało się z niej wydobyć.

Na koniec mały Belg wygrał ostatnią kartę. Z naiwną dumą opowiedział o swojej niedawnej wizycie w Sandringham. Z uznaniem wspominał o łaskawej, zdumiewająco uprzejmej prostocie Najjaśniejszego Pana.

Pani Bishop, która baczenie śledziła z dnia na dzień wszelkie wydarzenia dworskie,





została rozbrojona. Skoro sam monarcha wezwał do siebie tego pana Poirota... A! To inna sprawa! Niech sobie będzie nawet cudzoziemcem, jeżeli jednak Najjaśniejszy Pan wskazał drogę, ona, Emma Bishop, nie powinna lekceważyć obcego przybysza.

Niebawem wywiązała się miła, życzliwa rozmowa w kwestii tak ważnej, jak wybór stosownego małżonka dla następczyni tronu.

Po odrzuceniu wszystkich możliwych kandydatów, jako „niezupełnie stosownych”, pogawędka zesłała na tematy mniej dostojne.

Poirot zrećcznie wtrącił uwagę:

– Kwestie matrymonialne bywają, niestety ryzykowne, pełne zdradliwych pułapek.

– Istotnie, proszę pana. Przy tej epidemii rozwodów! – zgodziła się pani Bishop takim tonem, jak gdyby mówiła o jakiejś zaraźliwej chorobie, na przykład ospie.

– Spodziewam się – podjął mały Belg – że pani Welman bardzo zależało, by przed jej śmiercią bratanica znalazła stosowną przystań życiową.

– W samej rzeczy, proszę pana. Była bardzo zadowolona, gdy panna Elinor zaręczyła się oficjalnie z panem Roderickiem. Od dawna na to liczyła.

– Może chęć przypodobania się pani Welman stanowiła po części przyczynę tego narzeczeństwa? – zaryzykował detektyw.

– Ach, nie! Tego bym nie twierdziła, proszę pana. Panna Elinor zawsze interesowała się panem Roderickiem... Zawsze! Od czasu, kiedy była śliczną, młodziutką panią. Ona jest z natury bardzo wierna i lojalna.

– A on? – wtrącił Herkules Poirot.

– Pan Roderick był również przywiązany do panny Elinor – odparła wyniośle była gospodyni z Hunterbury.

– Ale, o ile mi wiadomo, zaręczyny zostały zerwane.

Oblicze pani Bishop poczerwieniało.

– Na skutek machinacji żmii hodowanej na łonie.

– Czyżby? – zawołał Poirot udając zdziwienie w stopniu właściwym do okoliczności.

Pani Bishop poczerwieniała jeszcze bardziej.

– W naszym kraju, proszę pana – podjęła – obowiązuje zwyczaj, by zachowywać powściągliwość, kiedy mowa o zmarłych. Muszę jednak powiedzieć, że ta młoda osoba zachowywała się niecnie.

Herkules Poirot w zamyśleniu przyglądał się przez chwilę damie w czerni. Wreszcie rzekł, naiwnie na pozór:

– Zdumiewa mnie pani! Słyszałem, że ta młoda osoba była dziewczyną o ujmującym, prostolinijnym charakterze.

– Była okropna! – wybuchnęła starsza dama. – Wszystkich potrafiła usidlić, chociażby pielęgniarkę Hopkins, nie mówiąc nawet o mojej biednej, ukochanej pani.



Mały Belg cmoknął i z głębokim zrozumieniem i współczuciem pokiwał głową. Zachęcona tym pani Bishop mówiła dalej:

– W samej rzeczy, proszę pana. Biedulka gasła, a ta młoda osoba podstępnie wkradła się w jej łaski. Wiedziała, co w trawie piszczy! Wciąż kręciła się przy mojej nieszczęśliwej pani, czytała jej na głos, przynosiła kwiaty. Ciagle było, proszę pana, „Mary to, Mary tamto, gdzie jest moja Mary?” A ile pieniędzy nieboszczka wyrzuciła na tę dziewczynę! Kosztowna szkoła, uzupełniająca edukacja za granicą. Na wszystko było, i dla kogo, proszę pana? Dla córki starego Gerrarda! Nawet on sam jej nie lubił. To pewne! Skarżył się często, że dziewczyna przybiera tony wielkiej damy. Miał rację, bo zadzierała nosa nad swoją sferę.

Poirot pokiwał głową i westchnął cicho:

– Mój Boże... Mój Boże...

– A jak potrafiła zawrócić w głowie panu Roderickowi! Był zbyt naiwny, żeby ją przejrzeć. Panna Elinor, młoda dama o szlachetnej duszy, nie podejrzewała nawet, co się święci. Wszyscy mężczyźni są jednacy. Łatwo ich złapać na pochlebstwo i ładną buzię.

– Mary Gerrard miała zapewne wielbicieli ze swojej sfery? – wtrącił półgłosem mały Belg.

– A miała, miała! Był syn Rufusa Biglanda, bardzo porządny chłopiec, Ted. Ale skąd znowu! Nasza wielka dama spojrzeć na niego nie chciała. Zawsze irytowały mnie jej fochy i górne tony.

– Czy młody Bigland nie miał do niej urazy za takie traktowanie? – zapytał Belg.

– Naturalnie, że miał! Twierdził, że ta młoda osoba robi słodkie oczy do pana Rodericka. To wiem z pewnością i nie dziwią mnie wcale pretensje młodego Biglanda.

– Ani mnie – wtrącił Poirot. – Bardzo mnie zainteresowały wypowiedzi szanownej pani. Należy pani do osób, które posiadają dar charakteryzowania ludzi w kilku zwięzłych zdaniach. Nareszcie mam dokładne pojęcie o Mary Gerrard.

– Proszę pamiętać, że nie powiedziałam ani słowa przeciwko niej. Nie pozwoliłabym sobie nigdy na nic podobnego. Ta młoda osoba leży w grobie. Atoli muszę przyznać, że narobiła nie lada zamieszania.

– Nie wiadomo, jak się to wszystko skończy – podszepnął zrecznie mały Belg.

– Z ust mi pan wyjął te słowa! – ożywiła się pani Bishop. – Ach, gdyby moja ukochana, biedna pani nie umarła wtedy... Mój Boże! Teraz rozumiem, że to był doprawdy akt miłosierdzia. Nie mam pojęcia, jak skończyłoby się to wszystko!

– Nie bardzo rozumiem – wtrącił Poirot.

– Zdarzały się i zdarzają różne rzeczy – podjęła z namaszczeniem była gospodyni z Hunterbury. – Coś podobnego zaszło w rodzinie, gdzie służyła moja siostra. Kiedy zmarł stary pułkownik Randolph, okazało się, że ograbił własną żonę i cały majątek do



ostatniego pensa zostawił jakiejś dziewczynie lekkich obyczajów, która mieszkała w Eastbourne. A stara pani Dacres, chociaż była zamężna i miała dzieci, zapisała wszystko organiście, takiemu młodemu człowiekowi z długimi włosami.

– Zmierza pani do tego, że pani Welman mogła zostawić grube pieniądze Mary Gerrard?

– Nie zdziwiłabym się wcale! – zawołała starsza dama. – Nie wątpię, że do tego dążyła ta młoda osoba. Powiem więcej, proszę pana. Gdybym ośmieliła się pisać słowo, to pani Welman wpadłaby w złość, chociaż byłam u niej przez blisko dwadzieścia lat. Nie ma wdzięczności na tym świecie! Człowiek robi, co może i nie znajduje uznania.

– Niestety! – westchnął Poirot. – To głęboka prawda.

– Ale zło, proszę pana, nie zawsze triumfuje.

– Słusznie! Mary Gerrard nie żyje.

– Odeszła na wieki – powiedziała starsza dama. – Nie naszą sprawą sąd nad nią.

– Okoliczności jej śmierci wydają się niezrozumiałe – zabrał znów głos Herkules Poirot.

– Ach, ta policja i jej nowomodne metody! – westchnęła pani Bishop. – Czy to do pomyslenia, żeby panna Elinor, dobrze wychowana panienska z towarzystwa, mogła być trucicielką? Nawet mnie próbują w to wciągnąć. Podobno miałam mówić, że panna Elinor zachowywała się osobliwie.

– Chyba tak było? – wtrącił Poirot.

– Cóż dziwnego? – obruszyła się starsza dama. – Przecież to delikatna, wrażliwa młoda istota. Szła porządkować rzeczy po zmarłej ciotce. To przykra sprawa.

Poirot jeszcze raz pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Lżej by jej było w towarzystwie pani – powiedział.

– Zaproponowałam, że z nią pójdę, ale podziękowała, nawet szorstko. Rzecz rozumiała. Panna Elinor zawsze była dumna i powściągliwa. Mój Boże! Szkoda, że się nie zgodziła!

– Nie przyszło pani na myśl, żeby pójść za nią?

– Drogi panie – odparła godnie była gospodyni z Hunterbury. – Ja nie chodzę tam, gdzie nie jestem mile widziana!

Poirot zrobił pokorną minę i podjął układowo:

– Ponadto miała pani niewątpliwie własne ważne sprawy do załatwienia.

Pani Bishop westchnęła.

– Jak dziś pamiętam, dzień był szczególnie parny, gorący. Poszłam na cmentarz, żeby w dowód szacunku położyć kilka kwiatków na grobie nieboszczki, pani Welman. Długo tam odpoczywałam, bo upał zmógł mnie zupełnie. Kiedy wróciłam do domu na obiad, moja siostra przeraziła się, że taka jestem zgrzana. Powiedziała, że nigdy nie



powinnam wychodzić w takie gorące dni.

– Zazdroszczę szanownej pani – powiedział mały Belg spoglądając z uznaniem na starszą damę. – To miło nie mieć sobie nic do wyrzucenia po zgonie bliskiej osoby. Pan Roderick Welman żałuje niewątpliwie, że ostatniej nocy nie odwiedził ciotki, chociaż nie wiedział przecież, że końca należy oczekiwać tak rychło.

– Pan się myli, proszę pana! – rzuciła żywo pani Bishop. – Pan Roderick był tamtej nocy w pokoju ciotki. Wiem z pewnością, bo znajdowałam się wtedy na korytarzu. Usłyszałam, że pielęgniarka zbiega po schodach, więc chciałam zajrzeć do mojej biednej pani, sprawdzić, czy jej czego nie potrzeba. Wie pan, jakie są pielęgniarki... Lubią przebywać w kuchni, plotkować ze służbą albo ją zanudzać, bo im się zachciewa Bóg wie czego. Chociaż trzeba przyznać, że siostra Hopkins zachowywała się lepiej od rudej Irlandki. Nie gadała tyle i mniej się naprzykrzała. Otóż, jak już powiedziałam, chciałam zajrzeć do sypialni pani Welman i przekonać się osobiście, czy wszystko w porządku. Właśnie wtenczas pan Roderick wszedł do pokoju ciotki. Nie wiem, czy go poznała, ale w każdym razie pan Roderick nie ma sobie nic do wyrzucenia.

– Dobrze się stało – bąknął Poirot – bo to zdaje się trochę nerwowy młody człowiek.

– Powiedziałyby, przewrażliwiony. Taki był zawsze.

– Proszę pani! – podjął z respektem detektyw. – Dzięki naszej rozmowie nabrałem wysokiego mniemania o trafności sądów szanownej pani. Tak między nami... Co pani myśli o śmierci Mary Gerrard?

– Prosta sprawa! Dziewczyna jadła obrzydliwą pastę rybną od Abbotta. Przecież tam miesiącami trzymają słoiki na półkach. Mój cioteczno-cioteczny brat tak się raz rozchorował po krabach z puszki, że o mało co nie umarł.

– Ale w zwłokach wykryto morfinę! – zaprotestował mały Belg.

– Nic mi nie wiadomo o żadnej morfinie! Nie zna pan lekarzy? Powiedzieć im tylko, że mają czegoś szukać, a z pewnością znajdą. Zepsuta pasta rybna im nie wystarczy!

– Nie podejrzewa pani, że Mary Gerrard odebrała sobie życie? – zapytał Herkules Poirot.

– Ona? – rzuciła wzgardliwie pani Bishop. – Także pomysł! Przecież postanowiła wydać się za pana Rodericka. Z pewnością nie odebrałyby sobie życia!



## Rozdział dwunasty

Była niedziela, więc Poirot zastał Teda Biglanda na farmie jego ojca. Łatwo nakłonił do rozmowy młodego człowieka, który skorzystał ze sposobności, jak gdyby to stanowiło dlań ulgę.

– Więc próbuje pan odkryć, kto zabił Mary? – powiedział Ted z zastanowieniem. – Cóż, to nieprzenikniona zagadka.

– Nie sądzi pan, że zrobiła to panna Carlisle?

Chłopak zmarszczył się, zrobił minę zakłopotaną prawie po dziecinnemu.

– Widzi pan – odrzekł z wahaniem – panna Elinor to prawdziwa dama. Trudno sobie wyobrazić, że mogłaby zrobić... no, popełnić taką zbrodnię. Rozumie pan, co mam na myśli?... Takie osoby nie robią czegoś podobnego... To mało prawdopodobne.

– Istotnie... mało prawdopodobne – powtórzył wolno Herkules Poirot. – Jeżeli jednak do głosu przyjdzie zazdrość... – urwał, spojrzawszy bystro na stojącego przed nim przystojnego, jasnowłosego olbrzymia.

– Zazdrość... Czy ja wiem? Trafiają się zabójstwa z zazdrości, ale chyba wtedy, kiedy ktoś się upije, wpadnie w szał, no i... Nie! Panna Elinor to spokojna, dobrze wychowana panienska...

– A jednak Mary Gerrard nie żyje – przerwał mały Belg – i nie umarła naturalną śmiercią. Jakie jest pańskie zdanie o jej śmierci? Czy jest pan w stanie powiedzieć mi coś, co pomoże rozwikłać zagadkę, kto zamordował Mary Gerrard?

Chłopiec opuścił głowę.

– To straszne – szepnął. – Trudno powiedzieć, żeby ktokolwiek chciał zabić Mary. Ona była... była jak kwiat.

W mgnieniu oka Herkules Poirot wyrobił sobie nowy pogląd na zmarłą. Słowa prostego człowieka, wypowiedziane łamiącym się głosem, ukazały mu ją żywą i kwitnącą. „Była jak kwiat”. Zabrzmiało to nutą niepowetowanej straty, żalu po czymś nieskończeniu pięknym.

W pamięci małego Belga odżyły jedno po drugim rozmaite zdania. Peter Lord: „Urocze dziecko”. Pielęgniarka Hopkins: „Jak nic mogłaby zostać gwiazdą filmową”.



Zjadliwy syk pani Bishop: „Zadzierała nosa!” I bardziej od poprzednich przekonywające spokojne, szczerze słowa: „Była jak kwiat”.

– A zatem...? – Herkules Poirot rozpostarł ręce szerokim, zachęcającym do zwierzeń gestem.

Ted Bigland opuścił głowę jeszcze niżej. W oczach miał wyraz cierpiącego zwierzęcia.

– Wiem, proszę pana. Pan powiedział prawdę. Wiem, że ona nie umarła naturalną śmiercią. Ale zastanawiam się... i zastanawiam... – umilkł zatroskany.

– Nad czym? – zapytał detektyw.

– Zastanawiam się – podjął z wolna młody człowiek – czy to nie mógł być nieszczęśliwy wypadek.

– Wypadek? Jaki?

– Wiem, proszę pana. To wydaje się głupstwem. Ale myślę i myślę i wciąż mi się zdaje, że zdarzyło się właśnie coś takiego. Ktoś chciał inaczej albo omylił się i... No po prostu, to był przypadek!

Zakłopotany swym brakiem elokwencji spojrział żałośnie na małego Belga.

Ten ostatni milczał przez chwilę, sprawiał wrażenie, że rozważa coś głęboko.

– Bardzo znamienne jest to pańskie przekonanie – odezwał się wreszcie.

– Dla pana to niemądre, proszę pana – podjął nieśmiało Ted Bigland. – Nie mam pojęcia, jak ani dlaczego to się stało, ale... ale tak właśnie czuję.

– Odczucie to czasami bardzo ważny wskaźnik. Wybacz pan, że poruszę bolesną kwestię. Interesował się pan Mary Gerrard, prawda?

Opalona twarz chłopca poczerwieniała mocno.

– Cała okolica wiedziała o tym – odrzekł z prostotą.

– Myślał pan o małżeństwie?

– Tak.

– Ale ona nie była skłonna, prawda?

Rumieńce Teda Biglanda pociemniały. Gdy odezwał się, jego głos dźwięczał tłumionym gniewem.

– Ludzie chcą robić dobrze, pewnie! Ale nie powinni wtrącać się, wichrować cudzego życia. Cała ta edukacja i podróże zagraniczne zmieniły Mary. Nie zepsuły jej, nic podobnego! Wcale nie była zarozumiała. Zamąciło się jej w głowie. Rozumie pan? Nie wiedziała, na jakim żyje świecie. Mówmy po prostu. Dla mnie była już za dobra, ale nie pasowała jeszcze do takiego prawdziwego dżentelmena jak pan Welman.

– Nie lubi go pan, co? – Poirot zerknął bystro na twarz Teda.

– Dlaczego miałbym go nie lubić? – zachnął się chłopiec. – Nie mam mu nic do zarzucenia. Trudno go nazwać prawdziwym mężczyzną... Rozumie pan, co mam na myśli? Mógłbym podnieść go i złamać na dwoje... Pewnie za to ma dobrze



umeblowaną głowę... Ale co z tego? Jak na przykład wóz nawali, człowiek może na pamięć znać teorię, a i tak będzie bezradny niby małe dziecko. Trzeba przecież dźwignąć tu czy tam, porządnie wziąć się do roboty.

– Pan pracuje w garażu? – wtrącił Poirot.

– U Hendersona, przy wjeździe do wioski.

– Był pan tam wtedy, kiedy... kiedy to się zdarzyło?

– Byłem. Przeglądałem samochód jednego pana. Coś nie grało i nie mogłem znaleźć gdzie. Wyjechałem tym wozem na krótko. Dziwnie dziś pomyśleć... Był śliczny dzień. W żywopłotach kwitło jeszcze kapryfolium... Mary bardzo lubiła kapryfolium. Często zrywaliśmy je razem przed jej wyjazdem za granicę.

Poirot nie przerywał. Ted Bigland miał znów po dziecinnemu zatroskaną minę. Nagle wzdrygnął się.

– Przepraszam pana... Nie to chciałem powiedzieć o panu Welmanie. Byłem zły, że kręci się koło Mary. Po co? Przecież ona nie pasowała do niego tak naprawdę.

– A ona? Interesowała się nim? Jak pan sądzi?

– Chyba nie... A zresztą, czy ja wiem! Może się interesowała.

– A nie było w jej życiu innego mężczyzny? Na przykład kogoś, kogo poznała za granicą?

– Nie wiem... Nigdy nic nie mówiła.

– Czy nie miała wrogów tutaj, w Maidensford?

– Znaczą się kogoś, kto by jej źle życzył?... Proszę pana, nikt nie znał bliżej Mary, ale chyba ją wszyscy lubili.

– A pani Bishop, gospodyni z Hunterbury?

Ted skrzywił się tylko.

– To była zwykła zawiść. Nie podobało się jej, że pani Welman bardzo polubiła Mary.

– Wróćmy do Mary. Czy dobrze się tutaj czuła? Była przywiązana do pani Welman?

Ted Bigland zastanowił się chwilę.

– Myślę – podjął wkrótce – że byłaby całkiem zadowolona, gdyby nie ta baba... Znaczą się pielęgniarka Hopkins. Nie dawała jej spokoju. Mówiła, że Mary powinna zarabiać na utrzymanie, uczyć się na masażystkę...

– Ale była życzliwa Mary, co?

– Z pewnością, proszę pana. Tylko to jedna z takich, co zawsze wiedzą lepiej.

– Przypuśćmy – podjął z wolna Poirot – że pielęgniarka Hopkins wiedziała coś... coś kompromitującego Mary. Jak pan sądzi? Czy zatrzymałaby to przy sobie?

Ted Bigland spojrzał niepewnie na małego Belga.

– Niezupełnie rozumiem, proszę pana.





– Pytam, czy pańskim zdaniem ta kobieta trzymałaby język za zębami, gdyby wiedziała o Mary coś złego?

– Wątpię, czy w jakimkolwiek przypadku potrafiłaby trzymać język za zębami. To największa plotkara w Maidensford! Ale gdyby potrafiła być dyskretna, myślę, że zostawiłaby w spokoju właśnie Mary – młody człowiek ożywił się nieco, widocznie zainteresowanie wzięło w nim górę nad powściągliwością. – Ciekaw jestem, czemu pan o to zapytał, proszę pana?

– Rozmawiając z ludźmi, człowiek wyrabia sobie pewne wrażenie. Otóż pielęgniarz Hopkins była wymowna i szczerą, odniosłem jednak wrażenie... bardzo silne wrażenie, że coś ukrywa. Może to drobiazg bez znaczenia i nie związany z morderstwem. Nabrałem jednak przekonania, że ona wie coś, o czym nie wspomniała w rozmowie. Doszedłem do wniosku, że to coś... może mało ważny szczegół... z pewnością źle świadczy o życiu lub charakterze Mary Gerrard.

Ted Bigland bezradnie rozłożył ręce.

– Cóż – powiedział Herkules Poirot. – Wyjdzie to na jaw w swoim czasie.





## Rozdział trzynasty

Poirot przyglądał się ciekawie podłużnej, wyrazistej twarzy Rodericka Welmana. Młody człowiek niewątpliwie miał nerwy w opłakanym stanie: ręce mu drżały, oczy były przekrwione, głos ochryply, gniewny.

Roddy mówił patrząc na bilet wizytowy gościa:

– Oczywiście, znam pańskie nazwisko, panie Poirot. Ale doprawdy nie wyobrażam sobie, dlaczego doktor Lord jest zdania, że mógłby pan coś zdziałać w naszej sprawie. A przede wszystkim, co mu do tego? Opiekował się moją ciotką w jej ostatniej chorobie, ale to człowiek najzupełniej obcy. Ani Elinor, ani ja nie znaleźmy go nawet do czasu naszej wizyty w lipcu. Sprawą, o której mowa, zajmuje się pan Seddon, nieprawdaż?

– Formalnie rzecz biorąc, tak – przyznał Herkules Poirot.

– Nie twierdzę, że pan Seddon napawa mnie nadzieją. Jest niedobrej myśli.

– Taki styl mają na ogół prawnicy – wtrącił mały Belg.

– Ostatecznie w sądzie wystąpi Bulmer. – Młody człowiek rozpogodził się trochę mówiąc te słowa. – Podobno to adwokat najwyższej klasy.

– Nazywają go grabarzem nadziei.

Roderick Welman nastroszył się wyraźnie.

– Chyba nie ma pan nic przeciwko temu – podjął szybko Poirot – abym spróbował pomóc pani Carlisle?

– Naturalnie... Nic przeciwko temu nie mam... Ale...

– Ale na co mogę się przydać? To pan chciał powiedzieć, prawda?

Na zatroskanej twarzy Roddy'ego pojawił się nagle uśmiech tak ujmujący, że Poirot zrozumiał subtelny urok tego człowieka.

– W pańskim sformułowaniu brzmi to nieco zbyt szorstko – odrzekł Roderick Welman tonem usprawiedliwienia. – Jednakże nie chodzi o nic innego. Co pan może zrobić, *monsieur* Poirot?

– Mogę poszukiwać prawdy – odparł detektyw.

– Zapewne... – bąknął z niedowierzaniem młody człowiek.



- Mogę wydobyć na jaw fakty korzystne dla oskarżonej.
- Daj Boże! – westchnął Roddy.
- Mam szczerzy zamiar zrobić wszystko, co w ludzkiej mocy. Zechce mi pan pomóc? Powiedzieć otwarcie, jaki jest pański pogląd na całą sprawę?
- Roderick Welman wstał, począł spacerować nerwowo tam i z powrotem.
- Cóż ja mogę powiedzieć? Wszystko zdaje się fantastycznym urojeniem! Nawet sam pomyśl, że Elinor, ta Elinor znana mi od dzieciństwa, była w stanie posunąć się do czegoś równie melodramatycznego, jak otrucie kogokolwiek. Śmiechu warte! Ale jak u licha przekonać o tym przysięgłych?
- Uważa pan za wykluczone, by panna Carlisle zrobiła coś podobnego? – zapytał rzeczowo Poirot.
- Oczywiście. To się rozumie samo przez się. Elinor jest osobą na wyjątkowym poziomie, idealnie zrównoważoną. Wszelki gwałt jest przeciwny jej naturze. Przecież to intelektualistka, istota wrażliwa, wolna od wszelkich prymitywnych pasji. Ale cóż? Na ławie przysięgłych zasiądzie dwunastu przypadkowo dobranych tępaków. Diabli wiedzą, co im strzeli do głowy! Bądźmy rozsądni. Przysięgli nie są po to, aby sądzić ludzkie charaktery. Mają przesiewać zeznania i dowody. Chodzi o fakty, fakty i jeszcze raz fakty. A te, niestety, przedstawiają się fatalnie.
- Poirot z uznaniem skinął głową.
- Jest pan człowiekiem rozsądnym i rzeczowym – powiedział. – Istotnie fakty obciążają pannę Carlisle. Pańska znajomość jej charakteru przemawia za uniewinnieniem. A zatem, co wydarzyło się rzeczywiście? Co mogło się wydarzyć?
- Diabli wiedzą! – młody człowiek rozpostarł ręce bezradnym gestem. – Chyba pielęgniarzka nie zrobiła tego?
- Drobiazgowo zbadałem kwestię – powiedział detektyw. – Hopkins nie miała do czynienia z kanapkami, a herbaty nie mogła zatruć bez szkody dla siebie samej. Nie mam wątpliwości pod tym względem. A poza tym, co mogła zyskać na śmierci Mary Gerrard?
- A co mógł ktokolwiek zyskać na tej śmierci? – zawołał Roderick Welman.
- Oto zagadka nie do rozwiązania. Nikomu nie zależało na śmierci Mary Gerrard („Z wyjątkiem Elinor Carlisle” – dodał w myśli Poirot). Stąd logiczny wniosek: Mary Gerrard nie została zabita. Niestety przeczą temu fakty. Mary Gerrard została zabita – umilkł na chwilę i podjął nieco melodramatycznie: – „Lecz ona w grobie i to wszystko zmienia”.
- Słucham? – zdziwił się Roddy.
- To Wordsworth – wyjaśnił Herkules Poirot. – Chętnie go czytuję. Przytoczone zdanie wyraża zapewne pańskie uczucia.
- Moje? – młody człowiek zeszytywniał nagle.



– Przepraszam... Stokrotnie przepraszam. Bardzo trudno być jednocześnie detektywem i człowiekiem delikatnym, dyskretnym. Wy, Anglicy, twierdzicie słusznie, że nie należy mówić o pewnych sprawach. Przykro mi, ale detektyw musi mówić właśnie o takich sprawach, musi zgłębiać cudze życie prywatne, cudze uczucia.

– To chyba zupełnie niepotrzebne – wtrącił Roddy.

– Chciałbym tylko wyświecić sytuację – oświadczył mały Belg żywo i łagodnie. – Następnie porzucimy niemiły temat raz na zawsze. Powszechna fama głosi, proszę pana, że... że był pan wielbicielem Mary Gerrard. Myślę, że te pogłoski odpowiadają prawdzie?

Roderick Welman przystanął koło okna i zaczął bawić się sznurem zasłony.

– Tak – przyznał krótko.

– Zakochał się pan w niej?

– Tak sędzę.

– I obecnie jest pan zdruzgotany jej zgonem...

– Ja... Zapewne... Czy doprawdy, *monsieur* Poirot... – młody człowiek sprawiał wrażenie nieporadnej, przerażonej istoty w matni.

– Skończymy z tą kwestią – powiedział Poirot – jeżeli wyjaśni mi pan ją zwięźle, w sposób wyczerpujący.

Roddy usiadł w fotelu, począł mówić przerywanym głosem, nie spoglądając w stronę małego Belga:

– To trudno wytłumaczyć... Nie obejdzie się bez wyjaśnień.

– Proszę pana! – podjął Herkules Poirot. – Nie zawsze można omijać trudności życiowe. Odpowiedział pan: tak sędzę, na pytanie, czy zakochał się pan w Mary Gerrard. Nie jest pan tego pewien?

– Nie wiem... Była urocza. Urocza jak marzenie senne. I tym wydaje mi się teraz: marzeniem sennym! Jest nierealna. Ona i wszystko... moje spotkanie z nią i ta... ta, powiedzmy, miłość od pierwszego wejrzenia... To opętanie, które minęło... minęło i odeszło, jak gdyby nie istniało nigdy.

– Tak... Rozumiem – powiedział Poirot i zaraz dodał: – W momencie śmierci Mary Gerrard był pan za granicą, prawda?

– Tak. Wyjechałem z Anglii dziesiątego lipca, wróciłem pierwszego sierpnia. Telegram Elinor wędrował za mną z miejsca na miejsce. Wreszcie dogonił mnie i natychmiast pośpieszyłem do kraju.

– Musiał to być nie lada wstrząs... Pan bardzo kochał tę dziewczynę, prawda?

– Dlaczego coś podobnego może spotkać człowieka? – odparł Roddy z nutą gorczy i żalu. – Przeczy to wszelkim pragnieniom i przewidywanemu porządkowi w życiu!

– Takie jest życie, proszę pana – odrzekł Herkules Poirot. – Nie lubi porządku



zgodnego z pragnieniami i wolą człowieka. Nie pozwala unikać wzruszeń, kierować się intelektem i rozsądkiem. Nie może pan powiedzieć: „Chcę czuć tylko tyle a tyle, nie więcej”. Wszystko można o życiu powiedzieć, prócz tego, że jest logiczne.

– Chyba to słuszne – bąknął niepewnie młody człowiek.

– Wiosenny ranek... ładna twarz dziewczyny... i przepada dokładnie obmyślony porządek życiowy.

Roddy zmarszczył czoło, lecz mały Belg ciągnął nie zbity z tropu.

– Czasami, proszę pana, to niewiele więcej niż ładna twarz... Co pan właściwie wiedział o Mary Gerrard?

– Co o niej wiedziałem? Bardzo mało. Dopiero teraz zdaję sobie z tego sprawę. Myślę, że była łagodna i dobra, naprawdę jednak nie wiem nic, absolutnie nic! Chyba dlatego nie odczuwam jej braku – powiedział Roderick Welman.

Jego niechęć i opory minęły. Mówił teraz naturalnie, z prostotą, Herkules Poirot – tak jak on to potrafił – przeniknął w głąb systemu obronnego przeciwnika, który wywnętrzał się jak gdyby z uczuciem ulgi.

– Była łagodna! – ciągnął – dobra, niezbyt mądra. Tak mi się przynajmniej zdaje. Wrażliwa i miała jakiś wytworny wdzięk, którego nie oczekuje się u dziewczyny z jej środowiska.

– Uważa ją pan za osobę, która bezwiednie mogła robić sobie wrogów? – padło kolejne pytanie.

– Ach, nie! – zaprzeczył żywo Roddy. – Nie wyobrażam sobie, by ktoś jej nienawidził. Rozumie pan? Mam na myśli prawdziwą nienawiść, nie na przykład zawiść.

– Zawiść? – podchwycił Poirot. – A więc podejrzewa pan coś w tym sensie?

– Zapewne... Dowodzi tego list – rzekł w zamyśleniu.

– Jaki list?

Młody człowiek stropił się i znieruchomiał.

– Och... To nic ważnego.

– Jaki list? – powtórzył detektyw.

– Anonim – odrzekł z ociąganiem Roddy.

– Kiedy nadszedł? Pod czym adresem?

Młody człowiek niechętnie udzielił wyjaśnień.

– Ciekawe... Bardzo ciekawe – bąknął Herkules Poirot. – Mógłbym zobaczyć ten list?

– Nie, proszę pana. Spaliłem go.

– Spalił pan? Dlaczego?

– Wydawało mi się to wtedy zupełnie naturalne – odparł sztywno Roderick Welman.



– Rozumiem. Z racji tego listu pojechali państwo spiesznie do Hunterbury.  
– Pojechaliśmy. Nic mi jednak nie wiadomo o pośpiechu.  
– Ale zaniepokoił się państwo, prawda? Może nawet trochę przestraszyli?  
– Nie powiedziałbym tego – odparł Roddy jeszcze bardziej sztywno.  
– Przecież niepokój byłby najzupełniej zrozumiały! – zawołał Poirot. – Spadek, oczekiwany spadek, znalazł się w niebezpieczeństwie. Musiało to wywrzeć należyty efekt. Pieniądze to żywotna kwestia!

– Nie tak żywotna, jak się panu zdaje.

– Bezinteresowność niebywała – mruknął Belg.

Roddy zarumienił się mocno.

– Oczywiście – przyznał. – Pieniądze miały dla nas wagę. Nie odnosiliśmy się do nich z zupełnym lekceważeniem. Przede wszystkim jednak chcieliśmy odwiedzić ciotkę... przekonać się, że u niej wszystko dobrze.

– A zatem – podjął Herkules Poirot – pojechał pan z panną Carlisle do Hunterbury. Do tego dnia pani Welman nie napisała testamentu. Niebawem miała drugi atak. Wtedy chciała spisać ostatnią wolę, lecz być może dogodnie dla panny Carlisle, umarła, zanim zdążyła to zrobić.

– Do czego pan zmierza, panie Poirot? – zapytał gniewnie Roddy.

Riposta była błyskawiczna:

– W trakcie rozmowy o śmierci Mary Gerrard powiedział pan, że motyw przypisywany Elinor Carlisle jest niedorzeczny, że to osoba absolutnie niezdolna do czegoś podobnego. Obecnie w grę wchodzi nowy czynnik. Elinor Carlisle miała podstawy do obaw, że zostanie wydziedziczona na korzyść osoby obcej. List stanowił ostrzeżenie, a potwierdził go jeszcze nieporadny bełkot chorej. W hallu leżała torba z różnymi przyborami i lekarstwami. Nietrudno było zdobyć fiolkę morfiny. Proszę pana, wiem, że panna Carlisle była sama przy ciotce w czasie, kiedy pan jadł kolację w towarzystwie pielęgniarzek.

– Na Boga! – wybuchnął Roddy. – O czym pan znowu bredzi? Elinor miałyby zabić ciotkę Laure? Też pomysły!

– Wie pan, że oskarżenie wystąpiło z wnioskiem o ekshumację zwłok pani Welman?

– Wiem, ale... Przecież nic nie znajdują.

– A jeżeli znajdą?

– Niemożliwe! – powiedział stanowczo młody człowiek.

– Nie byłbym tego tak zupełnie pewien. No i zdaje pan sobie sprawę, że tylko jedna osoba mogła odnieść korzyść z powodu zgonu pani Welman w tym właśnie momencie?

Roddy opadł na krzesło. Był trupio blady. Ręce mu drżały. Przez chwilę spoglądał



tępo na detektywa. Wreszcie powiedział:

– Zdawało mi się, że... że pan jest po stronie Elinor.

– Trzeba brać pod uwagę fakty, bez względu na to, po której stoi się stronie. Mam wrażenie, proszę pana, że do tej pory wołał pan w miarę możliwości unikać przykrych prawd.

– Po co dręczyć się nimi? – bąknął niepewnie Roddy.

– Ponieważ to niekiedy przydatne – odrzekł z powagą Poirot i podjął po krótkiej pauzie: – Przyjmijmy, że śmierć pańskiej ciotki spowodowało zatrucie morfiną. Co wtedy?

Roddy bezradnie potrząsnął głową.

– Nie wyobrażam sobie...

– Niech pan pomyśli chwilę. Kto mógł podać chorej truciznę? Należy przyznać, że Elinor Carlisle miała po temu najlepszą sposobność.

– A pielęgniarce?

– Niewątpliwie mogły to zrobić: jedna i druga. Ale siostra Hopkins niepokoiła się zaginięciem morfiny i mówiła otwarcie na ten temat. Po co? Świadczenie zgonu było podpisane. Gdyby otruła panią Welman, nie zwracałaby powszechnej uwagi na zaginięcie trucizny. Naraziłaby się na kłopoty co najmniej z racji braku dozoru, a gdyby była winna... Cóż, tylko skończona idiotka dożyłaby wówczas na światło dzienne historię z morfiną! Ale nie na tym koniec. Co pielęgniarce Hopkins mogła zyskać na śmierci pani Welman? Nic, absolutnie nic! To samo tyczy siostry O'Brien. I ona mogła podać chorej morfinę zabraną z tej torby. Ale jeszcze raz: w jakim celu?

– Wszystko to prawda – wtrącił Roddy.

– Jest jeszcze pan – podjął Poirot.

– Ja? – Roddy wzdrygnął się jak nerwowy koń.

– Naturalnie. Mógł pan ukraść morfinę i zaaplikować chorej. Krytycznej nocy był pan z nią sam na sam przez krótki czas. Jednakże i tym razem powtórzmy: W jakim celu? Gdyby pani Welman zdążyła sporządzić testament, najprawdopodobniej nie zapomnieliby o panu. Stąd prosty wniosek: nie miał pan motywu. Miały go tylko dwie osoby.

– Dwie? – oczy młodego człowieka pojaśniały.

– Tak. Pierwsza z nich to Elinor Carlisle.

– A druga?

– Autor listu anonimowego – odparł z naciskiem Poirot.

Roddy spojrzał nań z niedowierzaniem.

– Ktoś napisał list anonimowy – podjął detektyw. – Ten ktoś nienawidził Mary Gerrard lub co najmniej źle jej życzył. Był, jak się mówi, „po waszej stronie”. Nie życzył sobie, by Mary Gerrard odniosła korzyść z racji zgonu pani Welman. Nie



domyśla się pan, kto mógł wysłać ten anonim?

– Nie mam pojęcia – odparł Roddy. – List był na lichym papierze, napisany nieortograficznie, niegramatycznie.

– To bez znaczenia! – Herkules Poirot machnął ręką. – Mogła maskować się w ten sposób osoba wykształcona. Dlatego właśnie chciałem list zobaczyć. Ktoś, kto próbuje udawać półanalfabetę, zwykle się na czymś potknie.

– Podejrzewaliśmy z Elinor, że to ktoś ze służby.

– Nie domyślali się państwo, kto?

– Nie, proszę pana.

– Sądzi pan, że gospodyni, pani Bishop, mogłaby zdobyć się na coś podobnego?

– Pani Bishop? O, nie! – Roddy zrobił zgorszona minę. – To osobistość godna wszelkiego szacunku. A zresztą pisze kaligraficznie, ozdobnie i ma słabość do długich wyrazów. Z całą pewnością...

– Ale nie lubiła Mary Gerrard – przerwał Poirot.

– Tak mi się zdaje, chociaż nie spostrzegłem nic konkretnego.

– Może pan nie należy do ludzi spostrzegawczych? – wtrącił znów mały Belg.

– Proszę pana – podjął z namysłem Roderick Welman. – Czy nie uważa pan, że moja ciotka mogła sama zażyć truciznę?

– Hm... To pomysł.

– Widzi pan, brzydziła się swoim niedołęstwem. Wiele razy powtarzała, że wolałaby nie żyć.

– Nie mogła jednak wstać z łóżka i zejść do hallu, żeby wyjąć fiolkę morfiny z torby siostry Hopkins.

– Nie. Ale ktoś mógł ją wyręczyć.

– Kto?

– No... Chociażby jedna z pielęgniarek.

– Nie. Żadna z nich. Zbyt dobrze zdają sobie sprawę z ryzyka podobnego kroku.

Pielęgniarki są w takich wypadkach najmniej podejrzane.

– Może ktoś inny... – Roddy urwał raptownie, otworzył i zamknął usta.

– Przypomniał pan coś sobie, prawda? – wtrącił spokojnie Poirot.

– Tak... ale...

– Zastanawia się pan, czy powiedzieć mi o tym.

– Muszę przyznać, że tak.

Poirot uśmiechnął się zagadkowo.

– Kiedy mówiła o tym panna Carlisle? – zapytał.

Młody człowiek odetchnął głęboko.

– Na Boga! Jasnowidz z pana! W pociągu, kiedy jechaliśmy do Hunterbury.

Nadszedł telegram o powtórny ataku ciotki Laury. Elinor mówiła, że jej głęboko



współczuje, bo nieszczęśliwa nienawidzi wszelkiego chorowania, a teraz będzie jeszcze bardziej niedołączna. Powiedziała: „Należałoby uwalniać od życia ludzi, którzy rzeczywiście tego pragną”.

– A pan na to...?

– Przyznałem słuszność Elinor.

– Przed chwilą – oświadczył z powagą Poirot – odrzucił pan stanowczo pogląd, że panna Carlisle mogła zabić ciotkę z chęci zysku. Czy jest pan równie pewien, że nie była w stanie zrobić tego z litości?

– Czy ja... Nie... Nie jestem pewien.

Herkules Poirot pochylił głowę.

– Tak. Przewidywałem taką właśnie odpowiedź.





## Rozdział czternasty

W kancelarii adwokackiej Seddon, Blatherwick i Seddon przyjęto Herkulesa Poirota z rezerwą, aby nie rzec: podejrzliwie.

Pan Seddon gładził starannie wygolony podbródek, był małomówny i bystrzymi, szarymi oczyma bacznie szacował detektywa.

– Pańskie nazwisko jest mi znane... Oczywiście... Ale nie rozumiem pańskiej roli w tej sprawie.

– Działam na rzecz klientki pana mecenas – powiedział mały Belg.

– Aa... Czyżby?... Wolno wiedzieć, kto zaangażował pana w tym charakterze?

– Skierował mnie do pana doktor Lord.

– Ciekawe... Wydaje mi się to nieformalnością... poważną nieformalnością. O ile wiem, doktor Lord został powołany jako świadek oskarżenia.

Herkules Poirot wzruszył ramionami.

– Czy ten fakt stanowi przeszkodę?

– Kwestia obrony panny Carlisle spoczywa w naszym ręku... wyłącznie w naszym ręku. Nie sądzę, proszę pana, by mogła nam być potrzebna jakakolwiek pomoc z zewnątrz – powiedział prawnik.

– Czy dlatego, że niewinności pańskiej klientki łatwo będzie dowieść?

Pan Seddon zmarszczył czoło i dał wyraz rozdrażnieniu na suchą, prawniczą modłę.

– Pytanie jest niestosowne, panie Poirot, w najwyższym stopniu niestosowne.

– Zarzuty przeciwko pańskiej klientce są bardzo poważne.

– Doprawdy, panie Poirot, nie rozumiem, skąd pan dowiedział się czegokolwiek na ten temat.

– Jakkolwiek powierzył mi tę sprawę doktor Lord, dysponuję też listem pana Rodericka Welmana – odrzekł Poirot i z ukłonem wręczył kartkę adwokatowi.

Pan Seddon przebiegł wzrokiem kilka wierszy i oświadczył nie bez niechęci:

– Oczywiście to zmienia sytuację. Pan Welman wziął na siebie odpowiedzialność za obronę panny Carlisle... Występujemy na jego prośbę... Ogólnie rzecz biorąc, nasza



firma ma niewiele do czynienia z... ehem... z procesami kryminalnymi... Jednakże byłem zdania, że obowiązek wobec naszej zmarłej klientki... ehem... w pewnym sensie nakazuje podjęcia się obrony jej bratanicy. Wolno mi poinformować pana, że zaangażowaliśmy już radcę dworu, sir Edwina Bulmera.

– Firma nie szczędzi żadnych kosztów. Stanowisko słuszne i rozumne! – uśmiechnął się złośliwie mały Belg.

– Doprawdy, panie Poirot... – pan Seddon spojrzał na niego wymownie znad okularów.

– Elokwencja i odwoływanie się do uczuć słuchaczy nie ocalą pańskiej klientki – przerwał detektyw. – Tu trzeba czegoś więcej.

– A co by pan doradzał? – zapytał sucho pan Seddon.

– Pozostaje zawsze szukanie prawdy.

– Bez wątpienia.

– Ale czy w danym przypadku prawda będzie dla nas pomocna?

– Ta uwaga jest znów w najwyższym stopniu niewłaściwa – rzucił cierpko adwokat.

– Pragnąłbym usłyszeć odpowiedzi na pewne pytania.

– Oczywiście nie mogę zapewnić, że udzielę takich odpowiedzi nie posiadając zgody mojej klientki – zastrzegł się przezornie pan Seddon.

– Rozumiem – powiedział Herkules Poirot i zaraz dodał: – Czy Elinor Carlisle ma wrogów?

– O ile mi wiadomo, nie ma – odparł pan Seddon okazując lekkie zdziwienie.

– Czy nieboszczka pani Welman sporządziła kiedykolwiek testament?

– Nigdy. Zawsze odkładała tę czynność na później.

– A Elinor Carlisle?

– Tak.

– Niedawno? Już po zgonie ciotki?

– Tak.

– Jak zadysponowała majątkiem?

– To, panie Poirot, kwestia poufna. Nie mogę odpowiedzieć bez wyraźnej zgody klientki.

– W takim razie muszę uzyskać widzenie z panną Carlisle.

– Obawiam się, że to nie będzie łatwe – uśmiechnął się kwaśno pan Seddon.

Detektyw wstał.

– Nie ma nic trudnego dla Herkulesa Poirota – powiedział z efektownym gestem.





## Rozdział piętnasty

Starszy inspektor Marsden był ujmujący.

– Ach, *monsieur* Poirot – powiedział. – Chce pan naprowadzić mnie na właściwe tory w jednej z naszych spraw?

– Skąd znowu! Przywiodła mnie do pana prosta ciekawość.

– Zaspokoję ją z prawdziwą przyjemnością. O czyją sprawę chodzi?

– Elinor Carlisle.

– Aha... Ta młoda osoba, która otruła Mary Gerrard. Termin wyznaczony za dwa tygodnie. Interesujący przypadek. Załatwiła też starszą panią... Nie mamy jeszcze formalnego wyniku ekspertyzy, lecz nie budzi on wątpliwości. Morfina! Morderstwo z premedytacją. Oskarżonej nie brak zimnej krwi. Nie załamała się w chwili aresztowania ani później. Wszystkiemu przeczy. Ale mamy ją w garści. Nie wykręci się w żaden sposób.

– Sądzi pan, że jest winna?

Marsden – doświadczony policjant o pogodnej, dobrodusznej twarzy – z przekonaniem kiwnął głową.

– Z całą pewnością. Przyprawiła leżącą na wierzchu kanapkę. Morderstwo z premedytacją.

– Nie ma pan wątpliwości? Żadnych wątpliwości?

– Żadnych. Jestem absolutnie pewien. Muszę przyznać, że to miłe uczucie. My, policjanci, nie lubimy się mylić, podobnie jak reszta świata. Nie chodzi nam jedynie o wyrok skazujący, chociaż niektórym tak się zdaje. No, przynajmniej tym razem mam zupełnie czyste sumienie.

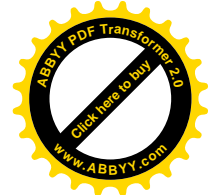
– Rozumiem – powiedział Poirot z zastanowieniem.

Przedstawiciel Scotland Yardu spojrział nań ciekawie.

– Odnalazł pan coś, co przeczy mojemu zdaniu?

– Jak dotąd nie... Na razie wszystko, co odnalazłem, zdaje się potwierdzać winę Elinor Carlisle.

– Ona jest winna! – zawołał wesoło starszy inspektor Marsden. – Z całą



pewnością.

– Chciałbym z nią porozmawiać – rzekł Herkules Poirot.

Policjant uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Z obecnym ministrem spraw wewnętrznych jest pan w świetnej komitywie, prawda? To nie będzie trudna sprawa.



## Rozdział szesnasty

- I co? – zapytał Peter Lord.
- Chwilowo nic, albo jeszcze gorzej – powiedział Herkules Poirot.
- Odkrył pan coś?
- Elinor Carlisle zabiła Mary Gerrard powodowana zazdrością. Elinor Carlisle zabiła swoją ciotkę, by odziedziczyć jej majątek... Mogła to również zrobić z litości... Niemała rozmaitość! Może pan wybierać.
- Opowiada pan brednie – obruszył się lekarz.
- Czyżby?
- Na piegowatej twarzy młodego człowieka pojawił się gniewny wyraz.
- Co to wszystko ma znaczyć?
- Uważa pan, że to możliwe?
- Co? – rzucił gniewnie Peter Lord.
- Że Elinor Carlisle nie potrafiła znieść widoku mąk ciotki, więc pomogła jej opuścić ten świat?
- Nonsens!
- Nonsens? – powtórzył detektyw. – A sam pan mówił, że nieboszczka prosiła pana o podobną przysługę.
- Nie traktowała prośby serio. Wiedziała przecież, że się nie zgodzę.
- Ale żywiła takie myśli, więc Elinor Carlisle mogła jej pomóc, prawda?
- Peter Lord kilkakrotnie przemierzył pokój nerwowym krokiem.
- Trudno przeczyć – podjął wreszcie – że coś w tym sensie byłoby możliwe! Ale Elinor Carlisle to zrównoważona, rozsądna młoda osoba. Niepodobna wyobrazić sobie, by zaślepiona współczuciem zupełnie zapomniała o ryzyku. Musiała zdawać sobie sprawę, że to grozi procesem o morderstwo.
- Innymi słowy, jest pan zdania, że nie zrobiłaby czegoś podobnego?
- Myślę – podjął z wolna lekarz – że kobieta potrafiłaby to zrobić dla męża, dziecka... powiedzmy dla matki, ale nie dla ciotki, chociażby nawet była do niej bardzo przywiązana. I jeszcze jedno. Kobieta mogłaby udzielić takiej pomocy tylko komuś



cierpiącemu ponad siły.

Mały Belg zastanowił się przez moment.

– Chyba pan ma rację – powiedział i dodał zaraz: – Czy pańskim zdaniem Roderick Welman mógłby pod wpływem współczucia posunąć się aż tak daleko?

– Brakłoby mu odwagi – rzucił lekceważąco Peter Lord.

– Ciekawe... – bąknął Poirot. – W pewnym sensie pan nie docenia tego młodego człowieka.

– Nie doceniam go?... Cóż, przyznaję, że jest dobrze wychowany... inteligentny...

– Właśnie. Ma również wdzięk. Sam to odczułem.

– Tak?... Bo ja nigdy – powiedział Peter Lord i podjął z nagłym ożywieniem: – I co? Nic pan naprawdę nie odkrył?

– Jak dotąd nie wiecie mi się śledztwo. Wszystko prowadzi do jednego. Nikt nie mógł nic zyskać na śmierci Mary Gerrard i nikt nic czuł do niej urazy, z wyjątkiem Elinor Carlisle. Nasuwa się, być może, tylko jedna wątpliwość. Moglibyśmy zadać sobie pytanie: Czy ktoś nienawidził Elinor Carlisle?

Doktor Lord pokręcił głową.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Chodzi panu o to, że ktoś mógłby stworzyć obwiniające ją pozory?

– Tak – przyznał Poirot. – Ale to spekulacja nad wyraz określona, nie oparta na niczym... na niczym... Z wyjątkiem chyba idealnego kompletu dowodów przeciwko panie Carlisle.

Powiedział lekarzowi o liście anonimowym.

– Widzi pan – ciągnął – anonim daje oskarżeniu szczególnie silną podstawę. Ostrzeżono pannę Carlisle, że ciotka może ją zupełnie wydziedziczyć, zostawić wszystko osobie obcej, młodej dziewczynie. I co się dzieje dalej? Pani Welman wydaje jakieś bełkotliwe polecenia, więc siostrzenica woli nie narażać schedy i nie zwlekając wyprawia chorą na tamten świat.

– A Roderick Welman? – zawołał lekarz. – Jemu również groziła strata.

– Nie – powiedział Herkules Poirot. – W interesie Rodericka Welmana leżało, by starsza dama napisała testament. Gdyby nie wyraziła ostatniej woli, nic by nie dostał. Elinor Carlisle była przecież najbliższą krewną.

– Roderick Welman liczył na małżeństwo z Elinor – zaproponował Peter Lord.

– Tak. Ale bezpośrednio po zgonie Laury Welman zaręczyny zostały zerwane.

Roderick okazał jasno, że chce, by go zwolniła z danego słowa.

Lekarz jęknął, chwycił się za głowę.

– Więc znów wracamy do niej! Jak za każdym razem.

– Właśnie!... Chyba że... – urwał na chwilę. – Jest jednak coś...

– Co takiego?



– Brak jednego, drobnego fragmenciku łamigłówki. To z pewnością coś związanego z osobą Mary Gerrard. Drogi doktorze! Pan zna niewątpliwie trochę lokalnych plotek, skandalików. Słyszał pan kiedy coś złego o Mary Gerrard?

– O Mary Gerrard?... Chodzi panu o jej charakter?

– Niekoniecznie. Może to być jakaś stara historia, pogłoski o, dajmy na to, niedyskrecji z jej strony albo odległe echo czegoś o skandalicznym posmaku, albo złośliwe plotki na jej temat... Cokolwiek, doktorze, ale stanowczo coś niepochlebnego dla Mary Gerrard.

– Nie sądziłem, że pan obierze taki właśnie kierunek – odrzekł z namysłem Peter Lord. – Stara się pan wygrzebać coś uwłaczającego uczciwej, młodej dziewczynie, która nie żyje, więc nie może się bronić. Nie sądzę zresztą, by to się mogło powieść.

– Sądzi pan, że ona była sir Galahadem płci żeńskiej i wiodła żywot bez skazy?

– O ile mi wiadomo, tak. Nic innego nie słyszałem nigdy.

– Proszę nie wyobrażać sobie, że chcę grzebać w nie istniejących brudach – podjął łagodnie Herkules Poirot. – Nic podobnego, *mon ami!* Ale poczciwa pielęgniarka Hopkins nie należy do mistrzów maskowania uczuć. Lubiła Mary i teraz nie życzy sobie, by wyszło na jaw coś, co źle o niej świadczy. Innymi słowy: pielęgniarka Hopkins lęka się, że wywęszę coś na temat Mary, naturalnie coś niepochlebnego. Jest przekonana, że to nie łączy się z morderstwem, ponieważ uważa za zbrodniarkę Elinor Carlisle, z którą ów fakt (bez względu na to jaki) nie ma nic wspólnego. Jednakże ja, doktorze, powinienem wiedzieć wszystko. To kwestia pierwszorzędnej wagi! Widzi pan, może Mary Gerrard naraziła się komuś i ten ktoś miał powód, by życzyć jej śmierci.

– W takim przypadku siostra Hopkins zdawałaby sobie z tego sprawę – powiedział młody człowiek.

– Siostra Hopkins jest zapewne osobą inteligentną w stosownym dla niej zakresie. Bez wątpienia jednak daleko jej intelektowi do mojego. Mogła nie dostrzec czegoś, co dostrzeże Herkules Poirot.

Lekarz pokręcił głową.

– Bardzo żałuję, lecz o niczym takim nie wiem.

– Nie wie również Ted Bigland, który mieszka tutaj od urodzenia. Nie wie pani Bishop, która z wszelką pewnością nie kryłaby niczego, co uwłacza Mary. *Eh bien!* Pozostaje jedyna nadzieja.

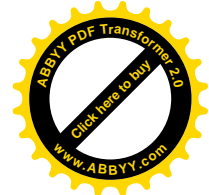
– Jaka?

– Jeszcze dzisiaj pomówię z drugą pielęgniarką, tą O'Brien.

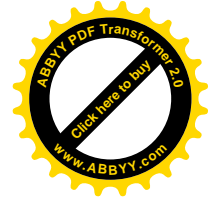
– O'Brien nie zna naszej okolicy. Spędziła tu zaledwie parę miesięcy.

– Wiem. Ale, *mon ami*, słyszałem trochę o długim języku siostry Hopkins. Mogła nie plotkować w Maidensford, bo gadanina zaszkodziłaby Mary Gerrard. Jednakże





wątpię, czy pielęgniarka Hopkins była w stanie powstrzymać się bodaj od aluzji na zaprzatający ją temat wobec osoby młodej i na dobitkę koleżanki. Ta O'Brien może coś wiedzieć.



## Rozdział siedemnasty

Pielęgniarka O'Brien potrząsnęła rudymi włosami i nad zastawionym do herbaty stołem uśmiechnęła się szeroko do niewysokiego mężczyzny, który siedział naprzeciw niej. Pomyślała: „Zabawny człowieczek. I oczy ma szare jak kot. Cóż, doktor Lord powiada, że to straszny cwaniak”.

– Miło spotkać kogoś tak tryskającego energią i zdrowiem – powiedział Herkules Poirot. – Z pewnością wszyscy pacjenci pani przychodzą do siebie.

– Nie lubię robić kwaśnych min i, chwała Bogu, pacjenci rzadko umierają na moich rękach.

– Myślę – podjął detektyw – że w przypadku pani Welman było to upragnione wyzwolenie.

– O, tak! Biedna, kochana staruszka! – kobieta zerknęła bystro na gościa i zapytała: – Czy w tej sprawie chciał pan pomówić ze mną? Słyszałam, że podobno mają ją odkopać?

– Czy wtedy nie żywiła pani żadnych podejrzeń?

– Najmniejszych! Chociaż mogłam i powinnam je żywić, bo z rana doktor Lord miał okropnie niewyraźną minę i raz po raz wysyłał mnie tu albo tam po różne rzeczy wcale mu niepotrzebne. Ale ostatecznie podpisał świadectwo zgonu.

– Miał swoje racje – zaczął Poirot, lecz pielęgniarka O'Brien podchwyciła żywo:

– Oczywiście! Słuszne racje! Niedobrze, kiedy doktor domyśla się za dużo i drażni rodzinę. A jeżeli się omyli, koniec z nim, bo nikt go już nigdy nie wezwie. Musi być pewny swego w takim przypadku.

– Istnieją przypuszczenia, że nieboszczka odebrała sobie życie – podjął mały Belg.

– Ona? Przecież leżała bezwładnie. Ledwie mogła unieść jedną rękę.

– Ktoś mógł pomóc... – bąknął Poirot.

– Aha! Rozumiem, dokąd pan zmierza. Panna Carlisle albo pan Welman, albo Mary Gerrard?

– To byłoby możliwe? Jak pani sądzi?

– Czy ja wiem... Nikt z nich nie odważyłby się chyba.



– Może i nie... – szepnął detektyw. Po chwili spytał: – Kiedy pielęgniarka Hopkins spostrzegła brak morfiny?

– Akurat tamtego rana. Najpierw była całkiem pewna, że miała fiolkę w torbie. Ale wie pan, jak to bywa. Ostatecznie siostra Hopkins nabrała przekonania, że morfina zawieruszyła się u niej w domu.

– Czy nawet wtedy nie podejrzewała pani niczego? – zapytał Herkules Poirot.

– Nie! Ani w głowie mi nie postało, że coś może być nie tak, jak trzeba. A zresztą nawet teraz to są tylko domysły.

– Brak fiolki nie zaniepokoił nigdy pani czy też siostry Hopkins?

– Tego bym nie powiedziała. Coś nurtowało i ją, i mnie. Jak dziś pamiętam, siedziałyśmy wtedy w kawiarni „Pod Błękitnym Szpakiem”. Udzieliły się jej moje myśli. Siostra Hopkins powiedziała: „Musiałam położyć fiolkę na półce nad kominkiem i stracić niechcący do kosza na papiery”. A ja na to: „Istotnie, tak być musiało”. Ale nie mówiłyśmy o tym, co myślałyśmy naprawdę, ani o naszych obawach.

– A jakiego zdania jest pani obecnie? – podjął Herkules Poirot.

– Jeżeli odkryją w zwłokach morfinę, nie będzie wątpliwości, kto ukradł fiolkę ani jaki z niej zrobił użytek. Chociaż nie uwierzę, by ona wyprawiała na tamten świat również panią Welman, póki sekcja nie wykaże w jej zwłokach morfiny.

– Nie wątpi pani, że Elinor Carlisle zabiła Mary Gerrard?

– Na mój rozum, to murowane! – zawołała pielęgniarka O'Brien. – Kto inny mógłby chcieć jej śmierci? Dlaczego?

– Oto pytanie! – wtrącił detektyw.

– Alboż nie byłam tu na miejscu owej nocy, kiedy pani Welman daremnie próbowała coś powiedzieć, a panna Elinor zapewniała, że wszystko załatwi jak trzeba i zgodnie z jej wolą – ciągnęła dramatycznie pielęgniarka O'Brien. – Alboż nie widziałam, jak nienawistnie panna Elinor spoglądała pewnego dnia na Mary, kiedy to biedulka schodziła po schodach? Powiadam panu, że już wtedy nosiła się z myślą o morderstwie!

– Przypuśćmy, że Elinor Carlisle zabiła ciotkę. W jakim celu to zrobiła?

– W jakim celu? Naturalnie dla pieniędzy. Chodziło o dwieście tysięcy funtów, ni mniej, ni więcej. Tyle dostało jej się po śmierci ciotki i dlatego to zrobiła... jeżeli w ogóle zrobiła. To śmiała, mądra dziewczyna, bez trwogi w sercu i niezłym zapasem oleju w głowie.

– Gdyby pani Welman żyła dłużej, gdyby zdążyła sporządzić testament, jak pani zdaniem, zadysponowałaby majątkiem? – zapytał Herkules Poirot.

– Nie moja sprawa wydawać sąd na ten temat – odparła pielęgniarka zdradzając wyraźnie, że uważa się za powołaną do wydawania takiego właśnie sądu. – Ale myślę, że wszystko dostałoby się Mary Gerrard.



– Dlaczego?

Proste pytanie zbiło z tropu rudą Irlandkę.

– Dlaczego? – powtórzyła. – Pan pyta dlaczego? No bo... Tak by się z pewnością stało.

– Ktoś mógłby zapewne powiedzieć, że Mary Gerrard sprytnie rozegrała partię. Wkradła się w łaski pani Welman do tego stopnia, że staruszka zapomniała nawet o związkach krwi i dawniejszych uczuciach.

– W samej rzeczy – przyznała tonem zastanowienia siostra O'Brien.

– Czy Mary Gerrard była sprytna, skłonna do intryg?

– Nie wydaje mi się. Nie! Miałam wrażenie, że wszystko, co robi, jest szczerze, nie przemyślane. To nie była intrygantka. Nic podobnego... A zresztą lepiej czasami, żeby to czy owo nie wyszło na światło dzienne.

– Nabrałem przekonania, że pani jest osobą szczególnie dyskretną – powiedział Poirot.

– Nie lubię mówić o nie swoich sprawach – powiedziała pielęgniarka.

Detektyw spojrzał na nią z wielką uwagą.

– W danym przypadku – podjął – uzgodniły panie z siostrą Hopkins, że pewne sprawy należy pozostawić w cieniu. Nie myślę się chyba?

– Ja... O czym pan mówi, proszę pana?

– O czym? – podchwycił spieszenie Poirot. – O czymś nie związanym z morderstwem lub raczej z morderstwami.

– Pewnie... – powiedziała z wolna kobieta. – Po co wygrzebywać z zapomnienia dawną historię, tym bardziej że to była godna szacunku starsza dama, nie zaplątana nigdy w żaden skandal. No i umarła poważana przez wszystkich i ceniona.

Herkules Poirot przytaknął skinieniem głowy i zaczął ostrożnie:

– Jak pani słusznie nadmieniła, nieboszczka cieszyła się ogólnym szacunkiem w Maidensford.

Rozmowa przybierała nieoczekiwany obrót, lecz wyraz twarzy detektywa nie zdradzał niepewności ani zaskoczenia.

– Przecież to takie stare dzieje – ciągnęła pielęgniarka O'Brien. – Pogrzebane, zapomniane. Osobiście jestem wrażliwa na romantyczne sprawy i stanowczo powiadam, że to coś okropnego, jak człowiek jest związany z żoną zamkniętą w zakładzie dla umysłowo chorych i nic nie może go uwolnić, z wyjątkiem śmierci.

– To istotnie okropne – przyznał Herkules Poirot, nic jeszcze nie pojmując.

– Czy siostra Hopkins opowiedziała panu, jak minęły się nasze listy? – zapytała kobieta.

– Nie. O tym jakoś nie wspomniała.

– Dziwny zbieg okoliczności. Ale zdarzają się takie rzeczy. Można usłyszeć



przypadkiem imię, które później wraca raz po raz. Dziwny zbieg okoliczności. Zobaczyłam fotografię na fortepianie, a prawie w tej samej chwili siostra Hopkins dowiadywała się wszystkiego od gospodyni doktora.

– To bardzo interesujące – wtrącił mały Belg i dorzucił zaraz: – A Mary Gerrard wiedziała?

– Kto miał jej powiedzieć? Przecież ani ja, ani siostra Hopkins. A zresztą, co zyskałaby na tym?

Kobieta potrząsnęła znowu rudymi włosami i spojrzała pytająco na Herkulesa Poirota.

– Rzeczywiście. Nic – przyznał i westchnął.



## Rozdział osiemnasty

Elinor Carlisle.

Mały Belg spoglądał na nią bacznie przez szerokość dzielącego ich stołu.

Byli sami. Strażnik obserwował ich przez szklaną ścianę.

Żywa, inteligentna twarz o szerokim białym czole, kształtnych uszach i nosie; regularne, delikatne rysy świadczące o wrażliwości, opanowaniu i zapewne czymś więcej – skłonności do głębokich uczuć.

– Nazywam się Herkules Poirot – zaczął detektyw. – Przyszedłem z polecenia kogoś, kto sądzi, że mógłbym pani pomóc. To doktor Peter Lord.

– Peter Lord – szepnęła Elinor Carlisle w zamyśleniu.

Uśmiechnęła się blado i oświadczyła bardziej rzeczowo:

– Bardzo ładnie z jego strony. Wydaje mi się jednak, że niewiele potrafi pan zdziałać.

– Zechce pani odpowiedzieć na kilka pytań?

– Chyba lepiej o nic nie pytać... Jestem pod dobrą opieką. Pan Seddon nie szczędzi starań. Będę miała sławnego obrońcę.

– Nie tak sławnego jak ja! – odparł Herkules Poirot.

– Zyskał wielki rozgłos – odparła głucho Elinor.

– Broniąc przestępców. Zgoda. Ja zasłynąłem dowodząc niewinności podejrzanych.

Dziewczyna spojrzała w twarz Poirota pięknymi, szafirowymi oczyma.

– Wierzy pan, że jestem niewinna? – zapytała.

– A czy jest tak istotnie?

– Czy to próbka pańskich pytań? – uśmiechnęła się ironicznie. – W danym przypadku łatwo odpowiedzieć: tak.

– Jest pani bardzo zmęczona, prawda?

– Tak... Skąd pan wie?

– Po prostu wiem – padła zwięzła odpowiedź.

– Chcę, żeby... żeby już było po wszystkim.



Przez chwilę Poirot przyglądał się jej w milczeniu. Później rozpoczął znowu:  
– Widziałem pani... Dla ułatwienia będę go nazywał kuzynem... Widziałem pana Rodericka Welmana.

Błada, wyniosła twarz poróżnowiała. Poirot uzyskał odpowiedź na jedno z przewidzianych pytań, nie zadając go wcale.

- Widział pan Roddy’ego – podjęła dziewczyna.
- Robi dla pani wszystko, co w ludzkiej mocy.
- Wiem – powiedziała prędko miękkim głosem.
- Czy to zamożny człowiek? – podjął Herkules Poirot.
- Roddy? Niewiele ma własnych pieniędzy.
- I nie liczy się z nimi, prawda?

– Obydwoje mało zastanawialiśmy się nad takimi kwestiami – odparła tonem prawie obojętnym. – Byliśmy pewni, że w swoim czasie... – urwała nagle.

- Liczyli państwo na spadek? – podchwycił żywo detektyw. – To zrozumiałe. Umilkł na moment, by zmienić temat.

– Zapewne zna pani wynik sekcji zwłok Laury Welman. Przyczyną śmierci było zatrucie morfiną.

- Nie zabiłam jej – powiedziała chłodno Elinor Carlisle.
- Czy pomogła pani do samobójstwa?
- Czy pomogłam...? Aa... Rozumiem. Nie, proszę pana!
- Wiedziała pani, że ciotka nie zostawiła testamentu?
- Nie miałam o tym pojęcia.

Głos dziewczyny był głuchy, bez wyrazu. Zabrzmiął sucho, obojętnie.

- A pani napisała testament? – zapytał Poirot.
- Tak.

- Czy na skutek rozmowy z doktorem Lordem?

Elinor zarumieniła się znów przelotnie.

- Jak rozporządziła pani majątkiem?
- Zostawiłam wszystko Ro... panu Roderickowi Welmanowi.
- Czy on wie?
- Oczywiście nie wie.
- Nie rozmawiała z nim pani na ten temat?
- Nie rozmawiałam. Byłby w nie lada kłopotcie... Miałby mi bardzo za złe taki

krok.

- Kto zna treść pani testamentu?
- Tylko pan Seddon i, jak sądzę, jego personel.
- Czy pan Seddon przygotował dokument, o którym mowa?
- Tak. Napisałam do pana Seddona tego samego wieczoru... To znaczy zaraz po



rozmowie z doktorem Lordem.

– Osobiście nadała pani list na poczcie?

– Nie. Wrzuciłam do skrzynki domowej, razem z inną korespondencją.

– Napisała go pani, włożyła do koperty, zakleiła ją i opatrzyła znaczkiem... *comme ça*? Od razu?... Nie przeczytała pani listu?

– Przeczytałam... – dziewczyna spojrzała bystro w oczy małego Belga. – Wyszłam do swego pokoju po znaczki, a kiedy wróciłam, przeczytałam list, by sprawdzić, czy wszystko jasno wyraziłam.

– Był wtedy ktoś w pokoju?

– Tylko Roddy.

– Wiedział, co pani robi?

– Mówiłam już, nie wiedział.

– Czy ktoś mógłby przeczytać list w czasie, kiedy pani wyszła po znaczki?

– Nie wiem. Myśli pan o kimś ze służby? Zapewne ktoś mógłby to zrobić, gdyby przypadkiem wszedł do pokoju, kiedy mnie tam nie było.

– I zanim przyszedł pan Roderick Welman – uzupełnił Herkules Poirot.

– Tak.

– A on nie mógł zapoznać się z treścią listu?

– Mogę pana zapewnić – rzuciła chłodno Elinor Carlisle – że mój „kuzyn”, jak go pan nazwał, nie ma zwyczaju czytywać cudzych listów.

– To przyjęte z góry założenie – powiedział detektyw. – Ale nie wyobraża sobie pani, jak wiele osób robi rzeczy, których „nie robi się” w teorii.

Elinor Carlisle wzruszyła ramionami.

– Czy tamtego dnia – spytał wolno Poirot – pomyślała pani pierwszy raz o zabójstwie Mary Gerrard?

Dziewczyna zarumieniła się znowu, tym razem mocniej.

– Powiedział panu o tym Peter Lord? – zapytała.

– Więc wtedy... Zajrzała pani przez okno i zobaczyła Mary Gerrard zajętą pisaniem testamentu... Przyszło pani do głowy, że to byłby niezwykle i poręczny zbieg okoliczności, gdyby przypadkiem Mary Gerrard umarła.

– On odgadł... Spojrzał na mnie i odgadł – szepnęła dziewczyna.

– Doktor Lord wie niemało – podjął Poirot. – Niegłupi jest ten młody człowiek o piegowatej twarzy i płowych włosach.

– I rzeczywiście to on prosił, żeby... żeby pan mi pomógł? – zapytała półgłosem Elinor.

– Rzeczywiście, *mademoiselle*.

Westchnęła cicho.

– Nie rozumiem... Nic nie rozumiem.





– Proszę pani – podjął Herkules Poirot – koniecznie musi mi pani powiedzieć, co się działo w dniu, kiedy umarła Mary Gerrard. Gdzie pani była, co robiła... I więcej. Chciałbym nawet poznać pani myśli.

Przez moment spoglądała bacznie na detektywa. Następnie dziwny, nikły uśmiech pojawił się na jej ustach.

– Jest pan zdumiewająco prostoduszny. Czy nie zdaje pan sobie sprawy, z jaką łatwością mogłabym kłamać?

– To nieważne, proszę pani.

– Nieważne?

– Tak. Kłamstwa potrafią niekiedy wyjaśnić tyle, ile prawda. Czasami więcej. Ale do rzeczy. Spotkała pani gospodynię. Zaczna pani Bishop zaproponowała pomoc. Odmówiła pani. Dlaczego?

– Wolałam być sama.

– Dlaczego?

– Dlaczego? Dlaczego? Bo chciałam pomyśleć trochę.

– Raczej puścić wodze wyobraźni. Co dalej?

Elinor podniosła głowę.

– Kupiłam pastę rybną do kanapek – rzuciła wyzywająco.

– Dwa słoiki?

– Dwa.

– I poszła pani do Hunterbury. Co pani tam robiła?

– Zaczęłam od porządków w sypialni ciotki.

– Co pani znalazła?

– Co znalazłam? Ubranie... stare listy... fotografie... biżuterię.

– Nic tajonego?

– Tajonego? Nie rozumiem...

– Mniejsza z tym. Co dalej?

– Zeszłam na parter do pokoju kredensowego, żeby przygotować kanapki.

– O czym pani wtedy myślała?

Szafirowe oczy dziewczyny błysnęły nagle.

– O mojej imienniczce, Eleonorze z Akwitanii.

– Wcale się nie dziwię – wtrącił Poirot.

– Nie dziwi się pan?

– Nie. Znam tę historię. Pięknej Rozamundzie dała do wyboru: sztylet albo puchar trucizny. Rozamunda wybrała truciznę.

Panna Carlisle milczała. Była bardzo blada.

– Może w danym przypadku – podjął mały Belg – nie istniał wybór... Słucham dalej, *mademoiselle*.



– Ułożyłam kanapki na talerzu i poszłam do domku odzwiernego. Zostałam tam nie tylko Mary, lecz również pielęgniarkę Hopkins. Powiedziałam, że mam w domu kanapki.

Poirot obserwował ją z uwagą.

– Tak... – podjął cicho. – I wróciłyście tam we trójkę, prawda?

– Tak... Jadłyśmy w małym saloniku.

– Tak... wiem... Nadal jak we śnie... A później?

– Później?... Zostawiłam ją w saloniku. Stała przy oknie. Sama poszłam do pokoju kredensowego... Słusznie powiedział pan: „nadal jak we śnie”. Pielęgniarka zmywała... Dałam jej słoik po paście rybnej.

– Tak... Wiem... Co działo się dalej? O czym pani myślała?

– Pielęgniarka miała zraniony przegub ręki... – ciągnęła monotonicznie Elinor Carlisle. – Zwróciłam na to uwagę. Powiedziała, że skaleczyła się o pnące róże przy portierni. Róże przy portierni... Raz, bardzo dawno, posprzecaliśmy się z Roddym o Wojnę Dwoch Róż. Ja byłam po stronie Lancasterów, on Yorków. Roddy lubi białe róże. Ja twierdziłam, że są jakieś nieprawdziwe, nawet nie pachną. Wolę szkarłatne róże: wielkie, ciemne, aksamitne, pachnące latem. Pokłóciliśmy się jak para głupków. Widzi pan... wszystko to przypomniało mi się w pokoju kredensowym i... sama nie wiem dlaczego, skruszyło nienawiść, przepędziło ją z mojego serca. Wyszłam stamtąd wspominając nasze wspólne dzieciństwo, nie życzyłam jej śmierci – umilkła na chwilę.  
– A później, kiedy weszliśmy do saloniku, ona dogorywała.

Poirot nadal obserwował pilnie dziewczynę, która zarumieniała się raz jeszcze i powiedziała:

– Może zapyta pan powtórnie, czy zabiłam Mary Gerrard?

Poirot wstał.

– O nic nie zapytam. Są rzeczy, o których nie chcę wiedzieć.



## Rozdział dziewiętnasty

Doktor Lord czekał na stacji zgodnie z poleceniem.

Herkules Poirot wysiadł z wagonu. Wyglądał bardzo po londyńsku. Na nogach miał lakierki z wydłużonymi noskami.

Lekarz bystro spojrział mu w oczy, lecz wyraz twarzy słynnego detektywa był nieprzenikniony.

– Zrobiłem wszystko – zaczął Peter Lord – żeby uzyskać odpowiedzi na pańskie pytania. Pierwsze: Mary Gerrard wyjechała stąd do Londynu dziesiątego lipca. Drugie: Nie mam gospodyni. Dom prowadzą mi dwie przychodnie służące, młode dziewczyny. Zapewne chodzi o panią Slattery, była gospodynią mojego poprzednika, starego Ransome’a. Jeżeli pan sobie życzy, możemy zaraz pójść do niej. Obiecała mi, że dzisiaj przed południem będzie w domu.

– Dobrze – powiedział Poirot. – Myślę, że od niej należy zacząć.

– Chciał pan także wybrać się do Hunterbury. Mogę panu towarzyszyć... Słowo daję! Nie mam pojęcia, dlaczego nie był pan tam już dawniej. Zdawałoby się, że w podobnym wypadku pierwszym zadaniem winna być wizja lokalna na miejscu, w którym popełniono zbrodnię.

– Dlaczego? – zapytał Herkules Poirot przechylając na bok głowę.

– Dlaczego? – pytanie wyraźnie zbiło z tropu młodego lekarza. – Chyba tak jest zawsze?

– Śledztwa nie prowadzi się z podręcznikiem w ręku. Lepiej posługiwać się własną inteligencją.

– W Hunterbury mógłby pan znaleźć taką czy inną wskazówkę – bąknął Peter Lord.

Poirot westchnął.

– Widać, że czytuje pan chętnie powieści kryminalne. Przecież w Anglii macie wspaniałą policję. Na pewno dom i jego najbliższe sąsiedztwo zostały drobiazgowo zbadane.

– W poszukiwaniu dowodów obciążających Elinor Carlisle, nie przemawiających



na jej korzyść.

– Drogi przyjacielu! Policja nie jest łaknącym krwi potworem. Elinor Carlisle aresztowano, ponieważ zebrały się poszlaki wystarczające, by ją oskarżyć... oskarżyć, że się tak wyrażę, na bardzo mocnych podstawach. Moje poszukiwania na miejscu zbrodni były niepotrzebne, skoro uporała się już z tym policja.

– Obecnie jednak chce się pan tam wybrać – powiedział Peter Lord.

– Tak. Teraz to przydatne, bo już dokładnie zdaję sobie sprawę, czego mam szukać. Najpierw trzeba rozumieć, później posłużyć się wzrokiem.

– Jest więc pan zdania, że coś ważnego mogło jeszcze pozostać w Hunterbury? – zapytał lekarz.

– Aha... Mam pewne nadzieje, że istotnie znajdziemy coś ważnego – przyznał skromnie Herkules Poirot.

– Coś, co dowiedzie niewinności Elinor Carlisle?

– Tego nie powiedziałem.

Peter Lord szeroko otworzył usta.

– Przecież nie sądzi pan nadal, że ona jest winna? – powiedział Peter Lord.

– Musimy poczekać trochę – odparł z powagą detektyw – nim, drogi przyjacielu, usłyszysz pan moją odpowiedź na to pytanie.

Herkules Poirot jadł obiad u doktora, w ładnym, kwadratowym pokoju z otwartym oknem od strony ogrodu.

– Dowiedział się pan czegoś od starej Slattery? – zapytał gospodarz.

– Tak.

– Czego pan u niej szukał?

– Plotek... Anegdot z zamierzchłych czasów. Niektóre zbrodnie tkwią korzeniami w przeszłości. Sądzę, że tak jest w naszym przypadku.

– Nie rozumiem ani słowa z tego, co pan mówi – zirytował się młody lekarz.

– Ryba jest idealnie świeża – uśmiechnął się Herkules Poirot.

– Nic dziwnego. Sam złapałem ją dziś, przed pierwszym śniadaniem. Ale do rzeczy. Nie mam pojęcia, dokąd pan zmierza! Dlaczego trzyma mnie pan w mroku!

– Bo jak dotychczas nie błysnęło światło. Raz po raz staje mi na drodze fakt, że nikt prócz Elinor Carlisle nie miał powodu, by zabić Mary Gerrard.

– Skąd ta pewność? – zachnął się Peter Lord. – Przecież ona spędziła jakiś czas za granicą. O tym warto pamiętać.

– Pamiętam... Nawet zebrałem potrzebne wiadomości.

– Sam pan był w Niemczech? – zdziwił się lekarz.

– Nie. – Poirot roześmiał się krótko. – Mam swoich szpiegów.

– Czy wolno ufać innym ludziom?



– Oczywiście. Nie moja sprawa uganiać się tu i ówdzie i po amatorsku załatwiać sprawy, które za niewygórowaną opłatą mogą być załatwione fachowo. Ręczę, *mon cher*, że trzymam rękę na pulsie... Mam bardzo sprawnych pomocników. Jeden z nich to były włamywacz.

– Jak korzysta pan z pomocy byłego włamywacza?

– Ostatnim jego zadaniem był szczegółowy przegląd mieszkania pana Rodericka Welmana.

– Czego tam szukał?

– Widzi pan, dobrze wiedzieć, jakie słyszało się kłamstwa.

– Czy Welman kłamał?

– Niewątpliwie.

– I kto więcej?

– Wszyscy. Siostra O'Brien romantycznie, Hopkins z uporem, pani Bishop jadowniczo, a pan, doktorze...

– Na Boga! – przerwał gwałtownie Peter Lord. – Chyba nie wyobraża pan sobie, że ja kłamałem.

– Dotychczas nie.

– Strasznie nieufny z pana człowiek – zawołał lekarz sadowiać się wygodniej na krześle, a następnie zmienił temat rozmowy. – Jeżeli pan skończył, możemy zaraz wyruszyć do Hunterbury. Później mam kilka wizyt u chorych i godziny przyjęć.

Poszli pieszo i na teren posiadłości dostali się przez boczną furtkę. W połowie drogi do domu spotkali wysokiego, przystojnego młodego człowieka z taczkami, który uklonił się grzecznie lekarzowi.

– Dzień dobry, Horlick – odpowiedział ten ostatni. – To, proszę pana, jest Horlick, ogrodnik. Pracował tutaj tamtego dnia.

– Tak, panie doktorze. Widziałem pannę Elinor. Nawet z nią rozmawiałem.

– Co panu powiedziała? – zapytał detektyw.

– Że naprawdę sprzedała posiadłość. Zdziwiłem się trochę i zaniepokoiłem. Ale ona powiedziała, że wstawi się za mną u pana majora Somervella. Może mnie pan major zatrzyma, jeżeli nie wydam mu się za młody na głównego ogrodnika i będzie wiedział, ile się nauczyłem pod kierunkiem pana Stephensa.

– Jak wam się zdaje, Horlick? – zabrał głos Peter Lord. – Czy panna Carlisle była taka jak zawsze?

– A pewnie, proszę pana doktora. Tyle, że była trochę zdenerwowana, jak gdyby nad czymś strasznie myślała.

– Znał pan Mary Gerrard? – zapytał Poirot.

– Ma się rozumieć, proszę pana. Ale nie bardzo dobrze.

– Jaka ona była?



- Jaka? Znaczy się, jak wyglądała?
- Nie... Chciałbym wiedzieć, jaki miała charakter.
- Aha... Była, proszę pana, okropnie ważna. Ładnie się wyrażała i w ogóle. A uważała siebie, proszę pana, nie wiedzieć za co! Starsza pani bardzo się opiekowała Mary Gerrard i to irytowało jej ojca. Miał za złe córce wszystkie jej fasony.
- O ile mi wiadomo – podjął Poirot – nie był to człowiek o najprzyjemniejszym charakterze.
- Pewnie, że nie! Wciąż tylko burczał, urągał. Rzadko można było usłyszeć od niego dobre słowo.
- Pracował pan w ogrodzie tamtego dnia. W którym dokładnie miejscu?
- Przeważnie w warzywniaku, proszę pana.
- Nie widać stamtąd domu?
- Nie widać, proszę pana.
- Gdyby ktoś podszedł do okna pokoju kredensowego, nie zobaczylibyście go, Horlick, prawda?
- Nie, proszę pana doktora.
- Kiedy poszliście do domu na obiad?
- O pierwszej, proszę pana doktora.
- I nie zauważyliście nic szczególnego? Nikt nie kręcił się w pobliżu? Nie było obcego samochodu?
- Nie... – ogrodnik zrobił lekko zdziwioną minę. – Tylko za boczną furtką stał wóz pana doktora.
- Mój wóz! – zawołał Peter Lord. – Skąd znowu! Byłem wtedy niedaleko Whitenbury. Wróciłem dopiero po drugiej.
- Horlick zdziwił się nieco bardziej.
- Dobrze widziałem – powiedział – że to był samochód pana doktora.
- Mniejsza z tym – podchwycił spiesznie Peter Lord. – Do widzenia, Horlick. Doktor i Poirot odeszli. Ogródnik patrzył za nimi przez chwilę. Później ruszył z taczkami swoją drogą.
- Nareszcie coś! – podjął cicho, lecz z ożywieniem lekarz. – Czyj wóz mógł stać za boczną furtką tamtego rana?
- Jaki pan ma samochód? – zapytał Poirot.
- Ja? Forda „dziesiątkę”, koloru seledynowego... To naturalnie często spotykany model i kolor...
- Czy to na pewno nie był pański samochód? Może myli się pan co do dnia?
- Nie myślę się! Tamtego rana pojechałem do Whitenbury i późno wróciłem. Ledwie zacząłem obiad, był telefon w sprawie Mary Gerrard, więc zaraz skoczyłem do Hunterbury.



– W takim razie, drogi panie – rzekł cicho Poirot – zdaje się, mamy wreszcie coś konkretnego.

– Tamtego dnia – podchwycił Peter Lord – musiał być tutaj ktoś prócz Elinor Carlisle, Mary Gerrard i pielęgniarki Hopkins.

– Ciekawe odkrycie! Chodźmy, rozejrzyjmy się trochę. Sprawdźmy na przykład, jak ten ktoś, mężczyzna czy kobieta, zabrałby się do dzieła, gdyby chciał podejść niepostrzeżenie do domu.

W połowie alei wjazdowej oddzielała się od niej ścieżka obsadzona malinami. Skręcili w nią i na pierwszym zakręcie lekarz chwycił za łokieć małego Belga i wolną ręką wskazał okno.

– To okno pokoju kredensowego, gdzie Elinor Carlisle robiła kanapki – powiedział.

– I z tego miejsca każdy mógł ją obserwować – dodał Poirot. – O ile sobie przypominam, okno było otwarte.

– Tak. Dzień był wyjątkowo ciepły. Dobrze pamiętam.

– A więc – ciągnął detektyw z nutą zastanowienia w głosie – ktoś, kto nie chciał, by go widziano, mógł znaleźć tutaj wymarzony punkt obserwacyjny.

Zaczęli krążyć w pobliżu i wkrótce Peter Lord zawołał:

– Widzi pan? Tu między krzakami! Zielsko zostało podeptane! Odrośło już, ale wyraźnie widać ślady.

Detektyw zbliżył się do niego i podjął cicho:

– Istotnie to dobre miejsce... Zasłonięte od alejki, a dzięki luce w krzewach doskonale stąd widać okno. Co też robił nasz nieznajomy, kiedy tkwił tutaj. Jak pan sądzi, doktorze? Może palił?

Nachylił się, aby dokładnie zbadać teren. Odsunęli liście i gałązki. Nagle Herkules Poirot wykrzyknął z radości. Peter Lord przerwał poszukiwanie.

– Jest coś? – zapytał.

– Pudełko od zapalek, *mon ami*! Puste pudełko od zapalek, zabłocone, wdeptane w ziemię – odparł mały Belg.

Ostrożnie podniósł zdobycz i umieścił na kawałku papieru, wyjętym z kieszeni.

– Zagraniczne! – zawołał Peter Lord. – Jak Boga kocham! Niemieckie zapalniczki.

– A Mary Gerrard niedawno wróciła z Niemiec! – podchwycił Poirot.

– Nareszcie coś! – powiedział z przejęciem młody lekarz. – Chyba pan nie zaprzeczy?

– Może i nie zaprzeczę... – rzucił obojętnie mały Belg.

– Na Boga! Człowieku! Kto tutejszy mógł mieć niemieckie zapalniczki?

– Zapewne... zapewne... – przyznał półgłosem Poirot i zatroskanym wzrokiem spojrzął przez lukę w zaroślach ku oknu pokoju kredensowego. – Sprawa nie wygląda



tak prosto, jak się panu zdaje. Jest jeden poważny szkopał... Nie dostrzega go pan sam, *mon ami*?

– Jaki?

– Jeżeli pan sam nie widzi... – Poirot westchnął. – Ha! Chodźmy dalej.

Kiedy znaleźli się przed kuchennymi drzwiami domu, Peter Lord otworzył je kluczem. Następnie przez sień i kuchnię zaprowadził detektywa do krótkiego korytarza. Po jednej jego stronie była garderoba, po drugiej pokój kredensowy. Bacznie zaczęli rozglądać się po tym ostatnim.

Pod ścianą stały zwyczajne w takich pomieszczeniach szafki z przesuwanymi szybami, przeznaczone na szkło i porcelanę. Była też kuchenka gazowa, a nad nią półka z dwoma czajnikami oraz puszkami, na których były napisy: „Kawa” i „Herbata”. Zlew... Suszarka do naczyń... Miska do zmywania... Stół umieszczono pod oknem.

– Na tym stole – odezwał się Peter Lord – Elinor Carlisle przygotowywała kanapki. Etykietę od morfiny znaleziono w szparze podłogi pod zlewem.

– Policja dobrze szuka – powiedział Herkules Poirot jak gdyby do siebie. – Rzadko coś przegapi.

– Nie istnieje dowód, że Elinor miała w ręku fiolkę – podjął żywo lekarz. – Powiadam panu, ktoś obserwował ją z zarośli... z tych malin. Kiedy poszła do portierni, skorzystał ze sposobności. Zakradł się, odkorkował fiolkę, skruszył na proszek kilka tabletek morfiny i przypawił leżącą na wierzchu kanapkę. Nie spostrzegł nawet, że oderwał kawałek etykiety i ten upadł na podłogę. Rozumie pan? Uciekł jak najprędzej, zapalił silnik... no i tyle go było widać!

– Jeszcze pan nic nie widzi? – zapytał Poirot. – Człowiek inteligentny potrafi czasem być zdumiewająco tępy!

– Czy pan nie wierzy, by ktoś mógł obserwować okno z zarośli?

– W to wierzę.

– A więc? Należy tylko stwierdzić tożsamość tego kogoś!

– Myślę, że niedaleko trzeba będzie szukać – szepnął Herkules Poirot.

– Wie pan?

– W każdym razie domyślam się po trosze.

– Czy donieśli coś pańscy ludzie z Niemiec? – zapytał młody człowiek.

– Drogi przyjacielu! Wszystko siedzi tutaj! – Poirot uderzył się w czoło. – No, chodźmy dalej. Trzeba ten dom obejrzeć.

Na koniec stanęli w saloniku, gdzie umarła Mary Gerrard. Panowała tam atmosfera nie inna niż w całym domu – jak gdyby pełna wspomnień i posepnych myśli.

Peter Lord wzdrygnął się i szeroko otworzył okno.





– Duszno tu i ponuro, jak w grobie.  
– Gdyby ściany mogły mówić – westchnął Herkules Poirot. – Tutaj, pod tym dachem rozpoczęła się cała historia – umilkł na moment, by podjąć. – A w tym pokoju umarła Mary Gerrard, prawda?

– Kiedy tu weszły, siedziała w fotelu pod oknem – powiedział lekarz.  
– Młoda dziewczyna – rozpoczął znów Poirot tonem zadumy – piękna... usposobienie romantyczne. Może robiła intrygi, spiskowała? Może zadzierała nosa? Może to była łagodna, dobra, prosta, niezdolna do podstępów istota, która ledwie wkraczała w życie?... Dziewczyna jak kwiat...

– Bez względu na to, jaka była – wtrącił Peter Lord – ktoś chciał jej śmierci.  
– Ciekawe... – zaczął detektyw i urwał.  
– Co pan chciał powiedzieć? – rzucił szorstko Peter Lord.  
– Jeszcze nie pora – detektyw odwrócił się na pięcie. – Obeszliśmy cały dom. Widzieliśmy wszystko godne widzenia. Chodźmy teraz do domku odźwiernego.

I tam zastali wszystko w porządku. Z zakurzonego mieszkania uprzątnięto rzeczy osobiste. Inspekcja zajęła ledwie kilka minut. Kiedy wyszli, Poirot dotknął liści pnącej róży rozpiętej na drewnianej kratce opodal drzwi. Miała różowe, słodko pachnące kwiaty.

– Zna pan nazwę tej odmiany? – zapytał mały Belg. – To, *mon ami*, Zefiryna Droughin.

– Co z tego? – obruszył się Peter Lord.  
– Kiedy byłem u Elinor Carlisle, mówiła o różach. Wtedy właśnie zacząłem dostrzegać... nie światło, ale taki nikły odblask, jaki widać, gdy pociąg zbliża się do wylotu z tunelu... To jeszcze nie brzask, doktorze... Nie... Dopiero przedświt.

– Co panu powiedziała? – zapytał lekarz.  
– Wspominała dzieciństwo, zabawy w tym ogrodzie. Ona i Roderick Welman stali wtedy po przeciwnych stronach, byli wrogami. On wolał białą różę Yorków, sztywną i zimną... To całkiem zrozumiałe. Jej podobała się bardziej czerwona róża Lancasterów. Czerwone róże mają barwę, zapach, są wyrazem gwałtownych uczuć. Na tym właśnie, doktorze, polega różnica między Elinor Carlisle a Roderickiem Welmanem.

– Czy to coś tłumaczy?  
– Tłumaczy Elinor Carlisle... Dumna, namiętna dziewczyna kochała rozpaczliwie człowieka, który nie umiał odwzajemnić takiej miłości.

– Nic nie rozumiem.  
– Ale ja rozumiem ją, rozumiem ich obydwójce. Teraz, doktorze, wróćmy na tę małą polankę wśród malin.

Szli bez słowa. Piegowata twarz doktora Lorda zdradzała irytację i przygnębienie. Na miejscu Poirot stał przez chwilę w milczeniu. Towarzysz przyglądał mu się bacznie.



Nagle mały detektyw westchnął ciężko.

– Jakie to proste! Nie widzi pan, *mon ami*, błędu swojego rozumowania. Według pańskiej teorii, ktoś, kto znał Mary Gerrard w Niemczech, najprawdopodobniej mężczyzna, przyjechał tutaj z zamiarem wyprawienia jej na tamten świat. Proszę spojrzeć, *mon ami*... Właśnie spojrzeć! Skorzystać z dwojga oczu, skoro nie dopisała panu jasność umysłowego widzenia. Co pan widzi? Naturalnie okno. W tym oknie młoda osoba przygotowuje kanapki. Kto to taki? Elinor Carlisle. Niech pan pomyśli przez chwilę nad taką kwestią: skąd, u Boga Ojca, ów obserwator mógł zgadnąć, że Mary Gerrard będzie poczęstowana kanapkami? Nie wiedział o tym nikt pod słońcem, z wyjątkiem jednej tylko Elinor Carlisle. Nie wiedziała nawet Mary Gerrard ani pielęgniarz Hopkins. Co stąd wynika? Jeżeli ktoś prowadził obserwacje z tego posterunku, a następnie podszedł do okna, wspiął się i zrobił coś z kanapkami, musiał być niezawodnie przekonany, że kanapki zje sama Elinor Carlisle.



## Rozdział dwudziesty

Poirot zastukał do drzwi. Otworzyła je pielęgniarka Hopkins z ustami pełnymi ciasta.

– Oo... Pan Poirot... Czym jeszcze mogę panu służyć?

– Mogę wejść?

Pielęgniarka Hopkins cofnęła się nie bez ociągania i pozwoliła gościowi przestąpić próg. Wkrótce jednak okazała się bardziej gościnna i po chwili mały Belg spoglądał podejrzliwie na filiżankę atramentowoczarnej herbaty.

– Dopiero co zaparzona – powiedziała gospodyni. – Dobra i mocna.

Poirot zamieszał delikatnie napój i po bohatersku pociągnął pierwszy łyk.

– Odgaduje pani, dlaczego przyszedłem? – zapytał.

– Nie. Póki pan mi nie powie. Nie udawałabym nigdy, że umiem czytać w myślach.

– Przyszedłem zapytać panią o prawdę.

– A cóż to ma znaczyć? – rozzłościła się pielęgniarka Hopkins. – Zawsze byłam prawdomówna. Ja nie z takich, co lubią osłaniać samych siebie. Przecież mówiłam w śledztwie o tej zaginionej fiolce morfiny, chociaż niejeden na moim miejscu wolałby siedzieć jak mysz pod miotłą. Wiedziałam, że czekają mnie przykrości z powodu niedbalstwa, że to niby lekkomyślnie zostawiłam torbę. Jak gdyby coś takiego nie mogło się przytrafić każdemu, co? Spotkały mnie już z tego powodu zarzuty, które na pewno nie ułatwią mi kariery zawodowej. Ale co mi tam! Wiedziałam coś ważnego dla śledztwa, więc powiedziałam. Zechce pan, panie Poirot, zachować dla siebie podejrzliwość. Niczego nie zataiłam w sprawie śmierci Mary Gerrard. Wyłożyłam kawę na ławę. A jeżeli panu wydaje się inaczej, nic mi do tego. Niczego nie ukryłam. Niczego! Gotowa jestem powtórzyć to samo w sądzie, pod przysięgą.

Poirot nie usiłował nawet przerwać. Wybornie znał metody postępowania z kobietą w gniewie. Pozwolił pielęgniarce rozplomienić się i przygasnąć. Następnie zaczął mówić stłumionym, układnym tonem:

– W głowie mi nie pozostało, że zataiła pani coś związanego z morderstwem.

– Więc co panu w głowie pozostało, chciałabym wiedzieć?



- Pragnę usłyszeć prawdę o życiu Mary Gerrard, nie o jej śmierci.
- Aa... – W pierwszej chwili kobieta zdawała się zaskoczona. – Chyba wiem, dokąd pan zmierza... Ale to nie ma związku z morderstwem.
- Nie twierdzą nic podobnego. Powiedziałem tylko, że pani ukrywa coś, co pani wie na temat Mary Gerrard.
- Nie widzę powodu... Jeżeli to nie łączy się ze zbrodnią.
- Poirot wzruszył ramionami.
- Ale dlaczego milczeć? – powiedział.
- Pielęgniarka poczerwieniała na twarzy.
- Z prostego poczucia przyzwoitości. Osoby zainteresowane nie żyją. Wszystkie! Co to kogo obchodzi?
- Zapewne, jeżeli w grę wchodzi domysły. Gdyby jednak wiedziała pani coś pewnego... Ha! Inna sprawa.
- Niezupełnie rozumiem, co pan ma na myśli – powiedziała opornie kobieta.
- Chętnie pani pomogę. Coś niecoś napomknęła siostra O'Brien. Odbyłem również długą rozmowę z panią Slattery. Ma ona doskonałą pamięć, zwłaszcza co do wydarzeń, które się rozgrywały przed dwudziestoma laty z górą. Powiem dokładnie, czego zdołałem się dowiedzieć. Otóż przeszło dwadzieścia lat temu miłość łączyła dwie osoby. Jedną z nich to pani Welman, wdowa od wielu lat, kobieta zdolna do gorących, głębokich uczuć. Partnerem jej był sir Lewis Rycroft, którego nieszczęście stanowiła nieuleczalna choroba umysłowa żony. W owych czasach prawo nie pozwalało na rozwód, a lady Rycroft, osoba fizycznie zdrowa, mogła dożyć dziewięćdziesiątki. Powszechnie domyślano się związku tych dwojga, lecz oni oboje zachowywali dyskrecję i niezmiernie dbali o pozory. Potem sir Lewis Rycroft poległ na wojnie.
- A więc? – bąknęła pielęgniarka Hopkins.
- Twierdzą – podjął detektyw – że po śmierci sir Lewisa przyszło na świat dziecko i że tym dzieckiem była Mary Gerrard.
- Wygląda na to, że pan wie o wszystkim – powiedziała kobieta.
- Nie. Domyślałem się tylko i uważam za prawdopodobne, że pani posiada konkretny dowód.
- Przez parę minut pielęgniarka siedziała milcząca, zaszepiona. Później wstała nagle, szybkim krokiem przemierzyła pokój, otworzyła szufladę i wydobyła z niej kopertę przyniosła detektywowi.
- Powiem, jak to trafiło w moje ręce – zaczęła. – Miałam pewne podejrzenia. Pani Welman niezwykle interesowała się Mary... Krążyły różne plotki... No i stary Gerrard powiedział mi przed śmiercią, że to nie jego córka. Kiedy Mary umarła, kończyłam porządki w domku odźwiernego i w szufladzie, między różnymi szpargałami,



znalazłam list. Proszę zobaczyć, co tu napisane.

Poirot spojrział na adres skreślony wyblakłym atramentem.

„Dla Mary. Wysłać po mojej śmierci”.

– Bardzo dawno pisane – powiedział.

– Nie pisał tego Gerrard – wyjaśniła siostra Hopkins – lecz matka Mary, która umarła czternaście lat temu. List był przeznaczony dla małej, lecz Gerrard zatrzymał go, więc ona nie dowiedziała się o niczym, chwała Bogu. Do końca mogła nie wstydzić się i wysoko nosić głowę – kobieta umilkła, by podjąć po krótkiej pauzie: – Koperta była zapieczętowana, ale jak ją znalazłam... Cóż, muszę przyznać, że list otworzyłam i przeczytałam, czego naturalnie nie powinnam była zrobić. Ale Mary nie żyła, a ja odgadywałam, co tam jest napisane i byłam zdania, że nikomu nic do tego. Nie zniszczyłam jednak dokumentu, bo, sama nie wiem czemu, zdawało mi się, że postąpiłabym niesłusznie. Ale najpierw niech pan to sam przeczyta.

Herkules Poirot wydobyl z koperty arkusik pokryty drobnym, ostrym piśmem.

*Spisuję całą prawdę na wypadek, gdyby była potrzebna kiedykolwiek. Byłam panną służącą pani Welman z Hunterbury i ona traktowała mnie bardzo dobrze i życzliwie. Kiedy popadłam w kłopoty, pomogła mi i po wszystkim przyjęła z powrotem do służby. Ale dziecko umarło. Moja pani i sir Lewis Rycroft byli ze sobą bardzo blisko, ale nie mogli się pobrać, bo on miał żonę i ta nieszczęśliwa znajdowała się w szpitalu wariatów. To był bardzo dobry pan, przystojny i szczerze oddany mojej pani. Zginął na wojnie, a ona powiedziała mi niedługo po jego śmierci, że będzie miała dziecko. Zaraz wyjechała do Szkocji i mnie zabrała ze sobą. Dziecko przyszło na świat w Ardlochrie. W tym czasie Bob Gerrard, który wyparł się wszystkiego i zerwał ze mną, kiedy miałam kłopoty, zaczął znów pisać. Umówiliśmy się z moją panią, że wyjdę za Boba i zamieszkamy w portierni, a jemu powie się, że dziecko jest moje. Skoro będziemy na miejscu, wszystkim wyda się naturalne, że pani Welman zaopiekuje się małą, da jej stosowne wykształcenie i zapewni pozycję w świecie. Uważała, że Mary nie powinna nigdy poznać prawdy. Dostaliśmy za to poważną sumę, ale ja i bez tego pomogłabym mojej pani. Z Bobem jestem szczęśliwa, chociaż nie mógł jakoś polubić Mary. Trzymałam język za zębami i nigdy nie zdradziłam nikomu sekretu, ale myślę, że powinnam zostawić ślad czarno na białym na wypadek mojej śmierci.*

*Eliza Gerrard z domu Riley*



Herkules Poirot westchnął i starannie złożył ćwiartkę papieru.

– I co pan myśli robić? – zapytała niespokojnie pielęgniarzka Hopkins. – Nie żyją już wszyscy zainteresowani. Po co odgrzebywać stare dzieje? Cała okolica szanowała panią Welman. Nigdy o niej źle nie mówiono. Czy warto dobywać na jaw stary skandal? Dowodziłoby to braku serca dla pani Welman, no i dla Mary. Taka kochana dziewczyna! Czy wszyscy mają się dowiedzieć, że była nieślubnym dzieckiem? Niechaj zmarli odpoczywają w pokoju. Takie jest moje zdanie.

– Trzeba brać pod uwagę żyjących – powiedział detektyw.

– Ale to nie ma nic wspólnego z morderstwem, prawda?

– Może mieć bardzo dużo wspólnego – odparł z powagą Herkules Poirot.

Z tymi słowami wyszedł szybko z domku, a pielęgniarzka długo patrzyła za nim z otwartymi ustami.

Niebawem usłyszał za sobą odgłos niepewnych kroków, zatrzymał się więc i odwrócił. Przed nim stał Horlick, ogrodnik z Hunterbury. Bardzo zmieszany, miętosił czapkę w rękach.

– Bardzo przepraszam, proszę pana – zaczął nieśmiało młody człowiek. – Czy mógłbym porozmawiać chwilę z panem?

– Ma się rozumieć. O co chodzi?

– Niby o ten samochód... – wyjaśnił Horlick i jeszcze mocniej ścisnął czapkę w palcach.

– O samochód, który tamtego dnia stał przy bocznej furtce?

– Tak, proszę pana... Tak. Doktor Lord dopiero co mówił, że to nie był jego wóz... Nic podobnego, proszę pana. To był jego wóz.

– Jest pan zupełnie pewien?

– Tak, proszę pana. Widziałem tablicę rejestracyjną: MSS 2022. Nie mogłem się omylić. To numer łatwy do zapamiętania. Każdy go zna w naszej wiosce. Jestem zupełnie pewien, proszę pana.

– Doktor Lord twierdzi, że był w tym czasie w Whitenbury – uśmiechnął się blado Poirot.

– Wiem, proszę pana. Słyszałem. Ale to był jego samochód. Gotów jestem przysiąc.

– Może się to okazać konieczne – powiedział łagodnie detektyw. – Dziękuję, Horlick.





## Rozdział dwudziesty pierwszy

Czy w sądzie było gorąco, czy bardzo zimno? Elinor Carlisle nie mogła się zorientować. To czuła, że płonie, to drżała z chłodu.

Nie słyszała zakończenia mowy prokuratora. Wróciła w przeszłość. Wolno odtwarzała w myślach wszystko – od dnia, kiedy nadszedł wstrętny list anonimowy, do momentu, gdy układny policjant powiedział z mrozącą krew w żyłach potocznością: „Pani nazywa się Elinor Katherine Carlisle. Mam nakaz aresztowania pani pod zarzutem morderstwa Mary Gerrard przez podanie jej trucizny w dniu dwudziestego siódmego lipca tego roku. Muszę uprzedzić, że wszystko, co pani powie od tej chwili, zostanie zaprotokołowane i może być wykorzystane w śledztwie”.

Straszna, przerażająca potoczność! Elinor odniosła wrażenie, że porywają ją tryby idealnie naoliwionej maszyny – beznamiętnej, nieludzkiej.

Obecnie zaś jest na ławie oskarżonych, wystawiona na pokaz setkom oczu, których nie można nazwać beznamiętnymi ani nieludzkimi.

Tylko przysięgli nie patrzą na nią. Starannie odwracają wzrok. Niewątpliwie dlatego, że zdają sobie sprawę, co będą musieli wkrótce orzec.

Zeznaje właśnie doktor Lord... Czy to rzeczywiście ten sam wesóły, piegowaty młody lekarz, taki sympatyczny i życzliwy w Hunterbury? Teraz jest zawodowo poważny i sztywny. Wyjaśnień udziela monotonnym głosem. Do Hunterbury został wezwany telefonicznie, za późno, by cokolwiek zrobić. Mary Gerrard umarła w kilka minut po jego przyjeździe. Był wtedy zdania, że nastąpiło zatrucie morfiną, w postaci zwanej *foudroyante*. Sir Edwin Bulmer wstał, by rozpocząć przesłuchanie w imieniu obrony.

- Ostatnio miał pan pod stałą opieką lekarską nieboszczkę panią Welman?
- Tak.
- Podczas ostatnich wizyt w Hunterbury, w ciągu czerwca, widywał pan jednocześnie oskarżoną oraz Mary Gerrard?
- Kilka razy.
- Jak pańskim zdaniem odnosiła się oskarżona do Mary Gerrard?





– W sposób uprzejmy i naturalny.  
– Nigdy nie dostrzegł pan objawów tej „nienawistnej zazdrości”, o której słyszeliśmy tak wiele? – powiedział sir Edwin Bulmer z lekko ironicznym uśmiechem.

– Nigdy.  
„Dostrzegł – pomyślała Elinor Carlisle! – Dostrzegł! Teraz skłamał, żeby mnie bronić. Przecież wiedział”.

Miejsce doktora Lorda zajął lekarz policyjny. Zeznania jego były dłuższe, bardziej drobiazgowo. Śmierć nastąpiła skutkiem zatrucia morfiną w odmianie zwanej *foudroyante*. Poproszony o bliższe wytłumaczenie tego terminu, uczynił to nie bez satysfakcji. Zatrucie morfiną przybiera różne formy. Najpospolitszy jest okres gwałtownego podniecenia, a następnie senność i stan narkotyczny. W takich przypadkach źrenice oczu są zazwyczaj zwężone. Drugą, rzadziej występującą formę, Francuzi nazwali *foudroyante* – piorunującą. W takich przypadkach zapaść senna następuje bardzo wcześnie, po upływie plus-minus dziesięciu minut. Źrenice oczu bywają rozszerzone.

Sąd zarządził przerwę i wznowił postępowanie. Kilka godzin zajęły opinie lekarskie.

Doktor Alan Garcia, wybitny analityk, sypał terminami naukowymi i z zamiłowaniem rozprawiał o zawartości żołądka. Chleb, pasta rybna, herbata, stwierdzona niewątpliwie obecność morfiny... Nastąpiły jeszcze bardziej fachowe terminy oraz dane liczbowe. Ilość podanej morfiny wynosiła około czterech granów. Jako śmiertelną dawkę należy uważać już jeden gran.

Głos zabrał znowu sir Edwin Bulmer – opanowany nadal i rzeczowy.

– Poprosiłbym o bardziej przejrzyste wyjaśnienie. W żołądku stwierdził pan tylko obecność chleba, masła, pasty rybnej, herbaty i morfiny. Nie było żadnych innych produktów?

– Żadnych.

– Świadczy to, że przez stosunkowo długi czas zmarła nie spożyła niczego z wyjątkiem kanapek i herbaty.

– Niewątpliwie.

– Nie istnieje konkretny dowód, by morfina znajdowała się w paście rybnej, a nie w którymkolwiek z innych składników?

– Nie istnieje.

– Czyli innymi słowy Mary Gerrard mogła przyjąć morfinę osobno, to znaczy nie przemieszana z niczym? Mogła po prostu połknąć w tabletkach, prawda?

– Oczywiście.

Sir Edwin Bulmer usiadł.

Głos zabrał rzecznik oskarżenia, sir Samuel Attenbury.



– Niemniej jednak – powiedział – jest pan zdania, że bez względu na sposób podania, zmarła przyjęła morfinę jednocześnie z pokarmem i napojem?

– Tak.

– Dziękuję panu.

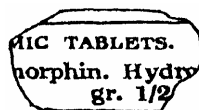
Inspektor Brill złożył przysięgę z mechaniczną wprawą. Na trybunie dla świadków stał pewnie, w wojskowej postawie. Tok zeznań rozwijał swobodnie, płynnie.

Został wezwany do Hunterbury... Oskarżona powiedziała: „To na pewno zepsuta pasta rybna”... Przystąpił do oględzin miejsca wypadku... Jeden słoik po paście rybnej był wymyty i znajdował się na suszarce w pokoju kredensowym, drugi opróżniono tylko w połowie... Dalsze poszukiwania...

– Co pan znalazł?

– Pod stołem, w szparze między deskami podłogi, był mały skrawek papieru.

Dowód rzeczowy powędrował na ławę przysięgłych.



– Co to jest, pańskim zdaniem?

– Część drukowanej etykiety, odlepionej z szklanej fiołki, która zawierała morfinę. Rzecznik obrony wstał ze swobodną pewnością siebie.

– Znalazł pan ten skrawek w szparze podłogi? – zaczął.

– Tak jest.

– To część etykiety?

– Tak.

– Czy znalazł pan resztę?

– Nie.

– Nie znalazł pan również fiołki lub buteleczki, do której etykieta mogła być przyklejona?

– Nie znalazłem.

– W jakim stanie znalazł pan przedstawiony sądowi świstek papieru? Czy czysty czy też brudny?

– Był mniej więcej świeży.

– Co to znaczy „mniej więcej świeży”?

– Na powierzchni stwierdziłem kurz z podłogi. Poza tym fragment etykiety był czysty.

– Innymi słowy, nie mógł znajdować się w szparze podłogi przez czas dłuższy.

– Nie. Musiał tam niedawno trafić.



– To znaczy w dniu, kiedy go pan znalazł, nie wcześniej?

– Tak jest.

Sir Edwin Bulmer usiadł z westchnieniem ulgi.

Na trybunie dla świadków stanęła pielęgniarka Hopkins, zaczerwieniona, zawzięta.

Elinor pomyślała, że mimo wszystko jest ona mniej przerażająca niż inspektor Brill. Najbardziej paraliżowały nieludzkie cechy policjanta, który stanowczo sprawiał wrażenie części bezdusznej maszyny. Tymczasem pielęgniarka Hopkins zdradza ludzkie uczucia, uprzedzenia...

– Pani nazywa się Jessie Hopkins?

– Tak.

– Jest pani pielęgniarką rejonową i mieszka w willi Pod Różą koło Hunterbury.

– Tak.

– Gdzie pani była dwudziestego ósmego czerwca tego roku?

– W Hunterbury.

– Wezwano tam panią?

– Tak. Pani Welman miała atak... powtórny atak. Miałam pomagać siostrze O'Brien, póki nie znajdzie się drugiej stałej pielęgniarki.

– Czy wzięła pani z domu torbę?

– Tak.

– Proszę powiedzieć sądowi, co torba zawierała?

– Były w niej bandaż, opatrunki, strzykawki i rozmaite leki, między innymi fiołka morfiny.

– Dlaczego miała pani morfinę?

– Jednej z pacjentek robiłam zastrzyki dwa razy dziennie: rano i wieczorem.

– Co zawierała fiołka?

– Dwadzieścia półgranowych tabletek morfiny.

– Co pani zrobiła z torbą?

– Zostawiłam ją w hallu.

– Stało się to dwudziestego ósmego czerwca wieczorem. Kiedy pani zajrzała do torby?

– Następnego dnia około dziewiątej rano, kiedy wychodziłam z domu pani Welman.

– Czy czegoś brakowało?

– Tak. Fiolki z morfiną.

– Czy wspomniała pani komuś o stracie?

– Siostrze O'Brien, pielęgnowała, która stale opiekowała się chorą.

– Torba leżała w hallu, dokąd mieli dostęp wszyscy domownicy?



– Tak.

Rzecznik oskarżenia umilkł na chwilę, a potem spytał:

– Czy znała pani bliżej ofiarę, Mary Gerrard?

– Tak.

– Jaka jest pani opinia o tej osobie?

– Była to sympatyczna, łagodna, dobra dziewczyna.

– Czy nazwałaby ją pani pogodną?

– Tak. Była bardzo pogodna.

– Miała jakieś trudności, kłopoty?

– Nie miała żadnych.

– Czy w czasie, gdy umarła, martwiła się, niepokoiła o swoją przyszłość?

– Nie.

– Nie istniały powody, dla których mogłaby odebrać sobie życie?

– Nie istniały.

Dalej i dalej snuła się groźna opowieść, jak to pielęgniarka Hopkins udała się z Mary do domku odźwiernego, dokąd przyszła Elinor Carlisle. Była dziwnie podniecona, zdenerwowana... Zaprosiła obie kobiety do domu i poczęstowała kanapkami... Talerz podała najpierw Mary... Następnie wspomniała o zmywaniu naczyń, a gdy to ukończono, zaproponowała, by pielęgniarka Hopkins poszła z nią na górę, pomogła przy sortowaniu rzeczy po pani Welman.

Sir Edwin Bulmer przerywał raz po raz, by zgłaszać zastrzeżenia.

Elinor myślała: „To wszystko prawda, w którą ona wierzy. Jest przekonana, że jestem winna. Każde jej słowo zawiera prawdę i tylko prawdę... Przerazające!”

Jeszcze raz przebiegła wzrokiem salę sądową. Napotkała twarz Herkulesa Poirota, który przyglądał się jej bacznie, niemal współczująco – jak gdyby wiedział za dużo.

Karton z naklejonym skrawkiem papieru doręczono świadkowi.

– Wie pani, co to jest?

– Tak. Część etykiety.

– Może pani powiedzieć sądowi, jaka to etykieta?

– Tak. To część etykiety z fiolki zawierającej półgranowe tabletki morfiny, używane do zastrzyków. Taką właśnie zgubiłam.

– Jest pani pewna?

– Oczywiście. To etykieta z mojej fiolki.

Głos zabrał przewodniczący sądu:

– Czy posiada jakiś znak szczególny, na którego podstawie można stwierdzić, że etykieta pochodzi z zagubionej przez panią fiolki?

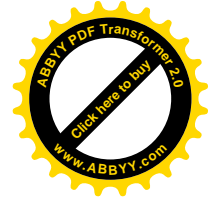
– Nie, wysoki sędzie. Ale to musi być ta etykieta.

– Ale z wszelką pewnością może pani stwierdzić tylko ściśle podobieństwo



etykiet?

– Tak jest, wysoki sędzie. To właśnie miałam na myśli.



## Rozdział dwudziesty drugi

Dnia następnego sir Edwin Bulmer przystąpił do dzieła. Tym razem nie był układny ani pogodny.

– Wiele słyszeliśmy na temat torby – powiedział ostro. – Zostawiła ją pani w hallu domu w Hunterbury, dwudziestego ósmego czerwca wieczorem. Czy tak?

– Tak – przyznała siostra Hopkins.

– Postąpiła pani nieoględnie, prawda?

– Tak... – kobieta zarumieniła się lekko. – Myślę... że raczej tak.

– Czy ma pani zwyczaj zostawiać niebezpiecznie działające środki w miejscach łatwo dostępnych dla wszystkich?

– Skąd znowu!

– Więc to nie stały zwyczaj. Postąpiła tak pani tylko w danym przypadku?

– Tak.

– Czy możemy przyjąć za fakt dowiedziony, że każdy z obecnych w domu mógł znaleźć dostęp do morfiny, gdyby przyszła mu na to ochota?

– Przypuszczam, że istotnie...

– Nie chodzi o pani przypuszczenia. Tak czy nie?

– Tak.

– Mogła to być nie tylko panna Carlisle, lecz również ktokolwiek ze służby, albo doktor Lord, pan Roderick Welman, pielęgniarka O'Brien czy nawet sama Mary Gerrard?

– Sądzę...

– Tak czy nie?

– Tak.

– Czy ktoś był poinformowany, że w torbie znajduje się morfina?

– Nie wiem.

– Czy rozmawiała pani z kimś na ten temat?

– Nie.

– A zatem panna Carlisle nie mogła wiedzieć o morfinie?



- Mogła zajrzeć, zobaczyć.
- Chyba to mało prawdopodobne. Jak pani myśli?
- Doprawdy, nie mam pojęcia.
- Ale pewne osoby mogły dowiedzieć się o morfinie łatwiej niż panna Carlisle. Na przykład doktor Lord. On wiedział. Robiła pani zastrzyki na jego zlecenie, prawda?
- Oczywiście.
- Wiedziała o tym również Mary Gerrard, prawda?
- Nie wiedziała.
- Często bywała u pani?
- Niezbyt często.
- Twierdzę, że bardzo często odwiedzała panią, wobec czego mogła wiedzieć o morfinie prędzej niż jakakolwiek inna osoba w domu.
- Nie zgadzam się z tym.
- Rzecznik obrony zrobił krótką pauzę.
- Rano – podjął – powiedziała pani pielęgniarce O'Brien, że morfina zginęła?
- Tak.
- Przypomnę pani słowa: „Zostawiłam morfinę w domu. Będę musiała po nią wrócić”. To pani powiedziała?
- Nie.
- Nie twierdziła pani, że morfina została w domu na półce nad kominkiem?
- No... Jak nie znalazłam fiolki, przyszło mi na myśl, że mogłam ją zostawić w domu.
- Innymi słowy, nie była pani pewna, co się z morfiną stało!
- Byłam pewna. Włożyłam fiolkę do torby.
- Dlaczego zatem rano dwudziestego dziewiątego czerwca utrzymywała pani, że fiolka mogła zostać w pani domu?
- Bo tak mi się zdawało.
- Pozwolę sobie wyrazić zdanie, że jest pani osobą dziwnie nierozważną.
- To nieprawda!
- Czasami pani twierdzenia mijają się nieco z prawdą?
- Nie. Mam zwyczaj liczyć się ze słowami.
- Czy dwudziestego siódmego lipca, w dniu śmierci Mary Gerrard, mówiła pani o poranieniu ręki kolcami róży?
- Nie rozumiem, co to ma do rzeczy!
- Czy to istotna kwestia? – wtrącił przewodniczący.
- Tak jest, wysoki sędzie. Pytanie stanowi ważną część obrony. Zamierzam powołać świadków, by dowieść, że wspomniane twierdzenie było kłamstwem – odparł sir Edwin Bulmer i zwrócił się do pielęgniarki Hopkins: – Nadal utrzymuje pani, że



dwudziestego siódmego lipca skaleczyła pani rękę kolcami róży?

– Tak – rzuciła kobieta wyzywającym tonem.

– Kiedy to się stało?

– Rano dwudziestego siódmego lipca. Wkrótce później poszłam z portierni do domu pani Welman.

– Jaka to była róża? – zapytał z powątpiewaniem rzecznik obrony.

– Pnąca, z różowymi kwiatami, która rośnie przed domkiem odźwiernego.

– Jest pani pewna?

– Najzupełniej.

Sir Edwin Bulmer zrobił znowu pauzę, a następnie zapytał:

– Czy nadal twierdzi pani, że morfina znajdowała się w torbie, kiedy przysłała pani do Hunterbury dwudziestego ósmego czerwca?

– Tak. Morfinę miałam w torbie.

– Przypuśćmy, że pielęgniarka O'Brien stanie na trybunie dla świadków i zezna pod przysięgą, co pani jej wtedy mówiła. Utrzymywała pani, że fiołka mogła zostać w pani domu.

– Była w torbie. Jestem absolutnie pewna.

Rzecznik obrony westchnął.

– Czy niepokoiły panią losy zagubionej morfiny?

– Czy mnie niepokoiły?... Nie... Raczej nie.

– Aha! Była pani spokojna, chociaż zniknęła tajemniczo okazała dawka niebezpiecznego leku?

– Nie podejrzewałam wtedy, że ktoś mógł przywłaszczyć sobie fiołkę.

– Rozumiem. Nie pamiętała pani, co z tą fiołką zrobiła.

– Nic podobnego! Wiedziałam, że morfina była w tezcze.

– Dwadzieścia półgranowych tabletek. Dziesięć granów morfiny. To wystarczy, by uśmiercić kilka osób, prawda?

– Tak.

– Ale nie była pani zaniepokojona. Ba! Nawet nie zameldowała pani formalnie o zgubie.

– Sądziłam, że... że wszystko w porządku.

– Jeżeli morfina zaginęła w sugerowany sposób, obowiązkiem pani, jako osoby sumiennej i odpowiedzialnej, był formalny meldunek o stracie.

– Nie złożyłam tego meldunku – odpowiedziała pielęgniarka Hopkins, zdenerwowana i bardzo czerwona na twarzy.

– Należy to uznać za karygodne niedbalstwo. Widać, że nie traktuje pani poważnie swojej odpowiedzialności. Czy często gubi pani groźne dla życia środki?

– Nie. Pierwszy raz mi się zdarzyło.





Przesłuchanie w tej kwestii trwało jeszcze kilka minut.

Zbita z tropu, coraz mocniej zarumieniona pielęgniarka przeczyła samej sobie i stanowiła łatwy łup dla sir Edwina Bulmera.

– Wiadomo pani, że w czwartek, szóstego lipca, Mary Gerrard sporządziła testament?

– Tak.

– Dlaczego to zrobiła?

– Bo była zdania... słusznego zdania, że tak postąpić należy.

– Nie sądzi pani, że była przygnębiona albo obawiała się o swoją przyszłość?

– Skąd znowu! – zachnęła się pielęgniarka Hopkins.

– Wskazuje to jednak, że myśl o śmierci prześladowała Mary Gerrard.

– Nic podobnego. Była tylko zdania, że tak postąpić należy.

– Czy poznaje pani testament podpisany przez Mary Gerrard oraz świadków Emilię Biggs i Rogera Wade’a sprzedawców sklepu ze słodczymi, na którego mocy wszystko przypada na własność Mary Riley, siostrze Elizy Riley?

– Tak. Poznaje.

Dokument podano przysięgłym.

– Czy według posiadanych przez panią informacji Mary Gerrard miała majątek, którym mogła rozporządzić?

– Nie. Wtedy nie miała.

– Ale wkrótce spodziewała się coś otrzymać?

– Tak.

– Wiadomo, że panna Carlisle podarowała jej znaczną sumę, dwa tysiące funtów?

– Tak.

– Nie działał w tym przypadku żaden przymus. Był to hojny gest panny Carlisle.

Wiadomo pani o tym?

– Tak. Panna Carlisle działała dobrowolnie.

– Gdyby jednak nienawidziła Mary Gerrard, tak jak pani sugerowała, nie podarowałaby dobrowolnie pokaźnej kwoty. Jak pani sądzi?

– Różnie bywa.

– Co pani miała na myśli udzielając tej odpowiedzi?

– Nic nie miałam na myśli.

– Precyzuję. Czy słyszała pani jakieś lokalne plotki na temat Mary Gerrard i pana Rodericka Welmana?

– Umizgiwał się do niej.

– Ma pani na to potwierdzające dowody?

– Nie. Po prostu wiem, że tak było.

– Aha. Po prostu wie pani, że tak było. Chyba to dla sądu argument mało



przekonywający. Mówiła pani kiedyś, że Mary Gerrard nie chciała mieć z nim nic do czynienia, bo pan Roderick Welman był zaręczony z panną Carlisle? Że powiedziała mu to w Hunterbury i powtórzyła w Londynie?

– Słyszałam o tym od niej samej.

Z kolei sir Samuel Attenbury przystąpił do badania świadka.

– Czy w czasie, gdy Mary Gerrard omawiała z panią treść wspomnianego testamentu, oskarżona zajrzała przez okno?

– Tak.

– Co powiedziała?

– Powiedziała: „Piszesz testament, Mary? To zabawne, bardzo zabawne”. Tak powiedziała i wybuchnęła śmiechem, a później śmiała się i śmiała. Moim zdaniem – ciągnęła jadownicę pielęgniarce Hopkins – w tym momencie zaświtała jej w głowie myśl o pozbyciu się Mary. Tak! Już wtedy nosiła się z myślą o morderstwie!

Przewodniczący wtrącił surowym tonem:

– Proszę ograniczać się do odpowiedzi na zadawane pytania. Opinia świadka nie zostanie zaprotokołowana.

„To dziwne – pomyślała Elinor. – Ilekroć ktoś powie prawdę, przywołuje się go do porządku”.

Omal nie roześmiała się histerycznie.

Na trybunie dla świadków stanęła pielęgniarce O'Brien.

– Czy dwudziestego dziewiątego czerwca rano pielęgniarce Hopkins powiedziała coś pani?

– Tak. Powiedziała, że z jej torby zginęła fiolka morfiny.

– Co pani zrobiła?

– Pomogłam jej szukać.

– Ale nie znalazły panie zguby?

– Nie.

– Wie pani, że torba leżała przez całą noc w hallu?

– Wiem.

– W chwili zgonu pani Welman, to znaczy nocą z dwudziestego ósmego na dwudziesty dziewiąty czerwca, w Hunterbury była nie tylko oskarżona. Znajdował się również pan Roderick Welman. Wiadomo pani o tym?

– Tak.

– Zechce pani powiedzieć sądowi o wydarzeniu, które miało miejsce dwudziestego dziewiątego czerwca, następnego dnia po śmierci pani Welman.

– Widziałam pana Rodericka Welmana z Mary Gerrard. Mówił, że ją kocha, i



próbował pocałować.

– Czy był wówczas narzeczonym oskarżonej?

– Był.

– Co dalej? – podjął rzecznik oskarżenia.

– Mary powiedziała mu, że powinien się wstydzić, bo jest przecież zaręczony z panną Carlisle.

– Czy wiadomo pani, jakie uczucia wobec Mary Gerrard żywiła oskarżona?

– Nienawdziła jej. Patrzyła na Mary tak, jak gdyby chciała ją zabić.

Sir Edwin Bulmer zerwał się z miejsca.

„Przecież to bez znaczenia – pomyślała Elinor. – Dlaczego oni tyle mówią?”

Z kolei zabrał głos rzecznik obrony:

– Czy pielęgniarka Hopkins powiedziała pani, że najprawdopodobniej zostawiła morfinę w domu?

– Właściwie to było tak. Kiedy...

– Zechce pani odpowiedzieć na pytanie. Czy pielęgniarka Hopkins powiedziała, że najprawdopodobniej zostawiła fiolkę w domu?

– Tak.

– Nie była wtedy zaniepokojona?

– Wtedy nie była.

– Nic dziwnego. Przecież myślała, że morfinę zostawiła w domu.

– Nie mogła sobie wyobrazić, by ktokolwiek zabrał fiolkę.

– Słusznie. Jej wyobraźnia zaczęła pracować dopiero wówczas, gdy stwierdzono, że śmierć Mary Gerrard nastąpiła skutkiem zatrucia morfiną.

– Rzecznik obrony – wtrącił przewodniczący – omówił już tę kwestię z poprzednim świadkiem.

– Tak jest, wysoki sędzie – odparł sir Edwin Bulmer i zwrócił się znów do pielęgniarki O'Brien. – Jaka była postawa oskarżonej wobec Mary Gerrard? Czy kiedykolwiek wynikła między nimi sprzeczka?

– Nie. O żadnej sprzeczce nie słyszałam.

– Panna Carlisle traktowała Mary Gerrard życzliwie? Tak czy nie?

– Tak. Ale chodzi o to, że patrzyła na nią...

– Dobrze, dobrze... – przerwał sir Edwin Bulmer. – Nie będziemy zastanawiać się nad takimi sprawami. Pani jest Irlandką, prawda?

– Tak.

– A Irlandczycy mają na ogół bujną fantazję.

– Wszystko, co powiedziałam, to święta prawda! – zachnęła się pielęgniarka O'Brien.



Pan Abbot, właściciel sklepu spożywczego był zdenerwowany, zalękniony, ale przejęty trochę własną ważnością. Zeznawał krótko.

Oskarżona kupiła dwa słoiki pasty rybnej. Nadmienila, że zdarzają się czasem zatrucia taką pastą. Zachowywała się dziwnie, jak gdyby była czymś podniecona.

Sir Edwin Bulmer nie zadawał więcej pytań.



## Rozdział dwudziesty trzeci

Przemówienie wstępne rzecznika obrony.

– Panowie przysięgli! Niewątpliwie mógłbym obronić tezę, iż nie istnieją realne podstawy uzasadniające zarzuty przeciwko oskarżonej. Jak dotychczas zeznania podważały oskarżenie i według mojej opinii, a z pewnością i waszej, panowie przysięgli, nie wykazały niczego. Oskarżenie utrzymuje, że Elinor Carlisle zdobyła morfinę, a następnie za pomocą tego środka otruła Mary Gerrard. Ale morfinę, jeżeli znajdowała się w Hunterbury, o czym należy wątpić, mógł równie dobrze przywłaszczyć sobie ktokolwiek inny spośród domowników. Wynika stąd, że oskarżenie oparło się wyłącznie na domniemaniach. Usiłowało również ustalić motyw, lecz tego, moim zdaniem, nie potrafiło dokonać. Albowiem, panowie przysięgli, motyw nie istniał. Słyszeliśmy wiele o zerwanych zaręczynach. Proszę się zastanowić, panowie przysięgli! Gdyby zerwane zaręczyny miały stanowić powód morderstwa, zbrodnie tego rodzaju zdarzałyby się codziennie. Należy pamiętać przy tym, że to właśnie narzeczeństwo nie wynikało z potężnych namiętności, lecz stanowiło wyraz interesów rodzinnych. Panna Carlisle i pan Welman znali się od dzieciństwa, dorastali razem i wzajemnie darzyli się sympatią, z której stopniowo powstało cieplejsze przywiązanie. Wszelako zamierzam udowodnić, że ich uczucia były w najlepszym razie letnie.

(Letnie uczucia? Ach Roddy, Roddy!)

– Ponadto nie pan Welman, lecz oskarżona zerwała zaręczyny, związek zawarty głównie dla przypodobania się nieboszczce pani Welman. Bezpośrednio po jej śmierci obie strony uprzytomniły sobie, że ich uczucia nie są wystarczająco silne, by stanowić podstawę małżeństwa. Jednakże panna Carlisle i pan Welman pozostali nadal dobrymi przyjaciółmi, a oskarżona, która dziedziczyła majątek zmarłej ciotki, w dobroci serca przeznaczyła znaczną sumę dla Mary Gerrard. Czy pomawianie jej o podanie trucizny tej właśnie dziewczynie nie zakrawa na groteskę?

Na niekorzyść Elinor Carlisle przemawiają jedynie i wyłącznie okoliczności, w jakich nastąpiło otrucie Mary Gerrard. W rezultacie oskarżenie doszło do wniosku, że



nikt z wyjątkiem Elinor Carlisle nie mógł zabić Mary Gerrard, i przystąpiło do poszukiwań motywu. Ale, jak już nadmieniałem, nie potrafiło go znaleźć, ponieważ motyw nie istniał.

Zadajmy sobie kolejne pytanie. Czy to prawda, że nikt z wyjątkiem Elinor Carlisle nie mógł zabić Mary Gerrard? Nie, panowie przysięgli! To nieprawda! Niepodobna wykluczyć możliwości, iż Mary Gerrard odebrała sobie życie. Istnieje również domniemanie, że ktoś znalazł dostęp do kanapek w czasie, kiedy Elinor Carlisle wyszła z domu i udała się do domku odźwiernego. Istnieje również trzecia możliwość, a podstawowa zasada prawna postępowania dowodowego stanowi, że oskarżonego należy uniewinnić, jeżeli alternatywna teoria wykazuje prawdopodobieństwo i nie koliduje z ustalonym stanem faktycznym. Podejmuję się wykazać, że inna osoba miała nie tylko równie dobrą sposobność, by zamordować Mary Gerrard, ale i motyw znacznie istotniejszy. Powołam świadków, którzy zeznają, że inna osoba posiadała łatwiejszy dostęp do morfiny i, jak wspominałem, miała równie dobrą sposobność oraz motyw znacznie istotniejszy. Pozwolę sobie na twierdzenie, że na całym świecie nie znajdzie się ława przysięgłych, która uznałaby oskarżoną za winną morderstwa, jeżeli na jej niekorzyść przemawia jedynie sposobność, a zostanie udowodnione, że inna osoba miała taką samą sposobność, zaś motyw nierównie logiczniejszy. To nie wszystko, panowie przysięgli! Przedstawię także świadków, którzy wykażą, iż jeden ze świadków oskarżenia rozmyślnie dopuścił się krzywoprzysięstwa. Przede wszystkim jednak powołam oskarżoną, gdyż pragnę, by opowiedziała swoją historię i przekonała wysoki sąd, jak bezpodstawne są zwrócone przeciwko niej zarzuty.

Elinor Carlisle złożyła przysięgę i cichym głosem zaczęła odpowiadać sir Edwinowi Bulmerowi. Sędzia pochylił się i zalecił, aby mówiła wyraźniej.

Rzecznik obrony zadawał łagodnym, przyjaznym tonem pytania, na które odpowiedzi były z góry przygotowane.

– Była pani przywiązana do Rodericka Welmana?

– Bardzo. Widziałam w nim poniekąd brata... albo kuzyna. Zawsze myślałam o Rodericku Welmanie jak o krewnym. Zaręczyny wynikły same przez się... To przyjemnie wyobrażać sobie, że się zostanie żoną człowieka znanego od dzieciństwa.

– Łączących państwa uczuć nie można by nazwać gorącymi?

(Nie można by nazwać gorącymi! Ach, Roddy, Roddy!)

– Raczej... nie... Cóż, znaliśmy się tak dobrze...

– Czy po śmierci pani Welman nastąpiło między państwem napięcie stosunków?

– Tak. Niewątpliwie.

– Czemu to pani przypisuje?

– Chyba głównie sprawom majątkowym.



- Sprawom majątkowym?
- Tak. Roderick czuł się niepewnie. Obawiał się, że może być posadzony o małżeństwo dla pieniędzy.
- A więc powodem zerwania nie była Mary Gerrard?
- Moim zdaniem zawróciła trochę w głowie Roderickowi, lecz nie należało tego uważać za sprawę zupełnie serio.
- A gdyby tak było, czy zakłóciłoby to pani równowagę?
- Nie. Sądziłabym raczej, że to nieodpowiedni związek. Nic więcej.
- Rozumiem. Czy dwudziestego ósmego czerwca wzięła pani fiolkę morfiny z torby pielęgniarzki Hopkins?
- Nie wzięłam.
- Czy kiedykolwiek morfina znajdowała się w pani posiadaniu?
- Nigdy.
- Czy wiedziała pani, że jej ciotka nie sporządziła testamentu?
- Nie wiedziałam. Było to dla mnie wielkie zaskoczenie.
- Czy wieczorem dwudziestego ósmego czerwca zorientowała się pani, że ciotka pragnie pani coś polecić przed zgonem?
- Tak. Zrozumiałam, że nie obdarzyła legatem Mary Gerrard i chciały to zrobić.
- Czy postanowiła pani zastosować się to tego życzenia i przekazać Mary Gerrard pewną sumę?
- Tak. Chciałam uszanować wolę zmarłej, a ponadto byłam wdzięczna Mary Gerrard za serce okazywane ciotce Laurze.
- Czy dwudziestego szóstego lipca przyjechała pani z Londynu do Maidensford i zatrzymała się w hotelu „Pod Herbem Królewskim”?
- Tak.
- W jakim celu przyjechała pani?
- Sprzedałam Hunterbury i nabywca chciał możliwie najwcześniej wejść w posiadanie domu. Chciałam uporządkować osobiste rzeczy ciotki i załatwić różne formalne sprawy.
- Czy dwudziestego siódmego lipca idąc do Hunterbury, kupiła pani rozmaite produkty żywnościowe?
- Tak. Sądziłam, że posiłek zaimprovizowany na miejscu sprawi mi mniej kłopotu niż powrót na obiad do hotelu.
- Załatwiwszy sprawunki poszła pani do domu, segregowała osobiste rzeczy ciotki?
- Tak.
- A następnie?
- W pokoju kredensowym przygotowałam kanapki i wybrałam się do domku



odzwiernego zaprosić na śniadanie pielęgniarkę rejonową i Mary Gerrard.

- Czemu pani to zrobiła?
- Chciałam oszczędzić im drogi w upał do wioski i z powrotem.
- Kierowała się pani zwykłą, naturalną uprzejmością. Czy przyjęły zaproszenie?
- Tak. Razem poszłyśmy do domu.
- Gdzie znajdowały się wtedy przygotowane przez panią kanapki?
- Tam, gdzie je zostawiłam, w pokoju kredensowym na talerzu.
- Czy okno było otwarte?
- Tak.
- Czy w czasie nieobecności pani każdy mógł dostać się do pokoju

kredensowego?

- Oczywiście.
- Gdyby ktoś obserwował panią z zewnątrz, co przyszłoby mu na myśl, jak pani sądzi?

- Zapewne byłby przekonany, że przygotowuję śniadanie dla siebie.
- Czy istnieje prawdopodobieństwo, by wiedział, że będzie pani miała gości?
- Nie. Wpadłam na pomysł zaproszenia pielęgniarki rejonowej i Mary Gerrard,

kiedy zobaczyłam, jak dużo zrobiłam kanapek.

– Gdyby zatem podczas pani nieobecności ktoś zakradł się i ukrył morfinę w jednej z kanapek, zamierzałyby otruć panią. Czy słusznie rozumiuję?

- Naturalnie.
- Co się działo, kiedy pani wróciła z gośćmi do domu?
- Poszłyśmy do małego saloniku, a ja przyniosłam kanapki i poczęstowałam Mary

Gerrard i pielęgniarkę.

- Piła coś pani?
- Tak. Wodę. Na stole było też piwo, ale siostra Hopkins i Mary wolały herbatę.

Siostra Hopkins naparzyła herbaty w pokoju kredensowym i przyniosła na tacy.

Filizanki napełniła Mary.

- Piła pani herbatę?
- Nie.
- Ale Mary Gerrard i siostra Hopkins piły?
- Tak.
- Co się stało później?
- Pielęgniarka wyszła, żeby zgasić gaz pod czajnikiem.
- I pani została sama z Mary Gerrard?
- Tak.
- Co dalej?
- Po kilku minutach zaniósłam do pokoju kredensowego tacę z przyborami do





herbaty i talerz po kanapkach. Zostałam tam siostrę Hopkins i razem pozmywałyśmy naczynia.

- Czy siostra Hopkins zdjęła mankiety?
- Tak. Ona zmywała, ja zajęłam się wycieraniem.
- Wspomniała coś pani w rozmowie o zdraśnięciu na przegubie ręki siostry

Hopkins?

- Tak. Zapytałam, czy się zraniła.
- Co ona na to?
- Powiedziała, że skaleczyła się kolcem róży i zaraz go wyciągnie.
- Jak zachowywała się i wyglądała w tym czasie?
- Myślałam, że dokucza jej upał. Była spocona i miała dziwny kolor twarzy.
- Co nastąpiło później?
- Poszłyśmy na piętro i tam siostra Hopkins pomagała mi przy porządkowaniu

rzeczy osobistych ciotki Laury.

- Kiedy zeszły panie na parter?
- Mniej więcej po godzinie.
- Gdzie znajdowała się wtedy Mary Gerrard?
- Siedziała w saloniku. Oddychała ciężko, bardzo dziwnie, i była nieprzytomna. Na

polecenie siostry Hopkins zatelefonowałam do doktora. Przyjechał tuż przed śmiercią Mary Gerrard.

Sir Edwin Bulmer wyprostował się, wyciągnął ręce dramatycznym gestem:

- Elinor Carlisle! Czy pani zabiła Mary Gerrard?

(Uwaga! Głowa do góry. Spoglądać śmiało przed siebie).

- Nie zabiłam.

Sir Samuel Attenbury. Serce oskarżonej bije mocno. Jest zdana na łaskę i niełaskę wroga. Koniec z uprzejmością i przygotowanymi z góry pytaniami i odpowiedziami.

Ale rzecznik oskarżenia rozpoczął łagodnie:

– Mówiła pani, że była zaręczona z panem Roderickiem Welmanem? Czy to prawda?

- Tak.

– Lubiała go pani?

– Bardzo.

– Pozwolę sobie na twierdzenie, że była pani zakochana i do szaleństwa zazdrosna o Mary Gerrard.

- Nic podobnego!

(Czy to „nic podobnego” zabrzmiało przekonywającą nutą oburzenia?)

- Pozwolę sobie na twierdzenie – podjął groźnie sir Samuel Attenbury – że



świadomie postanowiła pani usunąć z drogi Mary Gerrard licząc na powrót Rodericka Welmana.

– Nic podobnego!

(Chłodno i z lekceważeniem. Tym razem wypadło chyba lepiej.)

Przesłuchanie ciągnęło się i ciągnęło... jak w męczącym śnie.

Po pytaniu padało następne pytanie – równie wstrętne, poniżające. Na niektóre Elinor była przygotowana, inne stanowiły zaskoczenie.

Usiłowała pamiętać o swojej roli. Walczyła z sobą, by nie zawołać: „Tak! Nienawidziłam jej z głębi serca... Tak! Życzyłam śmierci tej dziewczynie!... Tak! Przygotowując kanapki, myślałam nieustannie o jej śmierci!”

Trzeba zachować chłód i spokój. Odpowiadać, zwięźle, beznamyślnie...

Walczyć!

Walczyć o każdy cal trudnej drogi...

Nareszcie koniec! Ten okropny człowiek siada. Odzywa się znów kojący głos sir Edwina Bulmera. Pada kilka pytań – łatwych, uprzejmych pytań. Mają one zatuszować złe wrażenie, jakie mogła wyrzucić pod obstrzałem rzecznika oskarżenia.

Elinor Carlisle siedzi ponownie na ławie oskarżonych... Spogląda na przysięgłych... Myśli...

Tam stoi Roddy... Roddy! Mruży oczy, wygląda jakoś inaczej, nierealnie... Widać, że czuje niepohamowaną odrazę do całej tej historii.

Nierealnie... Wszystko przedstawia się nierealnie... Wiruje w szatańskim tańcu... Biel wydaje się czernią, góra dołem, wschód zachodem... Nie nazywam się Elinor Carlisle, lecz „oskarżona”... Nie, nic nie odzyska dawnego kształtu... Nic i nigdy, bez względu na to, czy zawisnę na szubienicy, czy też będę uniewinniona. Gdyby można uczepić się czegoś... jakiegokolwiek błahostki...

Może pomocna będzie twarz doktora Lorda?... Piegowata twarz o zdumiewającym wyrazie – takim samym, jak dawniej, jak zawsze...

Dokąd zmierza teraz sir Edwin Bulmer?

– Zechce pan powiedzieć, jakie uczucia wobec pana żywiła panna Carlisle?

Roddy odpowiedział rzeczowo:

– Niewątpliwie lubiła mnie i darzyła przywiązaniem, ale nie było mowy o szalonej miłości.

– Narzeczeństwo układało się pomyślnie.

– Tak. Mieliliśmy ze sobą dużo wspólnego.

– Może pan przedstawić sądowi właściwą przyczynę zerwania?

– Tak. Zgon pani Welman stanowił swojego rodzaju wstrząs. Nie odpowiadała mi myśl o małżeństwie z osobą bogatą, ponieważ sam byłem bez pensa. Ostatecznie



rozeszliśmy się za obopólnym porozumieniem i obydwójce odczuliśmy ulgę.

– Jakże stosunki łączyły pana z Mary Gerrard?

(Ach, Roddy! Biedny Roddy! Jak musisz się tym wszystkim brzydzić!)

– Wydawała mi się bardzo piękna.

– Był pan w niej zakochany?

– Chyba... trochę.

– Kiedy widział ją pan po raz ostatni?

– Zaraz... Muszę sobie przypomnieć... To było piątego albo szóstego lipca.

– Wydaje mi się, że również później widział pan Mary Gerrard – powiedział sir

Edwin Bulmer bardziej metalicznym głosem.

– Nie... Wyjechałem za granicę do Wenecji i Dalmacji.

– Kiedy wrócił pan do Anglii?

– Po otrzymaniu telegramu, czyli... Tak! To był pierwszy sierpnia.

– Sądzę jednak, że dwudziestego siódmego lipca był pan w Anglii.

– Nie.

– Proszę nie zapominać, że składa pan zeznania pod przysięgą. Z paszportu pańskiego wynika, że przyjechał pan do Anglii dwudziestego piątego lipca i ponownie opuścił kraj dwudziestego siódmego lipca wieczorem.

Głos sir Edwina Bulmera brzmiał napastliwie, surowo. Elinor oprzytomniała, podniosła głowę. Czemu obrońca atakuje własnego świadka?

Roderick pobladł, umilkł na kilka sekund. Następnie podjął z przymusem:

– Tak... To się zgadza.

– Czy dwudziestego piątego lipca odwiedził pan Mary Gerrard w jej londyńskim mieszkaniu?

– Tak.

– Prosił pan o jej rękę?

– Ja... Tak. Prosiłem.

– Jaką otrzymał pan odpowiedź?

– Odmówiła mi.

– Czy pan jest zamożny, panie Welman?

– Nie.

– I ma pan poważne długi, prawda?

– Co to ma do rzeczy?

– Czy wiedział pan, że panna Carlisle sporządziła testament i pana uczyniła swoim jedynym spadkobiercą?

– Pierwszy raz o tym słyszę.

– Czy dwudziestego siódmego lipca przed południem był pan w Maidensford?

– Nie byłem.



Rzecznik obrony usiadł. Głos zabrał sir Samuel Attenbury.

- Powiedział pan, że nie było mowy o szalonej miłości oskarżonej do pana?
- Istotnie, tak się wyraziłem.
- Czy jest pan rycerskim człowiekiem?
- Nie rozumiem sensu pytania.
- Czy gdyby kochała pana do szaleństwa dama, której pan nie darzy wzajemnością, poczytywałby pan za swój obowiązek przemilczenie tego faktu?
- Z pewnością nie.
- W jakiej pan był szkole?
- W Eton.
- To wystarczy – uśmiechnął się Samuel Attenbury.

Alfred James Wargrave.

- Jest pan hodowcą róż i mieszka pan w Emsworth?
  - Tak.
  - Czy dwudziestego października był pan w Maidensford i oglądał krzew róży rosnącej przy domku odźwiernego w Hunterbury?
  - Tak.
  - Zechce pan ten krzew opisać.
  - Jest to róża pnąca odmiany Zefiryra Droughin. Odmiana ta ma różowe kwiaty o słodkim zapachu i nie posiada kolców.
  - Czy można skaleczyć się kolcem takiej róży?
  - To niepodobieństwo. Zefiryra Droughin nie posiada kolców.
- Rzecznik oskarżenia powstrzymał się od pytań.

– Nazywa się pan James Arthur Littledale. Jest pan dyplomowanym farmaceutą zatrudnionym w hurtowni aptecznej firmy Jenkins i Hale?

- Tak.
  - Zechce pan wyjaśnić, co to za skrawek papieru?
- Dowód rzeczowy wręczono świadkowi.
- Jest to część jednej z etykiet naszej firmy.
  - Jakiej etykiety?
  - Pochodzi ona z fiolki zawierającej tabletki leku przeznaczonego do zastrzyków.
  - Czy okazany panu fragment wystarcza, by stwierdzić, jaki środek zawierała fiolka opatrzona tą etykietą?
  - Tak. Mogę stanowczo stwierdzić, że fiolka zawierała apomorfinę w przeznaczonych do zastrzyków tabletkach po 1/20 grana.
  - Więc to nie była morfina?



– Z całą pewnością nie.

– Dlaczego?

– Na etykietach, którymi opatrujemy fiołki z morfiną, jest oczywiście duże „M”.

Tymczasem tutaj widać przez szkło powiększające, że pozostała część pierwszej litery to niewątpliwie fragment małego „m”.

– Czy ma pan przy sobie etykiety, które zilustrują pańskie słowa? Może panowie przysięgli zechcą je obejrzeć przez szkło powiększające wraz z dowodem rzeczowym.

Etykiety podano przysięgłym.

– Stwierdził pan, że etykieta pochodzi z fiołki zawierającej apomorfina. Co to jest apomorfina?

– Wzór chemiczny  $C_{17}H_{17}NO_2$ . To pochodna morfiny otrzymywana w wyniku podgrzania w obecności kwasu solnego. Morfina traci wtedy cząsteczkę wody.

– Jakie są właściwości apomorfiny?

– To jeden z najsilniejszych znanych emetyków, działający w ciągu paru minut.

– Jaki byłby rezultat, gdyby ktoś połknął śmiertelną dawkę morfiny i w krótkim czasie zrobił sobie zastrzyk z apomorfiny?

– Skutkiem gwałtownych wymiotów morfina zostałaby wydalona z organizmu.

– Przypuśćmy, że dwie osoby jadły kanapki i piły herbatę nalaną z tego samego imbryka, a pokarm albo napój zawierał morfina. Przypuśćmy, że następnie jedna z tych osób zrobiła sobie zastrzyk z apomorfiny. Jaki byłby wynik?

– Osoba, która zrobiłaby sobie zastrzyk, zwróciłaby niezwłocznie pokarm względnie napój wraz z zawartością morfiny.

– I nie odczułaby zgubnych skutków?

– Z całą pewnością nie.

W sali zapanowało nagle poruszenie. Przewodniczący nakazał ciszę.

– Pani nazwisko brzmi Amelia Mary Sedley. Mieszka pani stale przy Charles Street pod numerem siedemnastym w Boonamba, w okręgu Auckland, w Nowej Zelandii. Czy to się zgadza?

– Tak.

– Czy zna pani panią Draper?

– Tak. Od przeszło dwudziestu lat.

– Zna pani jej panińskie nazwisko?

– Tak. Byłam na jej ślubie. Nazywała się Mary Riley.

– Czy urodziła się w Nowej Zelandii?

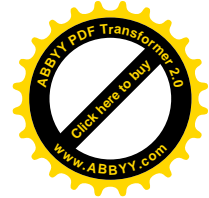
– Nie. Przyjechała z Anglii.

– Czy była pani na sali od początku rozprawy?

– Byłam.



- Czy widziała pani w sądzie Mary Riley... innymi słowy panią Draper?
- Widziałam.
- Gdzie?
- Na trybunie dla świadków.
- Pod jakim nazwiskiem zeznawała?
- Jessie Hopkins.
- Czy jest pani pewna, że Jessie Hopkins to osoba znana pani jako Mary Riley i pani Draper?
- Nie mam wątpliwości.
- Wśród publiczności nastąpiło znowu poruszenie.
- Kiedy widziała pani Mary Draper po raz ostatni, przed dzisiejszym spotkaniem?
- Pięć lat temu. Wyjeżdżała wtedy do Anglii.
- Sir Edwin Bulmer skłonił się w stronę rzecznika oskarżenia.
- Świadek jest do pańskiej dyspozycji.
- Sir Samuel Attenbury wstał z bardzo niepewną miną.
- Podejrzewam, że pani się omyliła – zwrócił się do świadka.
- Na pewno się nie omyliłam.
- Może wprowadziło panią w błąd przypadkowe podobieństwo?
- Bardzo dobrze znałam Mary Draper.
- Siostra Hopkins jest pielęgniarką rejonową.
- Przed ślubem Mary Riley była pielęgniarką w szpitalu.
- Zdaje pani sobie sprawę, że zarzuca pani krzywoprzysięstwo świadkowi oskarżenia?
- Odpowiadam za swoje słowa.
  
- Pańskie nazwisko brzmi Edward John Marshall. Szereg lat spędził pan w Auckland w Nowej Zelandii. Obecnie mieszka pan w Deptford przy Wren Street pod numerem czternastym. Czy to się zgadza?
- Tak.
- Czy zna pan Mary Draper?
- Znałem ją dobrze w Nowej Zelandii.
- Widział ją pan dziś w sądzie?
- Tak. Podawała się za Jessie Hopkins, ale to na pewno Mary Draper.
- Przewodniczący wyprostował się i powiedział spokojnym, dźwięcznym tonem:
- Moim zdaniem, należy wezwać ponownie świadka Jessie Hopkins.
- Pauza. Chwila zamieszania.
- Wysoki sędzi, Jessie Hopkins wyszła przed kilkoma minutami.
- Świadek Herkules Poirot!



Mały Belg wstąpił na trybunę dla świadków, złożył przysięgę, podkręcił wąsa i czekał przechyliwszy głowę na bok.

Najpierw podał personalia: nazwisko, adres, zawód.

– Poznaje pan ten dokument?

– Naturalnie.

– Jak trafił w pańskie ręce?

– Dała mi go pielęgniarka rejonowa, siostra Hopkins.

– Wysoki sąd zezwoli – powiedział rzecznik obrony – że odczytam na głos ów dokument, a następnie przekażę panom przysięgłym.



## Rozdział dwudziesty czwarty

Przemówienie końcowe rzecznika obrony:

– Na was, panowie przysięgli, spoczywa teraz brzemień odpowiedzialności. Waszą sprawą jest zdecydować, czy Elinor Carlisle ma opuścić salę sądową jako człowiek wolny. Jeżeli zaś wysłuchawszy zeznań ostatnich świadków żywicie przekonanie, że Elinor Carlisle otruła Mary Gerrard, obowiązek nakazuje wam orzec, iż jest winna. Gdyby natomiast ława przysięgłych uznała, że równie mocne lub może nawet silniejsze poszlaki obciążają inną osobę, winniście, panowie przysięgli, uwolnić oskarżoną bez dalszych formalności.

W dniu wczorajszym, po dramatycznych zeznaniach pana Herkulesa Poirota, powołałem dalszych świadków, aby wykazać ponad wszelką wątpliwość, że zmarła Mary Gerrard była nieślubnym dzieckiem Laury Welman. Jak stąd wynika i co niezawodnie stwierdzi w pouczeniu dla ławy przysięgłych pan przewodniczący, najbliższą krewną pani Welman była nie bratanica Elinor Carlisle, lecz nieślubna córka, znana pod imieniem i nazwiskiem Mary Gerrard. A zatem Mary Gerrard przypadła w udziale znaczna fortuna po zgonie Laury Welman. To właśnie, panowie przysięgli, stanowi klucz zagadnienia. Mary Gerrard odziedziczyła majątek wartości w przybliżeniu dwustu tysięcy funtów. Ale spadkobierczyni nie zdawała sobie sprawy z tego faktu. Nie wiedziała też, kim jest naprawdę kobieta nazwiskiem Hopkins. Wolno wam mniemać, panowie przysięgli, że Mary Riley czy też Draper przeprowadziła zmianę nazwiska na Hopkins w sposób formalny i zgodny z prawem. Jeśli tak było, czemu nie poinformowała o tym sądu, nie wyjaśniła faktycznych przyczyn?

Wiemy tyle tylko: Za namową pielęgniarki rejonowej Hopkins Mary Gerrard sporządziła testament i ustanowiła jedyną spadkobierczynią „Mary Riley, siostrę Elizy Riley?”. Wiemy, że z racji swojego zawodu siostra Hopkins miała dostęp do morfiny oraz apomorfiny i była dokładnie obznajomiona z właściwościami owych środków. Ponadto postępowanie dowodowe wykazało, że Hopkins skłamała twierdząc, że skaleczyła się o krzew róży odmiany, która nie posiada kolców. Czemu tak postąpiła? Ponieważ musiała znaleźć na poczekaniu pretekst wyjaśniający ślad po niedawnym





ukłuciu igłą strzykawki. Przypomnijcie sobie, panowie przysięgli, co oskarżona zeznała pod przysięgą. Powiedziała, że kiedy weszła do pokoju kredensowego, siostra Hopkins sprawiała wrażenie chorej, a jej twarz była bardzo blada. Nic w tym dziwnego, jeżeli uprzytomnimy sobie, że siostra Hopkins przez chwilą miała gwałtowne torsje.

Pragnę podkreślić wyraźnie jeszcze jedną kwestię. Gdyby Laura Welman żyła o dwadzieścia cztery godziny dłużej, pozostawiłaby testament i według wszelkiego prawdopodobieństwa zabezpieczyłaby w stosownej skali Mary Gerrard, wszelako nie zapisałaby jej całego mienia, bo była zdania, że jej nieślubne i nieświadome tego związku krwi dziecko będzie szczęśliwsze w innym kręgu życia.

Na podstawie postępowania dowodowego mógłbym sformułować oskarżenie przeciwko innej osobie. Nie postąpię tak, gdyż to nie moje zadanie. Pragnę jedynie wykazać, że inna osoba miała taką samą sposobność i nierównie wyraźniejszy motyw, by popełnić morderstwo. Oceniając postępowanie dowodowe z takiego punktu widzenia, pozwalam sobie stwierdzić, panowie przysięgli, iż oskarżenie przeciwko Elinor Carlisle nie ma realnych i logicznych podstaw.

Podsumowanie sędziego Beddingfelda:

– ...przysięgli muszą być przekonani, że dnia dwudziestego siódmego lipca Elinor Carlisle rzeczywiście podała Mary Gerrard śmiertelną dawkę morfiny. W przeciwnym razie obowiązek nakazuje wam uniewinnić oskarżoną.

Oskarżenie twierdzi, że jedyną osobą, która miała sposobność podania trucizny Mary Gerrard, była Elinor Carlisle. Obrona usiłowała wskazać odmienne możliwości. W grę wchodzi hipoteza, iż Mary Gerrard popełniła samobójstwo, ale przemawia za tym jedynie fakt, że Mary Gerrard sporządziła testament krótko przed zgonem. Nic nie wskazuje na jej przygnębienie, załamanie lub jakiegokolwiek inne okoliczności, które mogłyby wieść do pozbawienia się życia. Istnieje również teoria, że morfinę mógł wprowadzić do kanapek ktoś, kto zakradł się do pokoju kredensowego w czasie, który Elinor Carlisle spędziła w domku odźwiernego. W takim przypadku zamach byłby niewątpliwie skierowany przeciwko Elinor Carlisle, a śmierć Mary Gerrard stanowiłaby jedynie rezultat przypadku. Trzecia hipoteza wysunięta przez obronę sugeruje, iż inna osoba miała równie dobrą sposobność podania morfiny, która w takim przypadku została wprowadzona do herbaty, nie kanapek. Na poparcie jej obrona postawiła świadka Littledale'a i ten zeznał pod przysięgą, iż znaleziony w pokoju kredensowym fragment etykiety pochodzi z fiolki, która zawierała tabletki nie morfiny, lecz apomorfiny, gwałtownie działającego emetyku. Wzory obu etykiet zostały przedstawione ławie przysięgłych. Według mojej opinii organy policyjne dopuściły się karygodnego zaniedbania, gdyż nie zbadały dokładnie znalezionej w pokoju



kredensowym skrawka papieru i pochopnie wyciągnęły wniosek, że to fragment etykiety z fiołki zawierającej tabletki morfiny.

Świadek Hopkins zeznała, iż skaleczyła się o krzew róży rosnący przed oknem odzwiernego w Hunterbury. Natomiast świadek Wargrave zbadał wspomniany krzew i stwierdził, że to odmiana, która kolców nie posiada. Winniście zastanowić się, panowie przysięgli, co stanowiło przyczynę skaleczenia przegubu ręki pielęgniarki Hopkins i czemu ta ostatnia zataiła prawdę.

Jeżeli oskarżenie przekonało was, że zbrodnię popełniła Elinor Carlisle, a nie ktoś inny, musicie uznać jej winę.

Jeżeli natomiast wysunięta przez obronę teza posiada cechy prawdopodobieństwa i jest zgodna z postępowaniem dowodowym, oskarżoną należy uniewinnić.

Proszę, panowie przysięgli, abyście śmiało i starannie rozważyli werdykt, opierając się wyłącznie na przedstawionych wam dowodach.

Wprowadzono Elinor Carlisle.

Przysięgli wrócili rzędem do sali sądowej.

- Panowie przysięgli! Czy osiągnęliście zgodę co do werdyktu?
- Tak.
- Spójrzcie na oskarżoną i orzeknijcie, czy jest winna, czy niewinna.
- NIEWINNA.



## Rozdział dwudziesty piąty

Elinor opuściła salę sądową bocznymi drzwiami. Poznawała twarze witających ją osób... Roddy... Detektyw z bujnymi włosami...

Ale zwróciła się do doktora Lorda.

– Chcę się stąd wyrwać.

Jechali teraz razem gładko sunącym daimlerem. Szybko wyjeżdżali z Londynu. On nie zaczynał rozmowy. Ona siedziała pogrążona w błogosławionej ciszy.

Każda następna minuta unosiła ją coraz dalej i dalej...

Rozpoczynała nowe życie.

– Ja chcę... Pragnę znaleźć się w spokojnym miejscu, gdzie nie będzie żadnych twarzy – odezwała się nagle.

– Sprawa załatwiona – odrzekł spokojnie lekarz. – Jedziemy do sanatorium. To bardzo zaciszne miejsce w pięknym ogrodzie. Nikt nie będzie naprzykrzał się pani, szukał spotkania.

Elinor westchnęła z ulgą.

– Tak... Czegóż takiego mi trzeba.

Myślała, że Peter Lord zrozumiał wszystko, zapewne z racji swojego zawodu. Wiedział i nie dręczył pytaniami. Jak uroczo, jak cudownie być z nim, uciekać od całego zamętu i Londynu dokądś, gdzie jest bezpiecznie.

Pragnęła zapomnieć... jedynie zapomnieć! Nic nie wydawało się realne. Przeszło, minęło, dobiegło kresu – wszystko: dawne życie, dawne wzruszenia. Jest nową, obcą, bezradną istotą, całkiem surową, nieukształtowaną. Wszystko rozpoczyna powtórnie, bardzo dziwna dla siebie samej, bardzo zalekniona.

Ale obecność doktora Lorda przynosi niewysłowioną ulgę.

Byli za miastem. Szybko mijali peryferie. Elinor odezwała się wreszcie.

– Pan mnie ocalił... tylko pan.

– Nie. Herkules Poirot, istny czarodziej.

Dziewczyna zaprzeczyła ruchem głowy.

– Tylko pan! – powtórzyła z uporem. – Pan go wynalazł, skłonił do działania.



– Zgoda – uśmiechnął się młody lekarz. – Ja go skłoniłem do działania.  
– Wiedział pan, że... że nie zrobiłam tego... czy też miał pan wątpliwości?  
– Nie byłem zupełnie pewien – padła szczerą odpowiedź.  
– Właśnie... Na początku rozprawy omal nie przyznałam się do winy, bo... bo przecież myślałam o tym. Myślałam wtedy, kiedy śmiałam się pod oknem domu siostry Hopkins.

– Zdawałem sobie z tego sprawę – przyznał Peter Lord.  
– Teraz wydaje mi się wszystko bardzo dziwne – mówiła Elinor tonem zadumy. – Jak gdybym była opętana. Kiedy kupiłam pastę rybną i przyrządzałam kanapki, udawałam wobec samej siebie, myślałam: „Teraz dodaję truciznę. Ona zje to i umrze, a Roddy wróci do mnie”.

– Takie udawanie przynosi czasem ulgę – powiedział Peter Lord. – No i nie ma w nim nic złego. Człowiek rozładowuje napięcie w wyobraźni, jak gdyby wypacał chorobę z organizmu.

– To prawda!... Widzi pan, opętanie minęło nagle. Rozproszyły się czarne opary. Kiedy tamta kobieta powiedziała o różach przed domkiem odźwiernego, życie wróciło naraz do normalnego stanu – wzdrygnęła się nerwowo. – A później, kiedy przyszliśmy znowu do saloniku... Ona nie żyła... a raczej konała. Wtedy odczułam wyraźnie, że to mała różnica wymyślić morderstwo albo je popełnić.

– Różnica kapitalna! – obruszył się lekarz.

– Jest pan o tym przekonany?

– Oczywiście! Myślenie o morderstwie nie krzywdzi nikogo. Ludzie mają dziwny pogląd na tę kwestię. Sądzą, że fantazjowanie równa się planowaniu zbrodni. Nic podobnego! Jeżeli ktoś myśli długo o morderstwie, budzi się nagle, wychodzi z mroków i zdaje sobie sprawę, że to czyste brednie.

– Pan potrafi uspokajać! – zawołała z przekonaniem Elinor Carlisle.

– Nie... – szepnął Peter Lord. – Posługuję się tylko zdrowym rozsądkiem.

Łzy błysnęły w oczach dziewczyny.

– Tam... w sądzie... spoglądałam na pana od czasu do czasu i... i nabierałam odwagi. Wyglądał pan tak... tak przeciętnie... – parsknęła krótkim śmiechem. – Jestem niedelikatna, prawda?

– Rozumiem panią. Pośród koszmaru przeciętność jest symbolem nadziei, jedynej nadziei. A zresztą to, co pospolite, zawsze poczytywałem za najlepsze.

Po raz pierwszy od czasu, gdy zajęła miejsce w samochodzie, Elinor spojrzała na towarzysza. Twarz jego sprawiała inne wrażenie niż twarz Roddy'ego. Nie wzbudzała dreszczu, uczucia raptownego bólu, cierpienia połączonego z upojeniem. Niosła ciepłą sympatię, pociechę.

Elinor pomyślała: „Jaka to miła twarz, miła i zabawna, a budząca otuchę”.



Jechali dalej. Wreszcie minęli bramę i szeroką aleję, aby stanąć przed pięknym białym domem na stoku wzgórza.

– Tu znajdzie pani spokój – powiedział Peter Lord. – Nikt nie będzie się pani naprzykrzał.

Odruchowo położyła dłoń na jego ramieniu.

– A pan?... Pan mnie będzie odwiedzać, prawda?

– Naturalnie.

– Często?

– Tak często, jak pani zechce.

– Więc... bardzo często. Proszę!



## Rozdział dwudziesty szósty

- Jak widać, drogi doktorze – powiedział Herkules Poirot – kłamstwa, które mówili mi ludzie, były nie mniej przydatne niż prawda.
- Wszyscy okłamywali pana? – zapytał Peter Lord.
- O, tak! Dla tych lub innych racji... Rozumie pan? Najwięcej kłopotu sprawiała mi jedna osoba, chociaż prawda była dla niej bardzo istotna i ściśle, sumiennie jej się trzymała.
- Sama Elinor?
- Właśnie! Wszelkie poszlaki wskazywały na jej winę, a ona nie robiła nic, by podejrzenia rozproszyć, gdyż słuchała swego wrażliwego, bardzo skrupulatnego sumienia. Zarzucając sobie nie uczynek, lecz zamiar, omal nie zrezygnowała z brudnej, odrażającej walki i nie przyznała się w sądzie do zbrodni, której oczywiście nie popełniła.
- Nie do uwierzenia – westchnął młody lekarz.
- Dlaczego? Panna Carlisle poczuwała się do winy, ponieważ stosowała wobec siebie miarę wyższą niż zwykle stosują ludzie.
- Tak – szepnął Peter Lord. – To w jej stylu.
- Od chwili, kiedy rozpocząłem prywatne śledztwo – ciągnął detektyw – narzucało się prawdopodobieństwo, że Elinor Carlisle jest rzeczywiście winna zarzucanej jej zbrodni. Wypełniałem jednak zobowiązanie wobec pana i stwierdziłem wkrótce, że da się wysunąć dość pewnie ugruntowane oskarżenie przeciwko innej osobie.
- Pielęgniарce Hopkins?
- Nie. Z początku zainteresował mnie pan Roderick Welman. I w tym przypadku wszystko zaczęło się od kłamstwa. Powiedział mi, że opuścił Anglię dziewiątego lipca, a wrócił tu pierwszego sierpnia. Pielęgniarka Hopkins wspomniała w rozmowie ze mną, że Mary Gerrard odrzuciła awanse pana Welmana zarówno w Maidensford, jak i później, kiedy „odwiedził ją w Londynie”. Natomiast panu zawdzięczam informację, że Mary przeniosła się do Londynu dziesiątego lipca, czyli w dzień po wyjeździe z kraju Rodericka Welmana. Nasunęło się pytanie, kiedy Mary Gerrard mogła rozmawiać z



wielbicielem w Londynie. Zaprzęgnąłem do roboty mojego byłego włamywacza i dzięki paszportowi stwierdziłem niezbitcie, że Roderick Welman był w Anglii od dwudziestego piątego do dwudziestego siódmego lipca. A zatem skłamał mi celowo.

– A czemu doszedł pan do wniosku, że Welman jest niewinny? – zapytał Peter Lord.

– I tym razem punkt wyjścia stanowiło kłamstwo: drobne, głupie, bezcelowe na pozór kłamstwo. Pielęgniarka Hopkins powiedziała, że skaleczyła rękę o krzew róży i zaraz usunie kolec. Obejrzałem ten właśnie krzew i przekonałem się, że nie ma kolców. Niewątpliwie więc skłamała i to w sposób tak niedorzeczny i bezsensowny, że musiałem zwrócić na nią uwagę. Począłem zastanawiać się nad pielęgniarką Hopkins, którą poczytywałem uprzednio za świadka zasługującego na całkowite zaufanie. Naturalnie zdawałem sobie sprawę z jej gwałtownej niechęci wobec oskarżonej, ale tłumaczyłem to serdeczną życzliwością dla ofiary. Jednakże po tym błahym, pozornie bezprzedmiotowym kłamstewku, przemyślałem dokładniej zeznania pielęgniarki Hopkins i jej postawę w całej sprawie. Uprzytomniłem sobie wtedy, że spryt mi nie dopisywał i przegapiłem szczegół, który należało dostrzec. Pielęgniarka Hopkins wiedziała coś o Mary Gerrard i bardzo jej zależało, by to coś wyszło na jaw.

– Ja odniosłem zupełnie przeciwne wrażenie – wtrącił Peter Lord.

– Bo tak się zdawało na pozór. Pielęgniarka Hopkins wybornie grała rolę osoby, która wie coś i tai. Ale po głębszym zastanowieniu zrozumiałem, że każdym słowem zmierza do diametralnie różnego celu. Rozmowa z pielęgniarką O'Brien utwierdziła mnie w takim właśnie przekonaniu. Siostra Hopkins wykorzystwała ją chytrze, z czego O'Brien zupełnie nie zdawała sobie sprawy. Nie miałem później wątpliwości, że pielęgniarka Hopkins prowadzi własną grę. Porównałem dwa kłamstwa: jej i Rodericka Welmana. Czy któreś z nich można wyjaśnić w sposób nie budzący podejrzeń?

W przypadku Rodericka Welmana odpowiedziałem zaraz pozytywnie. To młody człowiek wysoce wrażliwy i ambitny, więc upokarzała go nieznośnie świadomość, że nie dotrzymał przyrzeczenia, wrócił z zagranicy i usiłował nawiązać kontakt z dziewczyną, która nie chciała się z nim zadawać. Ponieważ nikt nie podejrzewał, że mógł znajdować się w pobliżu miejsca zbrodni albo cokolwiek o niej wiedzieć, Roderick Welman obrał linię najmniejszego oporu. Nawiasem mówiąc, to rys bardzo dla niego charakterystyczny. Chciał uniknąć przykrości, więc pominął milczeniem przelotną wizytę w Anglii i zeznał, że wrócił do kraju pierwszego sierpnia, kiedy otrzymał wiadomość o morderstwie.

Nasunęło się pytanie, czy w sposób równie nieszkodliwy można wyjaśnić kłamstwo pielęgniarki Hopkins? Im dłużej medytowałem na ten temat, tym większe powstawały wątpliwości. Dlaczego pielęgniarka Hopkins uważała za wskazane



skłamać z powodu skaleczenia na przegubie ręki? Jakie znaczenie posiadała ta ranka?

Przyszły dalsze pytania. Komu zginęła morfina? Pielęgniarka Hopkins. Kto miał sposobność podać truciznę starej pani Welman? Pielęgniarka Hopkins. Wszystko się zgadza, dlaczego jednak pielęgniarka Hopkins dobrowolnie zwróciła uwagę na zgubę? Jeżeli jest winna, wyjaśnienie może być tylko jedno. Pielęgniarka Hopkins planowała już wtedy drugie morderstwo. Wiedziała, że zabije Mary Gerrard, i upatrzyła kozła ofiarnego. Jednakże należało wykazać, że kozioł ofiarny miał sposobność zdobycia morfiny.

Inne szczegóły pasowały również do całości. Anonimowy list do Elinor miał wywołać złą krew między nią a Mary. Chodziło niewątpliwie o to, by Elinor przyjechała do Hunterbury i sprzeciwiła się wpływowi Mary na panią Welman. Oczywiście gwałtowna miłość Rodericka Welmana była okolicznością absolutnie nieprzewidzianą, lecz pielęgniarka Hopkins wykorzystwała ją szybko i sprawnie. Kozioł ofiarny miał już doskonały motyw, nie tylko sposobność.

Jaki jednak był sens podwójnego morderstwa? Co mogło skłonić pielęgniarkę Hopkins do pozbycia się Mary Gerrard? Począłem dostrzegać światło, bardzo jeszcze mętne i zamglone. Pielęgniarka Hopkins miała znaczny wpływ na Mary Gerrard i przy sposobności skłoniła ją do sporządzenia ostatniej woli. Ale testament nie wymieniał nazwiska pielęgniarki Hopkins. Spadkobierczynią miała zostać ciotka Mary, zamieszkała w Nowej Zelandii. W tym momencie przypomniałem sobie marginesową uwagę kogoś z mieszkańców Maidensford. Ciotka Mary była pielęgniarką.

Światło stało się nagle mniej mętne i mgliste. Wzór, cały układ zbrodni jał przybierać wyraźne zarysy. Następny krok był łatwy. Złożyłem powtórny wizytę pielęgniarkę Hopkins. Obydwoje gładko odegraliśmy komedię.

Pod koniec odwiedzin gospodyni zdecydowała się wyznać to, co od dawna pragnęła dobyć na światło dzienne. Może zrobiła to odrobinę za wcześnie. Ale cóż? Nie była w stanie pominąć tak wyjątkowej okazji, a ostatecznie musiała kiedyś ujawnić prawdę. Z dobrze udanym ociąganiem pokazała mi list. Wtedy, drogi doktorze, skończyłem z domysłami. Zyskałem pewność. Ten list zdradził pielęgniarkę Hopkins.

– Jakim cudem? – zdziwił się młody lekarz.

– *Mon cher!* Na kopercie był napis: „Dla Mary. Wysłać po mojej śmierci”.

Tymczasem treść wskazywała niezbicie, że Mary Gerrard nie miała poznać prawdy. Nie mniej znamieny był czasownik „wysłać” zamiast „doręczyć”. Co stąd wynika? List nie był przeznaczony dla Mary Gerrard. To swojej siostrze Mary, zamieszkałej w Nowej Zelandii, Eliza Riley wyznawała prawdę. Pielęgniarka Hopkins nie znalazła listu w domku odźwiernego po śmierci Mary Gerrard. Przechowywała go od lat, bo w swoim czasie został jej wysłany do Nowej Zelandii.

Mały Belg zrobił pauzę i wkrótce podjął:





– Skoro raz umysł dostrzeże prawdę, reszta przychodzi łatwo. Komunikacja lotnicza umożliwiła powołanie świadków, którzy dobrze znali Mary Draper z Nowej Zelandii.

– A gdyby zaszła pomyłka? – wtrącił Peter Lord. – Gdyby się okazało, że pielęgniarka Hopkins i Mary Draper to dwie różne osoby?

– Mnie nie zdarzają się omyłki – rzucił Herkules Poirot tak oziębło, że młody lekarz roześmiał się głośno.

– Drogi doktorze – podjął mały Belg. – Dziś wiemy już coś niecoś o tej Mary Riley czy Draper. Nowozelandzka policja nie potrafiła zdobyć obciążających dowodów, lecz od pewnego czasu miała ją na oku, nim nagle wyjechała z kraju. Jedną z jej pacjentek, bogata starsza dama, zostawiła spory legat „kochanej siostrze Riley”, a śmierć tej osoby stanowiła niespodziankę dla opiekującego się nią stale lekarza. Mąż pani Draper ubezpieczył się wysoko na jej korzyść i umarł nagle w niezupełnie wyjaśnionych okolicznościach. Na nieszczęście dla niej, wypełnił wprawdzie czek pokrywający składkę ubezpieczeniową, lecz zapomniał go wysłać. Słyszałem również o innych zagadkowych zgonach, nie ulega więc wątpliwości, że to kobieta pozbawiona serca i skrupułów.

Nietrudno sobie wyobrazić, że list zmarłej siostry podszeptał tak przedsiębiorczemu umysłowi rozległe możliwości. Kiedy w Nowej Zelandii zrobiło się jej zbyt gorąco, zawitała do Anglii i przystąpiła do pracy w dawnym zawodzie podszywając się pod nazwisko pielęgniarki Hopkins, koleżanki, która umarła za granicą. Oczywiście celem jej był Maidensford. Być może myślała o szantażu. Ale pani Welman nie należała do osób, które pozwolą się szantażować, więc siostra Riley czy Hopkins postąpiła rozważnie rezygnując z wszelkich prób w tym względzie. Niewątpliwie zwierzyła, że pani Welman jest osobą bardzo zamożną, a jakieś przypadkowe słówko tejże pani Welman mogło ujawnić fakt, że nie sporządziła testamentu.

Pewnego czerwcowego wieczora siostra O'Brien informuje koleżankę, że pani Welman prosi o wezwanie jej doradcy prawnego. Pielęgniarka Hopkins nie waha się długo. Pani Welman musi umrzeć niezwłocznie, aby jej nieślubna córka odziedziczyła cały majątek. Oczywiście Hopkins zdążyła się już zaprzyjaźnić z Mary Gerrard i zyskała poważny wpływ na nią. Trzeba było tylko nakłonić dziewczynę, by zapisała wszystko siostrze swojej mniemanej matki. Bardzo dowcipnie zasufleowała tekst. Nie było w nim wzmianki o pokrewieństwie. Po prostu: „Mary Riley, siostra nieżyjącej Elizy Riley”. Podpis pod tym dokumentem równał się wyrokowi śmierci na Mary Gerrard. Hopkins musiała tylko czekać stosownej okazji. Sądzę, że metodę opracowała z góry; chodzi mi o zastosowanie apomorfiny jako podstawy alibi. Może chciała zwabić Elinor do swojego domu. Tego nie wiem. Kiedy jednak panna Carlisle



przyszła do portierni z zaproszeniem na zaimprovizowany posiłek, Hopkins rozumiała bez trudu, że to wyborna sposobność. Okoliczności tak się ułożyły, że wyrok skazujący Elinor był prawie pewny.

– Gdyby nie pan – powiedział z wolna Peter Lord. – Elinor zostałaby skazana.

– Nic podobnego! – zaprotestował żywo Poirot. – To panu, drogi doktorze, zawdzięcza życie!

– Mnie...? – zdziwił się młody lekarz. – Przecież nic nie zrobiłem... Próbowałem, ale... – głos mu się załamał.

– *Mais oui!* – uśmiechnął się detektyw. – Próbował pan, *mon cher*, i to zawzięcie! Niecierpliwiał się pan, bo na pozór nie mogłem utrafić w sedno. No i nie był pan zupełnie przekonany o niewinności panny Carlisle. Bał się pan i okłamywał mnie ze strachu. Ale robił pan to zadziwiająco nieudolnie! Radzę, drogi doktorze, pilnować w przyszłości odry czy tam koklusz, a tropienia zbrodni unikać.

Peter Lord zmieszał się i zarumienił.

– Czy pan cały czas wiedział?

– Zaprowadził mnie pan za rękę na polankę w zaroślach, gdzie znaleźliśmy pochodzące z Niemiec pudełko od zapalek, które pan tam niedawno podrzucił. To dziecinada, *mon cher!*

– Bodaj to licho! – wykrzyknął Peter Lord.

– Wdał się pan w rozmowę z ogrodnikiem i wyciągnął z niego wiadomość, że przy bocznej bramie posiadłości widział pański samochód. Następnie udał pan zmieszanie i począł utrzymywać, że ten wóz nie mógł należeć do pana. Przy sposobności obserwował mnie pan spod oka, by się przekonać, czy istotnie uprzytomniłem sobie, że ktoś jeszcze odwiedził Hunterbury tamtego przedpołudnia.

– Byłem okropnie głupi – przyznał ze skruchą Peter Lord.

– A co pan wtedy robił w Hunterbury?

Peter Lord zarumienił się po uszy.

– To był czysty kretynizm... Widzi pan... Dowiedziałem się, że ona przyjechała... Myślałem, że ją może zobaczę. Nie chodziło mi o rozmowę... Chciałem tylko zobaczyć Elinor. Rzeczywiście z alejki między malinami widziałem, jak w pokoju kredensowym kraje chleb i smaruje masłem...

– Słowo daję! – przerwał Poirot. – Lotta i romantyczny Werter. Co dalej?

– Nic... Stałem w krzakach i gapiłem się na nią, póki nie odeszła od okna.

– Pokochał pan Elinor Carlisle, jak to się mówi, od pierwszego wejrzenia? – zapytał łagodnie Poirot.

– Chyba tak...

Zapadło długie milczenie.

– Cóż – odezwał się wreszcie młody lekarz. – Myślę, że ona i Roderick Welman



będą żyli długo, zgodnie i szczęśliwie.

– Kochany przyjacielu! – zachnął się mały Belg. – Proszę tylko nie snuć podobnych myśli!

– Dlaczego? Ona wybaczy mu historię z Mary Gerrard. Ostatecznie to był tylko zawrót głowy.

– Wydaje mi się – odparł z powagą Poirot – że zagadnienie sięga głębiej. Kiedy ktoś z mroku grożącej śmierci powraca w blask słoneczny, rozpoczyna, *mon cher*, nowe życie. Przeszłość nie liczy się już wtedy – umilkł na moment, by podjąć: – Tak... Elinor Carlisle rozpoczyna nowe życie, które zawdzięcza panu.

– Nie.

– Tak. Pański zaciekle upór... Ba! Pańska arogancja zmusiły mnie do podjęcia się tej sprawy. I, proszę przyznać, przecież do pana zwróciła się ze słowami wdzięczności.

– Istotnie – przyznał z wahaniem Peter Lord. – Dziś jest mi bardzo wdzięczna... Prosiła, żeby ją często odwiedzać.

– Bo jest jej pan potrzebny.

– Nie tak jak on! – wybuchnął młody człowiek.

Herkules Poirot pokręcił głową.

– Nie. Roderick Welman nigdy nie był jej potrzebny. Kochała się w nim nieszczęśliwie... można powiedzieć nawet beznadziejnie.

– Mnie nie pokocha tak nigdy – powiedział posepnie Peter Lord.

– Zapewne – przyznał mały Belg tonem zastanowienia. – Ale potrzebuje pana, drogi doktorze, bo tylko z panem może powrócić do świata.

Peter Lord milczał.

Po chwili Herkules Poirot dodał szczególnie łagodnym głosem:

– Nie umie pan pogodzić się z faktami? Elinor kochała Rodericka Welmana. Co z tego? Z panem potrafi być szczęśliwa.